

Lynn Weingarten

Feeria
young



piękne samobójczynie

BESTSELLER NEW YORK TIMES A

Lynn Weingarten

piękne samobójczynie



Przekład:
Maria Kabat

Feeria
young

Tytuł oryginału: Suicide Notes from Beautiful Girls

Przekład: Maria Kabat

Redaktor prowadzący: Maria Zalasa

Redakcja: Katarzyna Nawrocka

Korekta: Karolina Pawlik

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Norbert Młyńczak

Projekt okładki: Regina Flath

Zdjęcie na okładce © 2015 by Peter Hatter/Trevillion Images

Text copyright © 2015 by Lynn Weingarten

Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-734-1

Wydanie I, Łódź 2018

Wydawnictwo JK

Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,

92-101 Łódź tel. 42 676 49 69 www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

Rozdział 1

Zapomniałam już, jak to jest czuć się tak samotnie.

Podczas przerwy świątecznej przez całe dziesięć dni nie robiłam nic poza jeżdżeniem samochodem. Mijałam popadające w ruinę domy w mojej okolicy, eleganckie posesje kilka mil dalej, kierowałam się w stronę dalekich gór, by potem wracać przez połacie zimnej, płaskiej ziemi. Jeździłam wzdłuż rzeki Schuylkill aż do miejsca, w którym uchodzi do Delaware, podkręcałam radio i głośno śpiewałam. Miałam ogromną potrzebę słuchania ludzkiego głosu, a mogłam liczyć tylko na siebie.

Ale ferie się skończyły. Idę teraz w stronę szkoły z najdalszej części parkingu i cieszę się, że już tu jestem, cieszę się, że już po wszystkim. Wiem, przerwa świąteczna to takie trochę wakacje, ale dla mnie był to bardzo samotny czas, taka prawda. Czułam się tak, jakbym zaraz miała bezwolnie ulecieć w kosmos, nieuwiązana do niczego.

Czuję w kieszeni wibrację telefonu. Wyciągam go. To SMS od Ryana, z którym jeszcze się nie widziałam, bo wrócił dopiero wczoraj wieczorem: *tak w ogóle to przywiozłem ci cos z vermont.* Chwilę później kolejny: *ale nie opryszczke.*

Odpisuję: *to dobrze, głupio by wyszło, gdybysmy dali sobie takie same prezenty.*

Klikam „wyślij” zmarzniętym palcem. Uśmiecham się, wypuszczając przy tym z ust obłoczek ciepłego powietrza.

Kiedy wchodzę do sali, Krista podnosi wzrok, jakby właśnie na mnie czekała.

– O mój Boże, June – rzuca na mój widok. Ma półotwarte oczy, a zamiast zwyczajowych soczewek kontaktowych nosi dziś okulary w czerwonych plastikowych oprawkach. – Czy to możliwe, tak z medycznego punktu widzenia,

żebym nadal miała kaca po wtorku? To przecież było całe dwa dni temu! – mówi, zdejmując z krzesła swoją wielką pomarańczową torbę, żeby mogła usiąść koło niej.

– Po tym, co się działo we wtorek, tak, to bardzo prawdopodobne – odpowiadam.

Uśmiecha się, jakby uważała moje słowa za komplement.

Jedyną rzeczą, jaką zrobiłam podczas ferii poza jeżdżeniem samochodem, było pójście na imprezę do chłopaka Kristy, co w sumie było dość dziwne, bo nie jesteśmy superprzyjaciółkami ani nic takiego. Ale rozmawiamy czasem na godzinie wychowawczej, a poza tym prawda jest przede wszystkim taka, że żadna z nas nie ma lepszej opcji, i tyle. Kiedy dostałam od niej SMS-a o imprezie w domu jej chłopaka, po prostu musiałam się zgodzić, inaczej zwariowałabym z samotności.

Jej chłopak, Rader, mieszka trzydzieści pięć minut jazdy stąd, na obrzeżach Filadelfii, w zapuszczonym mieszkaniu, które dzieli z kilkoma kolegami. Jest od nas starszy, jego koledzy też, niektórzy mają nawet po dwadzieścia parę lat. Na imprezie byli głównie faceci, a w powietrzu unosiły się najróżniejsze rodzaje dymu. Kiedy tam dotarłam, Krista była już porządnie wstawiona i szła właśnie na górę do sypialni Radera. A ja poczułam, jak wszyscy faceci w pomieszczeniu taksują mnie spojrzeniem od góry do dołu. Wtedy nagle zrozumiałam, dlaczego zostałam zaproszona – dla nich. Spędziłam całą noc, podpierając ścianę. Z nikim nie rozmawiałam. Przypatrywałam się całej imprezie, jakbym oglądała film.

– Rader powiedział mi, że Buzzy chce twój numer telefonu – mówi Krista, pocierając oczy.

Nie mam pojęcia, kim jest Buzzy. Może to ten wysoki koleś, który co chwila wychodził z łazienki, pociągając nosem, a może ten gość z tatuażem D-U-P-A na kostkach dłoni, albo ten w jedwabnej koszuli, który bez przerwy dopytywał, czy przypadkiem nie chciałabym jej dotknąć (nie chciałam) i który próbował wrzucić kieliszek z tequilą do akwarium (przed czym go powstrzymałam).

– Mam chłopaka – mówię.

– Zaraz, masz? Kto to?

– Ryan Fiske.

Krista unosi wysoko brwi, jakby uważała, że żartuję.

– Serio – zapewniam ją.

Przechyla głowę lekko na bok.

– Ale dajesz.

Wzruszam ramionami. Nie dziwi mnie jej zaskoczenie. Jesteśmy z Ryanem parą od ponad roku, ale większość ludzi o tym nie wie. W sumie nie za bardzo wyglądamy na ludzi, którzy mieliby być razem.

– Nie przyszłoby mi do głowy, że spotykasz się z kimś tak... normalnym. – To ostatnie słowo brzmi w jej ustach jak obelga pod adresem Ryana.

– No wiesz, nie znasz go – odpowiadam. Ale prawda jest taka, że Ryan rzeczywiście jest zupełnie normalny. I jest to w jakiś sposób pocieszające.

Ryan jest jedną z tych osób, które wtapiają się bez najmniejszego wysiłku w dowolną grupę, nieomal nieświadomie. Czuje się dobrze i pewnie w każdym środowisku, wysoki i przystojny w ten przyjemny sposób, że nawet jeśli nie do końca jest w twoim guście, zapewne docenisz układ jego kości policzkowych i fakt, że są dokładnie w tym miejscu, co trzeba, żeby miło się na niego patrzyło.

Wydaje mi się, że z Ryanem chodzi o to, że jest wszystkim po trochu. A ja nie jestem pewna, jaka właściwie jestem. Sądzę, że bardzo niewiele osób w ogóle zwraca na mnie uwagę, co zresztą zupełnie mi nie przeszkadza.

– No cóż, mam nadzieję, że jest choć trochę szalony – mówi Krista. A potem zaczyna mrugać i wydaje z siebie cichy jęk bólu. – Och, moje oczy nie są jeszcze gotowe na ten wysiłek.

Sekundę później ze szkolnych głośników rozlega się komunikat:

– Dzień dobry, uczniowie i nauczyciele North Orchard. Czy mogę prosić wszystkich o uwagę? – To wicedyrektor Graham. Jego głos brzmi jakoś dziwnie. Prostuję się na swoim krześle i zaczynam nasłuchiwać. – Z ogromnym bólem serca i żalem jestem zmuszony przekazać wam bardzo smutną wiadomość

na temat śmierci członka społeczności naszego liceum North Orchard... – przerywa, żeby odkaszlnąć, a ja w tym momencie przestaję oddychać. Jak pewnie wszyscy. W tym momencie to może być absolutnie każdy. – Wczoraj zmarła Delia Cole, uczennica trzeciej klasy. Pani Dearborn, pan Finley i pozostali nauczyciele są do waszej dyspozycji, gdybyście tylko chcieli o tym porozmawiać. Drzwi mojego gabinetu również są dla was otwarte. Jesteśmy myślami i modlitwą z rodziną i przyjaciółmi Delii w tym trudnym dla nich czasie.

Klik – głośnik wyłączony. I zostaje cisza, którą rozdziera po chwili dźwięk dzwonka. Oficjalnie rozpoczęły się lekcje.

Moja głowa odłącza się od ciała, unosi się wysoko w powietrzu i sunie w stronę drzwi, więc ruszam za nią.

– Nie powiedział, jak umarła – szepcze ktoś. – Co się mogło stać? – Głos jest dezorientowany, jak gdyby śmierć Delii była zupełnie nieprawdopodobna.

Ale ja wyobrażam sobie jej śmierć na milion sposobów. Może wdrapała się na ten stary, zamknięty most, który wisi nad jeziorem i mijając napis ZAKAZ WSTĘPU, weszła na jego spróchniałą część. Albo może chciała popatrzeć na wielką pełnię księżyca, więc wlaźła na czyjś dach, a potem balansowała na jego krawędzi, mimo że wszyscy błagali ją, żeby tego nie robiła. Może chciała przejść przez ulicę z zawiązanymi oczami, bo się z kimś założyła, a w ostatnich sekundach życia towarzyszył jej dźwięk klaksonu, nagły przyływ adrenaliny i oślepiające światła.

.....
Ryan czeka na mnie pod klasą. Patrzymy sobie w oczy, a on po prostu stoi, nieruchomo, jakby nie do końca wiedział, jaki przybrać wyraz twarzy. Ja zresztą też nie jestem pewna, co zrobić z twarzą, szczególnie że wydaje mi się, jakby ta twarz wcale nie była moja. Podchodzę do niego, a on przyciąga mnie do siebie i obejmuje. Jego ramiona są silne i ciepłe, jak zwykle, ale w tej chwili praktycznie tego nie czuję.

– To jest... – zaczynam, ale zaraz urywam, bo mój mózg nie znajduje

odpowiednich słów. W mojej głowie nie ma niczego poza powietrzem.

– ...kompletnie popieprzone – mówi Ryan, kręcąc głową. I nagle uświadamiam sobie, że jest to pierwszy raz od ponad roku, kiedy któreś z nas wspomina o Delii, nawiązuje do niej w jakikolwiek sposób. Wiedziałam, że kiedyś do tego dojdzie. I wiedziałam, że będzie to bardzo dziwna rozmowa.

Idziemy razem przez kampus w stronę budynku, w którym mam za chwilę zajęcia z angielskiego. Ryan odprowadza mnie i na pożegnanie pochyla się i przytula jeszcze raz. Czuję na policzku gładki i chłodny materiał jego kurtki.

Kiedy wypuszcza mnie z objęć, wbija wzrok w ziemię.

– Nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

Tyle tylko, że teraz, kiedy to się rzeczywiście stało, odnosi się wrażenie, jakby od dawna się na to zanosilo. Jakby w jakiś pokręcony sposób przez ten cały czas Delia była martwa, a my dopiero teraz zaczynaliśmy to pojmować.

– Nie wiem, czy to nie dziwne, mówić to teraz, ale bardzo za tobą tęskniłem.

A ja wiem, że w innej wersji świata niż ta, w której się obecnie znajdujemy, na dźwięk tych słów poczułabym dreszcz radości biegnący wzdłuż kręgosłupa. Dlatego mówię mu, że ja też za nim tęskniłam, chociaż tak naprawdę nasze rozstanie na czas przerwy świątecznej i w ogóle wszystko, co wydarzyło się przed tym momentem, który trwa teraz, wydaje mi się bardzo, bardzo odległe. Nie pamiętam już, co to za uczucie tęsknić. Nie pamiętam w ogóle żadnych uczuć.

Rozdział 2

Poszłam na zajęcia. Mój mózg nie zarejestrował podczas nich absolutnie niczego. I tylko jeszcze bardziej niż zwykle nie miało to dla mnie znaczenia.

Teraz jest tuż po przerwie obiadowej. Jestem w łazience, stoję przy umywalce. Poza mną, trzy umywalki dalej, są tu jeszcze dwie dziewczyny z trzeciej klasy, tak jak ja. Nie znam ich za dobrze, ale znam ich imiona: to Nicole i Laya. Nicole zawsze nosi w uszach duże, srebrne koła, a Laya ma włosy spięte w niesamowicie ciasny kucyk, tak że wygląda, jakby zaraz miało jej rozwalić twarz na pół. Przekazują sobie nawzajem czarny eyeliner.

Nie zwracam na nie większej uwagi, w ogóle nie zwracam na nic uwagi aż do momentu, w którym rozlega się bzyczący dźwięk – to Laya dostała SMS-a. Pół sekundy później rozlega się jej piskliwy głos:

– O w mordę!

Podnoszę wzrok. Nicole maluje sobie właśnie dolną powiekę, ściągając skórę pod okiem tak, że widać jej różowawą spojówkę.

– Co jest?

Mimo że nie mam pojęcia, co Laya zaraz powie, moje serce najwyraźniej jest jasnowidzem, bo zaczyna walić jak oszalałe.

– No więc słyszałaś pewnie, że starszy brat Hanny szkoli się na policjanta, nie?

Nicole kiwa głową, która podskakuje tak, jakby była zbyt ciężka, żeby jej szyja mogła coś takiego unieść.

– I czaisz, że nie powiedzieli nam, w jaki sposób umarła, co nie? No więc Hanna powiedziała, że jej brat jej powiedział, że... – Laya robi dramatyczną pauzę, szykując się na wystrzelenie bomby – to było samobójstwo.

Przez mgłę kompletnego otępienia czuję nagle ucisk w żołądku, a moje serce

przestaje bić. Zginam się w pół, jakbym właśnie dostała w brzuch. Nicole odwraca się do Layi.

– No nie...

– Nooo. I to w Nowy Rok.

– O mój Boże, jakie to smutne! – W głosie Nicole słychać ekscytację. – A wiadomo jak?

Laya wzrusza ramionami.

– Tego już brat Hanny nie powiedział.

– Czytałam gdzieś, że kobiety, czy tam dziewczyny, nie pamiętam, zazwyczaj łykają prochy, ale nie wiem, w sumie to jestem w stanie wyobrazić ją sobie, no wiesz... – Nicole podnosi dwa palce i wkłada je sobie do ust. Potem przekrzywia głowę na bok i wywiesza język.

Strumień wody rozbryzguje się w umywalce, chlapiąc na moją bluzkę. Chyba będę rzygać.

– Zawsze wydawała się dość popieprzona... – mówi Laya.

– Totalnie. Jak jedna z tych gwiazd, które robią różne szalone rzeczy. Tyle, że ona nie była sławna.

– Ta, była sławna, ale tylko w swojej wyobraźni.

Umywalka, przy której stoję, jest już pełna. Woda zaczyna się wylewać na podłogę.

Staję teraz twarzą do nich. Czuję, jakby przeskoczyła we mnie jakaś iskra i wywołała pożar.

– Przestańcie tak o niej mówić – odzywam się. Próbuję opanować drżenie głosu. Odwracają się w moją stronę, jakby dopiero teraz zauważyły moją obecność. – Po prostu, kurwa, przestańcie.

– Yyy, przepraszam, że co? – mówi Nicole. – To prywatna rozmowa. Poza tym byłaś jej przyjaciółką czy kimś bliskim?

Patrzy na mnie, lekko zaciskając usta.

– Tak, byłyśmy przyjaciółkami – odpowiadam.

– Och – mówi Laya. – W takim razie sorry.

I przez krótką chwilę jej słowa brzmią prawie szczerze. Laya i Nicole wymieniają krótkie spojrzenia i zaraz potem po cichu ruszają do wyjścia. Są najlepszymi przyjaciółkami, co oznacza, że czasem rozumieją się bez słów. Patrzę, jak odchodzą. Czuję ucisk w piersi i łzy napływające do oczu. Zamykam powieki. Zaciskam zęby i mrugam raz za razem, żeby odgonić łzy.

Bo tak właściwie, kiedy mówiłam, że Delia i ja byłyśmy przyjaciółkami, to nie była do końca prawda.

Gdybyśmy nadal były przyjaciółkami, to dwa dni temu, kiedy po raz pierwszy od ponad roku zobaczyłam jej imię na wyświetlaczu mojej komórki, odebrałabym połączenie, zamiast je odrzucić i nie odsłuchać nawet potem nagranej wiadomości. Odebrałabym i usłyszałabym głos Delii, i wiedziałabym, że coś jest nie tak. A potem, bez względu na to, co by powiedziała, bez względu na to, jaki miałyby plan, powstrzymałabym ją.

Rozdział 3

1 rok, 6 miesięcy i 4 dni wcześniej

To było takie wspaniałe uczucie – wiedzieć, że nie musi niczego tłumaczyć. Co za ulga. Nie musiała mówić o bólu rozpierającym jej pierś, o ziejącej dziurze, jaką czuła w żołądku, ani o tym, skąd się to wszystko brało i dlaczego tak bardzo nie chciała o tym mówić. Delia po prostu rozumiała. Wszystko.

June wyobrażała sobie, co powie jej Delia. Może coś w stylu: „Ech, rodzice. Pieprzyć ich” albo „Tylko nudziarze mają idealne życie”. Delia potrafiła sprawić, że człowiek czuł, że tak naprawdę wcale nie potrzebuje tego, czego nie może mieć. W ten sposób zmieniała świat.

I właśnie czegoś takiego spodziewała się po niej June, kiedy tak stała w letnim słońcu i czekała, aż Delia sprawi, że wszystko będzie dobrze. Delia przechyliła głowę na bok, jakby się nad czymś zastanawiała. Założyła włosy za ucho, podciągnęła swoje opadające szorty, a potem wzięła June za rękę. Ścisnęła ją mocno, ale nic nie powiedziała. Tylko wyszczerzyła zęby w uśmiechu i poruszyła brwiami.

A potem zaczęła biec.

A ponieważ nadal mocno trzymała rękę June, a ręka June była przytwierdzona do ramienia June, które z kolei przytwierdzone było do jej ciała, June nie miała innego wyjścia, jak tylko pobiec razem z nią. Na początku się potknęła i kiedy prawie wylądowała twarzą na ziemi, poczuła uderzenie adrenaliny, ale po chwili się wyprostowała. Delia była przed nią, z ręką wyciągniętą przed siebie pędziła przez puste pola, długimi susami, ciągnąc za sobą June.

– Czekaaj! – błagała June. – Proszę!

June miała na nogach japonki. Klapały głośno o miękką trawę, dopóki jeden

z nich nie spadł w biegu.

– Zgubiłam but! – krzyknęła.

Ale Delia nie miała zamiaru czekać ani się zatrzymywać.

– Pieprzyć buty! – zawołała.

Więc co innego mogła zrobić June? Strząsnęła ze stopy drugi kłapek i przyspieszyła. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni zdarzyło jej się biec ile sił w nogach.

– Ale dokąd biegniemy? – krzyknęła June.

– PO PROSTU BIEGNIEMY – odkrzyknęła Delia. Mijały w pędzie drzewa, niemal frunęły w powietrzu.

Dziura w żołądku June zaczęła znikać, poczuła na plecach krople potu, rozrywało jej płuca z wysiłku. Mimo to biegły nadal, bez opamiętania i bez tchu, a fragmenty życia June odkruszały się kawałek po kawałku aż do chwili, kiedy cała stała się tylko ciałem w ruchu, rozpędzonymi nogami, ramionami, sercem, ręką utrzymaną w mocnym uścisku. Potykającym się, chwiejnym, bliskim upadku ciałem. Tyle że nie upadała. O to właśnie chodziło. Delia by do tego nie dopuściła.

Rozdział 4

Po szkole spotykam się z Ryanem i idziemy razem do jego domu jakby nigdy nic. Zawsze chodzimy do niego, mimo że u mnie w porze powrotu ze szkoły jest prawie zawsze pusto, a u niego prawie zawsze ktoś jest, a teoretycznie powinniśmy marzyć o byciu sam na sam.

Ryan obejmuje mnie ramieniem i wchodzimy razem do przestronnego holu. Rodzice Ryana są bardzo bogaci. Z jakiegoś powodu, kiedy zaczęłam do niego przychodzić, zupełnie nie zwróciłam na to uwagi. To znaczy, oczywiście, miałam świadomość, że jego dom jest o wiele ładniejszy od mojego, i w tych wielkich, pięknych pomieszczeniach czułam się o wiele lepiej niż u siebie, ale o to akurat nie było trudno. To Delia zwróciła mi na to uwagę, kiedy przyszła tu ze mną po raz pierwszy. Ryan wyszedł na chwilę z pokoju, a ona wtedy przechyliła się przez oparcie olbrzymiej skórzanej kanapy i wpatrywała się we mnie tym swoim intensywnym, nieco rozjechanym spojrzeniem, jak zawsze, kiedy była już pijana.

– W mordę, J. – powiedziała. Trzymała w dłoni róg jednej z niewiarygodnie miękkich narzut i głaskała go jak królika. – Dlaczego nie powiedziałaś mi, że twój kooochaś jest dziaaaany?

Ale ponieważ już wtedy było między nami trochę dziwnie, nie odpowiedziałam: „Jak to, naprawdę?”, mimo że to właśnie sobie pomyślałam. Po prostu wzruszyłam ramionami bez słowa, jakby to nie było nic wielkiego.

Teraz siedzę na sofie, podczas gdy Ryan robi coś w kuchni. Obserwuję go ze swojego miejsca.

– Na pewno niczego nie chcesz? – pyta, otwierając lodówkę. – Może poczujesz się lepiej, jak coś zjesz?

Kręcę tylko głową. Czuję się, jakbym była za szybą.

Ryan wkłada coś do mikrofali, a ja wpatruję się w telefon komórkowy na moich kolanach, w małą ikonkę na ekranie – wiadomość głosową od Delii. Nadal jej nie odsłuchałam. Nie mogę się nawet zebrać w sobie, żeby mu o niej powiedzieć.

Rozlega się brzęk mikrofalówki. Ryan wyciąga talerz i wraca z nim do pokoju. Siada obok mnie i wyciąga laptopa, kładzie go sobie na kolanach i odpala stronę Kaninhus, co po szwedzku znaczy „króliczy domek”. Generalnie chodzi o to, że w Szwecji jest koleś, który hoduje dwa króliki. Te króliki żyją sobie na ogrodzonej przestrzeni w jego ogródku, a gość zamontował tam kamerę, która kręci wszystko dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ryan pokazał mi tę stronę, kiedy zaczęliśmy się spotykać.

– Ale serio, ja naprawdę lubię te króliki – wyznał, niemal jakby się tego wstydził, co było naprawdę urocze. Powiedział mi, że gdyby jego znajomi się o tym dowiedzieli, uznaliby to za megadziwne (jego znajomym naprawdę niewiele potrzeba, żeby uznać coś za „dziwne”).

Widoczne w komputerze króliczki głównie obwążują wszystko wokół, poruszają noskami i jedzą różne rzeczy. Dużo o nich rozmawiamy, zupełnie jakby miały swoją osobowość, plany, marzenia i bogate życie wewnętrzne.

– Cześć, Adi. Cześć, Alva. – Zwracając się do króliczków na ekranie, Ryan przybiera okropny szwedzki akcent. To jeszcze jeden z naszych wspólnych zwyczajów. – Jak się dziś miewacie, króliczki?

Najwyraźniej próbuje mnie czymś zająć, żebym nie myślała o tych innych rzeczach, tak jakby to w ogóle było możliwe. A może po prostu nie ma pojęcia, jak ze mną o tym pogadać, nie wie, jak zmierzyć się z tematem. Cóż, ja też nie wiem, do cholery.

Ale myślę o tym, że jest coś niestosownego w tym, że siedzę tutaj i gapię się na króliki, kiedy Delia nie żyje.

I myślę sobie, że Delia powiedziałaaby pewnie: „Przecież nie żyję, to co się, kurwa, przejmujesz? Oglądaj te pieprzone króliczki, skoro masz ochotę”. A potem kącik jej ust uniósłby się lekko w krzywym uśmiechu, jak zawsze,

kiedy wiedziała, że przegina.

– Jak tam twój scenariusz, Adi? – pyta Ryan. Normalnie od razu włączyłabym się do rozmowy, podpytała Alwę o jej ostatni występ na slامية poetyckim albo czymś takim (bo udajemy, że obydwójce są sfrustrowanymi artystami, którzy uciekli do Szwecji w poszukiwaniu weny). Zamiast tego wyrzucam z siebie wszystko, czego do tej pory nie mówiłam o Delii.

Nie jestem w stanie dłużej trzymać tego w sobie. Otwieram usta, a słowa wyrrywają się na wolność.

– Słyszałam, że to nie był wypadek.

Ryan odwraca się powoli w moją stronę, a uśmiech natychmiast znika z jego twarzy.

– Zaraz, chwila, chcesz powiedzieć, że ona...

Kiwam głową.

– Sama to zrobiła.

– Jezu. Jak?

– Nie wiem. Ale... jest coś jeszcze. – Moje serce wali jak oszalałe. Muszę to z siebie wyrzucić. – Delia zadzwoniła do mnie dwa dni temu. – Nienawidzę siebie za to, co mówię. Nienawidzę siebie za to, że to prawda. – Ale nie odebrałam. Pozwoliłam, żeby włączyła się poczta głosowa. Zostawiła mi wiadomość. Nie odsłuchałam jej wtedy, bo... – urywam. Nie odsłuchałam jej, bo nie byłam w stanie. Bo tak ciężko pracowałam nad tym, żeby wyrzucić Delię ze swojego życia.

– I co było w tej wiadomości? – pyta.

– Ciągle jeszcze jej nie odsłuchałam.

Ryan powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Może wcale nie ma takiej potrzeby – mówi w końcu. – Może to tylko pogorszy sprawę.

– Jak może pogorszyć, skoro już jest najgorzej?

W odpowiedzi kręci tylko głową, wbija wzrok w podłogę, a potem odchyła się i otwiera ramiona w sposób, który uwielbiam, kiedy jestem w stanie czuć

cokolwiek. Tyle że teraz niczego nie czuję.

Przysuwam się do niego mimo to i tonę w jego mocnym uścisku. Siedzimy tak przytuleni kilka minut, aż do momentu, w którym drzwi wejściowe otwierają się i do domu wpada mama Ryana i jego siostra Marissa. Odskakujemy od siebie jak oparzeni. Wstaję.

– Witaj, Junie, skarbie! – mówi z uśmiechem mama Ryana. – Brakowało nam cię przez święta! – dodaje, odkładając klucze i elegancką torebkę na stolik w przedpokoju.

Jego siostra jest już w drodze na górę i macha do mnie ze schodów.

– Marissa wspomniała mi o tym, co się wydarzyło u was w szkole – mówi mama Ryana ze zmartwioną miną. – Co za tragiczna historia, potworna strata. Któreś z was znało tę dziewczynę?

Nie chcę, żeby mama Ryana zaczęła drażnić temat, co na pewno się stanie, jeśli pozna prawdę.

– Ja trochę, jakiś czas temu – stwierdzam więc tylko. – Ale to stare dzieje.

– Och, kochanie, to i tak okropne. Ogromnie mi przykro – podchodzi i mnie przytula. Wiem, że jeśli będzie ścisnąć mnie za długo, nie wytrzymam i pęknę, bo nagle okazuje się, że ledwo daję radę. Muszę natychmiast uciec. Niezgrabnie wyplątuję się z jej objęć.

– Przepraszam, muszę do toalety – mówię. Wychodząc, czuję na sobie wzrok Ryana.

Znalazłszy się w bezpiecznym wnętrzu łazienki, odkręcam kran i osuwam się na podłogę, oparta plecami o drzwi.

Nie mogę czekać ani chwili dłużej. Wyciągam telefon z kieszeni i dzwonię na pocztę głosową. Wstrzymuję oddech.

Najpierw nagranie automatycznej sekretarki: „Wiadomość otrzymana we wtorek, trzydziestego pierwszego grudnia, o godzinie piętnastej pięćdziesiąt dziewięć”, a potem głos Delii: „Cześć, J., to ja, twoja stara kumpela”. Jej głos brzmi jednocześnie bardzo znajomo i tak, jakbym nigdy wcześniej go nie słyszała. „Zadzwoń do mnie, okej?” Chwila milczenia. „Muszę ci coś

powiedzieć.”

I tyle. To wszystko.

Nagle czuję, jak drzwi napierają na moje plecy. Ktoś próbuje wejść do środka.

– Sekundkę! – wołam łamiącym się głosem.

Wsuwam telefon z powrotem do kieszeni i podnoszę się na miękkich nogach. Ochlapuję twarz wodą i osuszam jednym z ich delikatnych ręczników.

Miałam nadzieję, że usłyszę coś w jej głosie, coś, co sprawi, że to wszystko będzie miało jakiś sens, ale Delia brzmiała w nagraniu dokładnie tak jak zawsze. Nie brzmiała jak dziewczyna gotowa na to, żeby umrzeć. Tylko że... była. Była gotowa. Zadzwoiła do mnie dzień wcześniej. Musiała wiedzieć. Czy dzwoniła, żeby mi o tym powiedzieć? Dzwoniła po to, żebym ją powstrzymała?

Otwieram drzwi. Marissa stoi w korytarzu i z uśmiechem gapi się w telefon.

– Przepraszam – mówi, nie podnosząc wzroku. – Myślałam, że jesteś z Ryem. Siedzi w swoim pokoju.

Idę na koniec korytarza. Ryan siedzi na swoim łóżku, oparty o zwiniętą w kłębek kołdrę w niebieską kratę. Czeka na mnie.

– Odsłuchałaś? – pyta.

Kiwam głową.

– Dała mi tylko znać, że musi mi o czymś powiedzieć. To wszystko. Zawsze lubiła trzymać ludzi w niepewności. W tym wypadku na zawsze. – Usiłuję parsknąć śmiechem. Delię na pewno by to rozbawiło. Ale śmiech więźnie mi w gardle, a to, co się ze mnie wydobywa, przypomina raczej kasznięcie połączone ze szlochem. Nie pozwalam sobie na płacz. Nie mogę.

– Nie rozumiem – szepczę.

Ryan kręci głową, a jego twarz tężeje.

– Pewnych rzeczy nie jesteśmy w stanie pojąć.

On też wygląda tak, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Junie? – głos Ryana wrywa mnie z transu. Minęło trochę czasu. Nie spaliśmy, po prostu leżeliśmy w łóżku przytuleni. Słońce już zaszło i teraz pokój

pogrążony jest w ciemności.

Ryan wyciąga do mnie rękę, trzyma coś w dłoni.

– Prezent dla ciebie. – To mała szklana kula śnieżna z uroczą scenką ze stoku narciarskiego. Kiedy przybliżam wzrok, okazuje się, że narciarzem jest królik.

– To Alva – mówi. – Albo Adi – dodaje z uśmiechem. – Pamiątka z ich ferii zimowych.

Próbuję odwzajemnić uśmiech, ale czuję, że wargi odmawiają mi posłuszeństwa.

– Dziękuję. To idealny prezent – stwierdzam.

I myślę o portfelu z królikiem, który czeka na Ryana u mnie w domu, o tym, jak zamówiłam go na stronie Etsy i jaka byłam podekscytowana, kiedy go wreszcie przysłali. Myślę o tym, ile czasu spędziłam, zastanawiając się, czy kupowanie mu prezentu nawiązującego do naszego zabawnego sekretu nie jest przesadą, zbytnim narzucaniem się. I jeszcze, że przez długi czas nie mogłam się zdecydować, czy na portfelu mają być dwa króliczki, czy jeden.

Wspominam dziewczynę, która nie miała poza tym żadnych zmartwień. Wydaje się, jakby to było milion lat temu. Schodzimy z powrotem na dół. W kuchni jest ciepło i jasno i unosi się słodkawy zapach duszonej cebuli. Z lśniącego głośnika stojącego na blacie za zlewem sączy się muzyka – jakiś radosny instrumentalny kawałek, mnóstwo perkusji. Marissa siedzi przed laptopem przy stole w kuchni. Starszy brat Ryana i Marissy, Mac, też już jest w domu i stoi przy kuchennej wyspie. Przed nim skwierczy na patelni mieszanina papryki i cebuli.

Mac ma dziewiętnaście lat i jest trochę inny niż pozostali członkowie rodziny. Oni wszyscy tak ładnie wpasowują się w świat radosnych obiadów rodzinnych, niewymuszonych uśmiechów. Nawet Ryan taki jest, choć podejrzewam, że jakaś jego część chciałaby, żeby było inaczej. To naprawdę miły świat, jednak zawsze czuję się tutaj jak obserwator. Czasem wydaje mi się, że Mac czuje podobnie. W zeszłym roku skończył liceum, a potem wyjechał w podróż po Europie ze swoim zespołem. Wrócił parę miesięcy temu i teraz z kumplami rozkręca

firmę – jakieś supertajne przedsięwzięcie związane z technologiami i robieniem filmów. Dzieli z kilkoma innymi kolesiami mieszkanie w centrum Filadelfii, ale często wpada tutaj na obiady i z innymi sprawami. Odnoszę wrażenie, że Mac prowadzi jakieś podwójne życie. Może należy do tego świata, do którego ja należałam, zanim poznałam Ryana, kiedy wszystko kręciło się wokół Delii.

– Mama poszła na jakieś ćwiczenia, a tata pracuje do późna – mówi Mac. – Jest jedzenie, gdybyście mieli ochotę.

I wręcza każdemu z nas talerz, na którym piętrzą się grillowane krewetki z papryką i cebulą. Na środku stolika kawowego stawia półmisek z tortillami, kwaśną śmietaną i guacamole domowej roboty. Mac jest świetnym kucharzem, ale sama myśl o jedzeniu wydaje mi się kompletnie absurdalna.

Choć nie tak bardzo absurdalna jak świadomość, że Delia nie żyje.

Siadam na kanapie z talerzem na kolanach prawie całkiem nieruchomo.

Delia chłonęła życie wielkimi, łapczywymi kęsami. Nigdy nie było jej łatwo – dużo złego działo się w jej rodzinie i być może te sprawy wgrzyły się w jej umysł. Jednak bez względu na to jak źle się działo, Delia nigdy nie zdecydowałaby się odejść z tego świata, gdyby widziała choć cień nadziei na to, że coś się zmieni. A zawsze się zmienia. Zawsze jest nadzieja. I Delia, którą znałam, doskonale o tym wiedziała.

W takim razie co się, do cholery, stało?

Nikt nie mówi zbyt wiele w trakcie kolacji. Ryan zgarnia cebulę z mojego talerza i daje mi w zamian swoją porcję guacamole. Zmuszam się do przełknięcia kęsa. Kiedy cała trójka kończy jeść, Ryan zbiera naczynia i wychodzi, żeby włożyć je do zmywarki, a Marissa idzie na górę do swojego pokoju. Jesteśmy tylko ja i Mac. Mac podchodzi do kanapy, na której siedzę, pochyla się i mówi cichym głosem:

– Dziś wieczorem coś dla niej organizują. Wiesz, jej przyjaciele z Bryson.

Gapię się na niego. Zastanawiam się, czy specjalnie nie wspomniał o tym przy Ryaniu. Czyżby Ryan opowiedział mu o tym, co się kiedyś wydarzyło?

– Gdzie? – pytam.

Ale Mac kręci głową.

– Niestety, nie wiem zbyt wiele. Słyszałem tylko, że spotykają się w jej ulubionym miejscu. A nie mam pojęcia, gdzie to jest.

Ale ja tylko kiwam głową i nieomal się uśmiecham, bo tak się składa, że to akurat wiem doskonale.

Rozdział 5

2 lata, 5 miesięcy i 24 dni wcześniej

Kiedy Delia i June dotarły wreszcie nad jezioro, chłopcy już tam byli.

Delia wzięła June pod ramię.

– Tylko bez nerwów – szepnęła. – Jeszcze możesz zmienić zdanie – dodała tym swoim słodkim głosikiem zarezerwowanym tylko dla June i jej kota.

Ale June pokręciła głową.

– Chcę mieć to za sobą.

Było lato, ósma klasa się skończyła i June zdecydowała, że już najwyższy czas.

Delia parsknęła wesoło.

– Cóż, skoro tak na to patrzysz.

Szły dalej ścieżką w stronę jeziora. Do June zaczęły docierać różne dźwięki – śmiech, brzdęk butelek, muzyka puszczana z czyjegoś telefonu. Delia twierdziła, że w lecie zbierali się tam niemal co wieczór. Wszyscy chodzili do Bryson, szkoły, do której chodziłaby też Delia, gdyby nie przeprowadziły się z matką do ojczyma Delii.

– Chłopaki z Bryson to niezłe ciacha – stwierdziła kiedyś Delia. – Bardziej w typie skejta niż piłkarza. I dlatego lepiej nie chodzić z nimi do szkoły. Wtedy nie musisz patrzeć z samego rana na ślady po pryszczach, które wyciskali sobie po wyjściu spod prysznic, ani wachać ich kawowych pierdów i generalnie oglądać tego wszystkiego, co sprawiłoby, że szybko staliby się dla ciebie totalnie obrzydliwi.

Dlatego kiedy June wspomniała, że z nikim się jeszcze nie całowała i nie chce tak zaczynać liceum, Delia najpierw zażartowała, że ona ją chętnie pocałuje,

a potem roześmiała się i oznajmiła:

– Cóż, w takim razie będziesz musiała pocałować któregoś z chłopaków z Bryson.

Powiedziała to takim tonem, jakby była to najbardziej oczywista oczywistość. Delia, rzecz jasna, całowała się już z wieloma chłopakami. Jedenastoma, według jej listy.

Podeszły do niewielkiego ogniska i przystanąły. Delia wychynęła zza pleców jednego z chłopaków i wyjęła mu z ręki butelkę piwa, po czym wycofała się i usiadła na kamieniu nieco dalej. Trzymała się z daleka od ognia. Zawsze. Ogień był jedyną rzeczą na świecie, której się bała.

– Cześć, D. – powiedział chłopak, nie odwracając się w jej stronę. Miał swobodnie opadające, dłuższe włosy i koszulkę w czarno-białe paski.

– Cześć, chłopaki – odpowiedziała Delia. – Poznajcie June. – To mówiąc, zwróciła się w stronę June i podała jej piwo. – Słuchaj, June, nie pamiętam imienia żadnego z nich. Ale w sumie nie ma to zbyt wielkiego znaczenia.

June wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Typowa Delia. Faceci uwielbiali, kiedy zachowywała się w ten sposób. June oplotła palcami butelkę z piwem, żeby nikt nie zauważył, że trzęsą jej się ręce. Udała, że upija łyk, i uważniej przyjrzała się grupce.

Było ich czterech: jeden bez koszulki, umięśniony, dwóch w czarnych koszulkach, wyglądających na niezłych twardzieli, i ten czwarty, któremu zwędziły piwo. Patrzyła, jak odgarnia włosy z twarzy. Na nadgarstku, w miejscu, gdzie zwykle nosi się zegarek, miał tatuaż, chyba coś na kształt ósemki, chociaż nie była w stanie stwierdzić na sto procent. Uchwycił jej spojrzenie i w słabym blasku ogniska dostrzegła na jego twarzy cień uśmiechu – albo tak jej się przynajmniej wydawało.

– June, powiedz szczerze – zagaił Ten bez Koszulki. – Czy Delia płaci ci za to, żebyś się z nią kolegowała?

– Nie. Jestem jej wyimaginowaną przyjaciółką – odparowała June.

June nie miała pojęcia, co powie, dopóki te słowa nie wyleciały z jej ust.

W towarzystwie Delii stawała się lepszą, bardziej błyskotliwą wersją siebie. Zupełnie jakby rzeczywiście była kimś, kogo Delia sobie wymyśliła.

Wszyscy chłopcy wybuchli śmiechem. Przez ułamek sekundy June miała poczucie winy. Może nie powinna była żartować sobie z Delii razem z nimi? Ale Delia też się roześmiała i z dumą objęła June ramieniem.

– W takim razie dlaczego my też cię widzimy? – spytał Ten bez Koszulki.

– Delia musi mieć niezwykle bujną wyobraźnię – powiedział Ten w Paski. – Pełną nieprzyzwoitych myśli.

Patrzył teraz prosto na June. Poczowała, że się rumieni, i ucieszyła się, że wokół jest ciemno. Podobał jej się ton jego głosu, seksowny, ale żartobliwy. Jakby mówił to, co rzeczywiście myśli, a jednocześnie żartował z kogoś, kto by to powiedział.

June zerknęła w stronę Delii, która patrzyła to na nią, to na Tego w Paski. Delia ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową. *On*. Chwilę później, kiedy chłopcy zaprosili je, żeby usiadły, Delia rozegrała to tak, żeby June i Ten w Paski usiedli obok siebie. A jeszcze chwilę później Delia ruszyła w stronę wody.

– Hej! – wrzasnęła. – Kto nie idzie ze mną, ten cykor!

Wszyscy patrzyli, jak rozbiera się do stanika i majtek, wspina się na szczyt wysokiej skały i skacze do wody.

– Lepiej chodźmy sprawdzić, czy nie utonęła – odezwał się Ten bez Koszulki, mimo że słyhać już było jej pluski i okrzyki. Ten bez Koszulki i dwaj w czerni wstali. Ten w Paski nie ruszył się z miejsca.

– Następnym razem, kiedy napijecie się wody z kranu – oznajmił Ten bez Koszulki – pamiętajcie, że moczyłem swoje jaja w waszej wodzie! – I z tym okrzykiem skoczył do wody, a pozostali poszli w jego ślady. I tak oto przy ognisku została tylko June z Tym w Paski, dokładnie tak, jak zaplanowała to Delia. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Znowu zauważyła tatuaż na jego nadgarstku. Był pokryty kawałkiem przezroczystej folii. Dotknął go, jakby chciał, żeby zauważyła, że go ma.

– Mam go dopiero od kilku dni – powiedział. – Nieźle swędzi.

– Czy ten tatuaż coś oznacza?

– Tak – odparł krótko.

A ona nie była pewna, czy powinna drażnić ten temat, więc wzięła do ręki patyk i zaczęła grzebać nim w ognisku. Dużo by dała, żeby Delia nadal była obok niej, a nie tam daleko, w wodzie. Serce June waliło jak oszalałe. Czuła się mała i wystraszona. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie Delię, jak kiwa głową. *On.*

June wzięła głęboki wdech, odwróciła się w stronę Tego w Paski, jednym zwinnym ruchem chwyciła kołnierzyk jego koszulki i przyciągnęła go do siebie, aż ich usta się zetknęły.

Przez krótką, przerażającą chwilę po prostu siedział bez ruchu, z zaciśniętymi wargami. Jego usta były zimne i smakowały piwem, a June zaczęła myśleć o rybach, które czasem skubały ją w stopy, kiedy szła pływać w jeziorze, i że pewnie całując jedną z nich, czułaby się bardzo podobnie. Ale pół sekundy później chłopak odwzajemnił pocałunek, a chwilę potem pozwoliła, żeby wsunął język do jej ust.

„To mój pierwszy pocałunek – pomyślała. – Właśnie po raz pierwszy w życiu się z kimś całuję”.

Ale nie był to wcale wyrefinowany, *cool* ani nawet dobry pocałunek. To wszystko było raczej dziwne i, co tu dużo mówić, odrobinę obrzydliwe. Nagle June przyszła do głowy jeszcze jedna myśl: już do końca życia, bez względu na to, ile razy będzie się jeszcze z kimś całować, bez względu na to, kto to będzie i co te pocałunki będą dla niej znaczyć, to był ten jeden, który poprzedził je wszystkie, tutaj, w ciemnościach, z chłopakiem, którego imienia nie znała. Już na zawsze będzie to jej pierwszy pocałunek.

Ten w Paski uniósł rękę i położył dłoń na jej piersi. Miała wrażenie, że jego ręce są odrażająco małe, jak u dziecka. Pomyślała, że chyba wolałaby, żeby przestał, chciała się z tego wszystkiego wymiksować. Ale nie była pewna, jak to zrobić.

Chwilę później wróciła Delia z resztą ekipy, wszyscy drżący z zimna

i ociekający wodą. June i Ten w Paski odskoczyli od siebie jak oparzeni.

– Łooo, a tu co?... – Ten bez Koszulki natychmiast zaczął się wycofywać, ale Delia stała bez ruchu, wyzymając wodę z włosów. June czuła, że jeszcze chwila i się rozpłacze.

– Chodź tu, D. – zawołał jeden z chłopaków. – Chyba nasz ziomek i twoja wymaginowana przyjaciółka chcieliby zostać sami.

– Jak tam woda? – spytała June. Z całych sił starała się, żeby jej głos brzmiał swobodnie, ale przede wszystkim miała wielką nadzieję, że Delia jakimś cudem usłyszy to, czego nie wypowiedziała na głos. I wszystko naprawi.

Delia uniosła mały palec dłoni i przejechała nim po dolnej wardze, intensywnie wpatrując się w June. June podrapała się w ucho. To był ich tajny kod.

Sekundę później Delia zerknęła na komórkę i powiedziała głośno tonem, który tylko June rozpoznała jako fałszywy:

– Sorry, chłopaki, ale musimy już lecieć. Sorry, Junester, ale wygląda na to, że moja mama skminiła, że nie ma nas w domu. Musimy wracać, już i tak mam przesrane.

June podniosła się niezgrabnie.

– To kiepsko – powiedział Ten bez Koszulki.

– Starzy, co poradzisz – powiedział inny.

– To co, zobaczymy się tu jeszcze? – zwrócił się do June Ten w Paski.

A June tylko przytaknęła, nawet na niego nie patrząc. Nie miała najmniejszego zamiaru tu wracać.

Potem oddaliły się w milczeniu. Przez całą drogę do domu Delia trzymała June za rękę. Nigdy więcej o tym nie wspomniała.

Rozdział 6

Kiedy docieram do domu, w mieszkaniu panuje mrok, ale słyszę jazgot telewizora za zamkniętymi drzwiami sypialni mojej matki. Jest po dziewiątej, a ona dziś nie pracuje, co oznacza, że jest pijana. Co tu gadać. Już dawno temu przyzwyczaiałam się do takiego stanu rzeczy i generalnie staram się o tym wszystkim nie myśleć. Ale kiedy wchodzę na piętro po wąskich schodach, daję na moment upust swojej słabości i wyobrażam sobie, że pukam do jej drzwi i mówię jej o tym, co się stało. Wyobrażam sobie, że przytula mnie mocno, tak jak mama Ryana. Wyobrażam sobie, jak mówi mi, że wszystko będzie dobrze. I czuję, jak uderza mnie fala... Czego? Może tęsknoty? Szybko otrząsam się z tych myśli. Moja matka nigdy by się tak nie zachowała. A nawet gdyby tak było, nie uwierzyłabym jej.

Wchodzę do pokoju, przyklękam obok komody i zaczynam wyciągać rzeczy z szuflad. W tym momencie znowu jestem spokojna, w taki dziwny, odległy sposób, zupełnie jakby w ogóle mnie tutaj nie było.

Ryan próbował przekonać mnie wcześniej, żebym została u niego na noc.

– Moi rodzice nie mają nic przeciwko – powiedział. – Biorąc pod uwagę okoliczności... – zaczął miękko, a ja, chociaż nie czułam właściwie nic, wiedziałam, że gdyby to wszystko się nie wydarzyło, byłabym bardzo szczęśliwa, że chce, żebym została. I jakaś część mnie tak bardzo chciałaby przytaknąć, zostać tu i siedzieć na kanapie z całą rodziną, gdzie wszyscy czują się dobrze i ciepło, i bezpiecznie. Kiedy tata Ryana wróciłby do domu, rzuciłby kilka kiepskich żarcików i włączył wiadomości. Potem pocałowałby mamę Ryana w usta, a Ryan żartobliwie przewróciłby oczami. Potem Marissa zrobiłaby popcorn z mnóstwem masła, tak jak lubi, i usiedlibyśmy sobie wszyscy razem. Chłonełabym ich normalność i pozwoliłabym, żeby mnie

otuliła. Udawałabym, że to wszystko w ogóle się nie wydarzyło.

– Powinam wracać do domu – powiedziałam Ryanowi. – Chyba muszę pobyć trochę sama.

I wydawało się, że rozumie, a przynajmniej, że wydaje mu się, że rozumie. Odprowadził mnie do samochodu i stał przed domem, patrząc, jak odjeżdżam. Sama. Czułam się źle z tym, że go okłamałam. Ale nie miałam wyboru.

Teraz, w swoim pokoju, rozbieram się szybko. Naciągam na nogi parę grubych, wełnianych rajstop, a na nie z powrotem spodnie. Wsuwam stopy w skórzane kozaki i zapinam suwaki. Tak bardzo staram się nie myśleć o niczym, nie myśleć o tym, dokąd zaraz pojedę i dlaczego.

Przetrząsam szuflady, aż wreszcie znajduję to, czego szukam. Sweter – cudownie miękki, ciemnozielony, poprzetykany złotymi nitkami. Należał do Delii. Nie nosiłam go od bardzo dawna. Dała mi go w czasach, kiedy między nami wszystko jeszcze było dobrze. „Wyglądam w nim blado”, stwierdziła któregoś razu Delia i cisnęła go w moją stronę. „Musisz mnie od niego uwolnić”. Delia była zawsze niesamowicie szczodra, a zachowywała się, jakby to nie było nic wielkiego. Jakby człowiek oddawał jej przysługę, akceptując jej podarunki.

To z pewnością najładniejszy sweter, jaki kiedykolwiek miałam. Zakładam go, narzucam na niego kurtkę i czarny szal rozmiarów koca, bo jest styczeń, a ja wiem, że nad wodą będzie zimno.

Parkuję na poboczu i wysiadam. Od wieków mnie tu nie było, ale znam tę trasę na pamięć. Ktoś zaparkował tuż przy dziurze w ogrodzeniu biegnącym wokół jeziora. Kręcę z niezadowoleniem głową. Przecież wiadomo, że powinno się parkować dalej. Nikt nie powinien wiedzieć, że ktoś wchodzi na ogrodzony teren – to nielegalne.

Przeciskam się przez dziurę i ruszam wąską, zarośniętą ścieżką. Mój żołądek wariuje. Słyszę ciche pomruki, a kiedy podchodzę bliżej, pomruki zamieniają się w słowa.

– Stary, nie uda ci się rozpalić ogniska. Jest za zimno.

– Odepieprz się, byłem skautem. Mam z tego sprawność.

– Ach tak. – Kilka osób wybucha śmiechem. – A dawali u ciebie odznaki za skręcanie jointów?

Widzę ich teraz, niewielką grupę stłoczoną ciasno wokół miejsca na ognisko. Jedna osoba pochyła się, trzaskając zapalniczką nad stertą gałązek. Tlą się delikatnie, wypuszczając w powietrze cienkie wstążki dymu.

Mój wzrok powoli przyzwyczaja się do ciemności. W świetle wielkiego, jasnego księżyca zaczynam dostrzegać puchówki, parki, czapki, rękawiczki. Oddechy wypuszczane na lodowate powietrze przypominają kłębki waty.

Podchodzę do nich, a serce wali mi jak oszałałe. Nie powinno mnie tu być, wśród jej przyjaciół.

– Hej – mówię.

Parę osób odwraca się częściowo w moją stronę. Dołączam do kręgu wokół ogniska, stając pomiędzy wysokim, żyłastym chłopakiem i wysoką dziewczyną z krótkimi ciemnymi włosami i ustami w kolorze tak intensywnej czerwieni, że widzę je nawet w świetle księżyca.

Ktoś wyciąga wódkę, jedną z tych tańszych, które sprzedają w wielkich plastikowych butlach.

– Za Delię – mówi jeden z chłopaków. – Dziewczynę, która potrafiła chlać jak mało kto.

– Za Delię – powtarzają pozostali.

Potem rozlega się chlupot wódki. To ktoś przechyla butelkę, a mnie ogarnia fala potężnego smutku – to jest ten moment, to jest jej pożegnanie. Kilka osób stojących na zimnie w styczniową noc, wylewających gównianą wódkę na zamarzną ziemię. Butelka przechodzi z rąk do rąk, wszyscy biorą duże łyki. Kim dla niej byli? Jak dobrze ją znali? Jak dużo dla nich znaczyła?

Kiedy butelka dociera do mnie, trzymam ją z daleka od twarzy, żebym nie musiała wachać zapachu alkoholu. Nie wiem, jak zacząć, ale wiem, że teraz może być moja jedyna szansa na poznanie odpowiedzi. Więc po prostu wyrzucam z siebie:

– Czy Delia miała ostatnio jakieś kłopoty? – Mój głos brzmi dziwnie głucho. Jakiś chłopak odwraca się w moją stronę.

– O czym ty mówisz?

– Pytam, czy Delia miała ostatnio jakieś kłopoty.

– A kim ty w ogóle jesteś?

– Jestem June – mówię. – Byłam jej koleżanką. – Czuję się jak podła kłamczucha.

Zapada cisza.

– Delia nie miała kłopotów – mówi chłopak. – Delia sprawiała kłopoty. – W jego głosie pobrzmiwa zadowolenie, jakby uważał, że powiedział coś bardzo błyskotliwego. Nienawidzę go, kimkolwiek jest.

Słyszę czyjś śmiech. Drążę dalej.

– Ale coś musiało być naprawdę nie w porządku – mówię – skoro ona...

– Cóż, nie da się ukryć – mówi inny chłopak. – Ludzie, z którymi jest wszystko w porządku, raczej ze sobą nie kończą.

– Tyle tylko, że nie mówiła nikomu, że coś jest nie tak.

– Gdybyś ją znała, wiedziałabyś. – Ktoś wyciąga rękę i zabiera mi butelkę. – Delia nie lubiła mówić nikomu o swoich prywatnych sprawach.

A właśnie, że tak – mam ochotę wrzasnąć. – Mnie opowiadała.

– Posłuchaj... – odzywa się inny głos, kobiecy, łagodniejszy od pozostałych, z delikatnym południowym akcentem. Jednak zanim dziewczyna zdąży cokolwiek powiedzieć, między drzewami rozbłyska ostre światło i pada kolejno na nasze twarze. Rozlega się trzaśnięcie dwóch par drzwi samochodowych i dwa snopy latarek rozdzierają mrok.

– W dupę – mówi ktoś. – Gliny.

– Masz staftiga? – pyta ktoś z zebranych przy ognisku.

Staftiga?

– Na szczęście nie – odpowiada ktoś inny niskim, zgrzytliwym głosem.

I nagle wszyscy rzucają się przed siebie i rozbiegają się na wszystkie strony. Czuję przypływ adrenaliny, ale zmuszam się do pozostania na miejscu. Bo wiem

coś, o czym oni najwyraźniej nie mają pojęcia, a czego Delia również nie była w stanie zrozumieć: jeśli uciekasz, będą cię gonić. Jeśli zostaniesz i będziesz walczyć, możesz przegrać. Czasem, w obliczu niebezpieczeństwa, lepiej jest zwinąć się w kłębek i przeczekać. Ruszam wolnym krokiem w stronę jeziora. Wdrapuję się na wielki głaz i przykucam.

Jest tu tak spokojnie. Całe zamieszanie zostało gdzieś za mną. Jest tylko księżyc odbijający się w wodzie, migoczący srebrzyście.

Spoglądam w stronę drogi. Drzwi radiowozu są otwarte, a z wnętrza pojazdu wylewa się światło. Widzę sylwetkę policjanta, który trzyma wysoko butelkę wódki. Ktoś był na tyle głupi, żeby wziąć ją ze sobą.

Siedzę na swoim miejscu przez dłuższy czas, patrząc, jak wszystkich spisują i wlepiają mandaty. Jedna osoba zostaje odprowadzona do radiowozu, a cała reszta się rozjeżdża.

I wtedy znowu zostaję sama. I czuję lęk. Tym razem nawet nie wiem dlaczego. Ruszam w kierunku drogi. Moja stopa natrafia na korzeń, potykam się i lecę do przodu, ale w ostatniej chwili łapię równowagę. Serce tłucze mi się w piersi. Nie wiem, czy to dlatego, że przed chwilą prawie upadłam, czy jednak z innego powodu. Idę dalej, po cichu, ostrożnie. Słyszę własny oddech, szum wiatru i bicie swojego serca.

A potem czyjeś kroki.

Jest tu ktoś jeszcze. Nieopodal miga snop niebieskiego światła.

Mam ogromną ochotę obrócić się na pięcie i zacząć biec, ale jeśli to zrobię, ten ktoś na pewno mnie usłyszy. Zmuszam się do oddychania. Ktokolwiek tu jest, na pewno przyszedł na stypę tak samo jak ja, myślę, ale mimo wszystko sięgam do kieszeni i zaciskam dłoń wokół pęku kluczy, tak że ich ostre końcówki wystają między moimi kłykciami. Snop światła znowu rozświetla mrok. Nagle zatrzymuje się na mnie.

– Halo? – rozlega się głos. Jest niski i należy do mężczyzny. Kroki są coraz bliżej. – Proszę – zwraca się do mnie – poczekaj.

Jest już bardzo niedaleko. Podnosi telefon do głowy, tak że jego twarz jarzy

się w ciemności. Duża szczęka, wąskie usta, krótki nos. Dociera do mnie, że go znam. Widziałam go z Delią kilka miesięcy temu na parkingu przed szkołą. Pamiętam, jak obserwowałam ich razem zaskoczona – ten facet zupełnie do niej nie pasował. Zapaśnik, niezbyt wysoki, ale barczysty i umięśniony jak buldog. Delia wskoczyła mu na plecy i oplótła rękoma jego ramiona, a nogami – pas. A on biegał z nią po parkingu tak szybko, jakby ważyła tyle co nic.

– Jestem Jeremiaś – mówi teraz. – Poznaję cię.

– Chodzimy razem do szkoły – potwierdzam, bo czasem, kiedy spotykam ludzi z liceum North Orchard poza szkołą, muszę im uświadamiać, skąd się znamy.

Ale Jeremiaś kręci głową.

– Znam cię ze zdjęcia, które trzymała u siebie w pokoju. Obydwie macie na głowie te dziwne czapki. Opowiadała mi o tobie. Jesteś June.

Doskonale wiem, o którym zdjęciu mówi – też mam u siebie odbitkę. Schowałam ją głęboko w szafie i nie oglądałam jej od bardzo, bardzo dawna.

– Przykro mi, ale się spóźniłeś. W sensie, na stypę – mówię. – Wcześniej była tutaj większa ekipa – próbuję uspokoić łomot serca – ale przyjechała policja.

– Wiem. Obserwowałem wszystko z ukrycia.

– Czemu do nich nie podszedłeś?

– Nie przyszedłem tu, żeby pić z tymi ludźmi – mówi i po chwili dodaje: – Jestem tutaj, bo szukam odpowiedzi.

– Ja też – odpowiadam. – Próbuję zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Dlaczego...

Wiatr świszczy przejmująco. Ciaśniej opatulam się kurtką.

– June, Delia nie popełniła samobójstwa – mówi Jeremiaś i pochyla się w moją stronę. – Została zamordowana.

Czuję, jak przeszywa mnie rozżarzony do białości strumień prądu. Wpatruję się w jego twarz, słabo oświetloną przez wielki żółty księżyc.

– O czym ty w ogóle mówisz?

– Delia zadawała się z mnóstwem popieprzonych ludzi. Nie bała się nikogo ani niczego. Nawet wtedy, kiedy być może powinna. Ona by się nie zabiła,

a jeśli wszystko wskazuje na to, że tak właśnie było... – zawiesza głos. – To dlatego, że ktoś postarał się, żeby to wyglądało na samobójstwo.

Wyciągam rękę, chcę się czegoś złapać dla równowagi, ale natrafiam na zimne powietrze.

– Dlatego musimy się dowiedzieć, kto za tym stoi – oznajmia z mocą. – Bo nikt inny się tym nie zajmie.

– Jeśli ktoś... To znaczy... Musimy iść na policję.

– Już byłem. Nie chcą mnie słuchać. Potakiwali, udając zainteresowanie, dali kilka broszurek o radzeniu sobie ze stratą i odprawili z kwitkiem. – Jeremiaś znowu pochyla się w moją stronę. – Sami musimy rozwiązać tę zagadkę.

Jego słowa docierają do mnie powoli.

– Jesteś jedyną osobą, której zależało na niej na tyle, żeby zadawać odpowiednie pytania.

Oddycham z największym trudem.

– Mówią, że sama to sobie zrobiła, ale to niemożliwe, nie zrobiłaby tego – dodaje.

– Ale co mówią? Co zrobiła?

Jeremiaś milczy dłuższą chwilę.

– Chodź – mówi wreszcie. – Muszę ci coś pokazać.

Rozdział 7

Idę za Jeremiahem w stronę szosy. *Co ja wyprawiam, do cholery?*

Czuję się jak w jakimś koszmarnym śnie. *Ten człowiek jest oszalały z rozpaczy. Nie powinnam za nim iść.*

Wsiadamy każde do swojego samochodu.

Jadę za nim wąskimi, krętymi drogami. Najpierw pod górę Beacon, w dół McKenna, potem Red Bridge. Wygląda na to, że zmierzamy prosto do domu Delii. Jeremiah nie zatrzymuje się jednak przed nim, tylko skręca ostro w prawo i wjeżdża w ślepy zaułek, za którym rozciąga się las. Tam parkuje. Staję za nim.

Przez chwilę siedzę nieruchomo, pogrążona w mroku i ciszy. Jedyne światło w okolicy to żółty okrąg na czyimś ganku. Kładę rękę na sercu. Od ponad roku nie zbliżałam się do domu Delii, choć kiedyś bywałam tu niemal codziennie. Gdybym wtedy miała wskazać swój dom, to raczej byłoby nim to właśnie miejsce niż budynek, w którym mieszkałam z matką.

Otwieram drzwi samochodu i wysiadam. Jeremiah już na mnie czeka.

Chciałabym powstrzymać wspomnienia, nie pozwolić im wypłynąć na powierzchnię. Nie jestem gotowa, żeby się z nimi zmierzyć.

– To tam, między drzewami – mówi cicho.

Znowu unosi telefon, zapala się niebieskie światło. Ostrożnie stąpa po trawie porastającej tereny za domami i po chwili znika pośród drzew. Idę za nim.

Otacza nas kompletna ciemność. Suche liście trzeszczą pod stopami. Oddycham ciężko. Wdech, wydech. *I wtedy czuję ten zapach.* Dziwny odór, którego źródła jeszcze nie potrafię wskazać. Początkowo słaby, przybiera na sile z każdym naszym krokiem, a kiedy wychodzimy spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń, uderza mnie mocno, jak cios pięścią w twarz. Czuć spalone drewno i liście, spieczoną gumę, roztopiony plastik, benzynę. Zasłaniam szalikiem usta

i nos, ale to nie pomaga. Smród jest zbyt silny.

– Co to, do cholery, jest? – pytam.

Stoimy teraz na samym krańcu ogrodu na tyłach domu Delii. Jeremiaś kieruje światło telefonu na jakiś kształt na trawie. Nie potrafię rozpoznać, co to jest.

– Twierdzą, że tutaj to zrobiła – mówi.

– Że tutaj... – urywam nagle, bo już wiem, na co patrzę. To tutaj stała szopka ojczyma Delii. To tutaj przychodził „chłać i walić konia”, jak mówiła. A to, co widzę, to zgliszczona ta szopka – połowa ściany, metalowa konstrukcja, sterta spalonych przedmiotów.

Jeremiaś patrzy na mnie intensywnie.

– Mówią, że tak się zabiła. Że Delia spaliła się żywcem.

Biorę głęboki wdech. Czuję smak powietrza w ustach. Moje nogi zaczynają mimowolnie drżeć.

– W środku było drewno na opał. Oblała je benzyną, siebie też i pufff!... Tak mówią.

Czuję, jak w moim żołądku formuje się gorąca kula. Przed oczami migają mi potworne wizje: Delia uwięziona w szopie, wszechobecny ogień. Boi się, krzyczy.

I nagle to wszystko, o czym mówił Jeremiaś, staje się prawdą, a ja tracę oddech. Bo Delia, która była taką twardzielką, która potrafiła powiedzieć wszystko, zrobić wszystko, pójść wszędzie, miała jeden słaby punkt. Powracają wspomnienia – Delia kuląca się nerwowo na widok małego ogniska tej pierwszej nocy, kiedy odważyła się wyznać swój sekret. Delia panikująca na widok gościa, który bawił się koło niej zapalniczką. Pamiętam jej wzrok, kiedy opowiadała mi o swoich koszmarach, w których było pełno płomieni. „Jeśli kiedyś będę śniła jeden z moich koszmarów przy tobie, musisz przysiąc, przysięgnij na wszystko, że mnie z niego wybudzisz”, prosiła, ściskając mnie za dłonie.

Delia bała się tylko jednego.

– Niemożliwe, żeby sama to zrobiła – stwierdzam. I wiem, że to, co mówię,

jest prawdą.

Jeremiah kiwa głową i zwraca się w moim kierunku. Stoimy w ciemności.

– Teraz rozumiesz już, dlaczego potrzebuję twojej pomocy.

Stoimy z Jeremiahem przy moim samochodzie. Jestem na skraju wytrzymałości.

– Może powinniśmy jednak pójść jeszcze raz na policję – mówię. – Powiemy im, że... – zaczynam w desperacji, próbując chwycić się jakiegokolwiek myśli.

– Już tu byli. Widzieli to wszystko. Nie ma sensu zawracać im głowy, dopóki nie dowiemy się czegoś, czego oni sami jeszcze nie wiedzą.

– Ja... ja od tak dawna się z nią nie widziałam, nie wiem nic o... Od czego miałabym w ogóle zacząć?

Jeremiah się odwraca.

– Mam pewien pomysł. – Podnosi dłoń w rękawiczce i dotyka palcem okiennej szyby. – Kilka tygodni temu zrobiłem coś, z czego nie jestem zbyt dumny. – Zakreśla kółko na pokrytym mgiełką szkle. – To było wtedy, kiedy byliśmy razem. W kółko ktoś do niej dzwonił, ale ona nie zawsze odbierała. Może byłem po prostu trochę zazdrosny. Co tu dużo mówić, nie była najłatwiejszą partnerką – mówi, a słowa dosłownie wylewają się z jego wnętrza. – Zazwyczaj wszędzie brała ze sobą telefon, nawet do łazienki, ale tamtego dnia najwyraźniej o nim zapomniała. A on znowu zaczął dzwonić. Dzwonił już wcześniej, całe popołudnie, więc, no wiesz, tak naprawdę to nie chciałem, ale potem... odebrałem. Po drugiej stronie odezwał się jakiś facet. Powiedział: „Nie próbuj mnie unikać. Wiem, kim są twoi znajomi, wiem, gdzie się szlajasz. Znajdę cię”. Brzmiał jak jakiś szaleniec. Spytałem go, kim jest i czego chce, ale się rozłączył. Sprawdziłem, był zapisany w telefonie jako Tigger. Nie powiedziałem ani słowa, kiedy wróciła z łazienki. Wiedziałem, że jeśli o tym wspomnę, wścieknie się na mnie za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Nie chciałem, żeby była na mnie zła. Idiota ze mnie. Powinienem być z nią wtedy porozmawiać. Powinienem być... – milknie. Przykłada pięść do okręgu na szybie i podnosi na mnie wzrok. – Wydaje mi się, że to może być nasz punkt

wyjścia.

Nic nie mówię. Ale nagle coś sobie uświadamiam:

Tigger. Tig.

Oddech więźnie mi w gardle.

Masz staftiga?

Na szczęście nie.

Kawałki układanki wpadają na swoje miejsca, fragmenty wspomnień łączą się w całość.

– Co jest? – pyta Jeremiaś. Wpatruje się we mnie z zaciśniętą szczęką, przechylając głowę lekko na bok. – O co chodzi?

Wtedy, tam nad jeziorem, mówili nie o jakimś „staftigu” tylko o „stafie Tiga”.

Już otwieram usta, żeby powiedzieć o tym Jeremiaśowi, ale powstrzymuję się w ostatniej chwili. Czy mogę mu zaufać? To chłopak, z którym przecież nigdy wcześniej nie zamieniłam ani słowa, który pół nocy chował się po krzakach i obserwował innych, który odebrał telefon Delii, a potem nawet jej o tym nie wspomniał.

– Nie, nic – odpowiadam więc i zaciskam usta. Tylko czym dokładnie jest ten staf Tiga? To coś, co kolesie tacy jak ci nad jeziorem biorą ze sobą, kiedy chcą zaliczyć pieprzony odlot. Coś, co bardzo chcieliby ukryć przed glinami.

I razem z tą świadomością przychodzi jeszcze jedna myśl: kim w takim razie jest w tej układance Tig...

Rozdział 8

Pojawiłam się na miejscu jeszcze przed wschodem słońca. Siedziałam w samochodzie na parkingu szkoły Bryson High. Nie spałam całą noc. Przez pięć godzin jeździłam bez celu, rozmyślając o Delii. Było trochę jak podczas przerwy świątecznej, tyle że teraz nękały mnie potworne obrazy. Za każdym mrugnięciem widziałam tamtą zwęgloną, zawaaloną szopę. Przy każdym oddechu czułam ten koszmarny smród. Włączyłam głośno radio i zmusiłam się do śpiewu. Właściwie to bardziej wrzeszczałam, niż śpiewałam. Musiałam wrzeszczeć, żeby się nie poryczeć.

Teraz siedzę w kurtce, opatulona szalikiem. Patrzę, jak niebo powoli zmienia barwy, z czarnej przez szarą aż po zimny, czysty błękit. O siódmej dwadzieścia wysiadam z samochodu i ruszam w stronę szkoły, żeby tam poczekać na schodzących się uczniów. Normalnie byłabym przerażona na myśl o nawiązywaniu kontaktu z ludźmi, których nie znam i których będę musiała o coś pytać. Ale, jak się okazuje, w życiu jest dużo znacznie straszniejszych rzeczy.

Wreszcie ludzie zaczynają się schodzić – pojawiają się dwie wysokie dziewczyny w futrzanych kozakach i płaszczach marynarskich, niewysoki chłopak z wielgachnym plecakiem, trzech potężni kolesie w kurtkach futbolowych.

Nie jestem pewna, kogo właściwie szukam, zwłaszcza że zeszłej nocy trudno było ich wszystkich rozpoznać. Okazuje się jednak, że ludzie w typie Delii są dość charakterystyczni i łatwo ich namierzyć.

Zauważam dziewczynę ubraną na czarno, z krótkimi ciemnymi włosami. Podchodzę do niej.

– Znałaś Delię Cole? – pytam od razu.

– Kogo? – Dziewczyna przekrzywia lekko głowę, wyraźnie zdezorientowana. Uśmiecha się delikatnie. Ponawiam pytanie. Kręci przecząco głową.

Pytam o Delię chłopaka z deskorolką i dwie dziewczyny owinięte razem jednym bardzo długim szalikiem, kolesia z irokezem i jeszcze z tuzin innych osób. Wszyscy zaprzeczają. Ale ja wiem na pewno, że są w tej szkole ludzie, którzy ją znali. I nie odpuszczę, dopóki ich nie znajdę.

Trzech gości, których widziałam już wcześniej, idzie teraz w moją stronę – dwaj wysocy i tyczkowaci, jeden krępy. Ubrani są na czarno, zielono i szaro. Czuję nerwowe łaskotanie w brzuchu.

Mijają mnie, a ja odwracam się na pięcie i podążam za nimi. Nie zauważyli mnie. Słyszę ich rozmowę.

– ...stawić się w sądzie – mówi jeden z nich. – Jestem w szoku, że tu dzisiaj jesteś.

– Moja matka wpłaciła kaucję o drugiej w nocy. A potem o szóstej rano weszła do mojego pokoju, stanęła mi nad głową i kazała wstawać do szkoły.

– O jaaa...

– Tja – prycha ten pierwszy. – Swoją drogą, wielkie dzięki, że mi pomogliście.

– Sorry, ale to ty podszedłeś do nich z wódą. Co ty sobie właściwie myślałeś, że zrobicie sobie drinka?

Tak, to są goście, którzy byli na stypie. Przyspieszam, zrównuję się z nimi.

– Siema.

Odwracają się w moją stronę. Jeden uśmiecha się lekko i taksuje mnie wzrokiem od góry do dołu, jak robią niektórzy faceci. Czuję, że włosy fruwać mi niesfornie wokół twarzy. Nigdy nie uważałam się za atrakcyjną – przeciętny wzrost, drobne krągłości, oczy jak oczy, nos jak nos, włosy w odcieniu ciemny blond do połowy szyi.

Delia zawsze powtarzała, że jestem o wiele ładniejsza, niż mi się wydaje. „Ci wszyscy faceci, którzy się na ciebie gapią, widzą to, czego ty nie dostrzegasz” – tak mi mówiła. Ale Delia mówiłaby takie rzeczy nawet, gdyby to nie była

prawda, i szczerze w nie wierzyła, z czystej miłości. Miała chyba jednak trochę racji, bo chłopaki przyglądają mi się uważnie z lekkim uśmiechem. Najwyraźniej cieszy ich moja obecność. Przynajmniej do momentu, w którym mówię:

– Byliście przyjaciółmi Delii.

Po tych słowach natychmiast pochmurnieją. I ruszają pospiesznie w swoją stronę. Podążam razem z nimi.

– Widziałam was wczoraj w nocy – nie odpuszczam.

– Ach tak? – mówi najwyższy. Przystaje i patrzy mi prosto w oczy. – A o co chodzi?

Jego ciemne włosy zebrane są na czubku głowy w mały koczek, „na samuraja”, ma smukłą twarz i pełne usta. Z bliska czuć od niego kwaśny odór wczorajszego alkoholu. Przypominam sobie, jak siedzieli tam wczoraj, pili, śmiali się.

– Tigger? – rzucam na wypadek, gdyby okazało się, że to któryś z nich. Przez chwilę wszyscy milczą.

– Że co? – pyta Samuraj.

– Szukam Tiggera ¹ – mówię, przystając.

– Skacze, fika i wiruje – cedzi Samuraj. – Aż brak mu tchu.

– Sprawdź w chatce Puchatka – wypala drugi, szczerząc zęby. Na twarzy ma kilkudniowy zarost, a na głowie czarną wełnianą czapkę, nasuniętą niemal na oczy. Uśmiecha się.

Zaciskam zęby i zmuszam się do odwzajemnienia uśmiechu.

– Szukam Tiggera, takiego gościa – mówię. – Pomyślałam, że może się znacie.

Czapka i Samuraj spoglądają na siebie.

– Nie, nie wydaje mi się – mówi wreszcie Czapka. Ale widać, że łąże. Jego głos jest niski i chropowaty. To on powiedział, że Delia sprawiała kłopoty. Czuję, że poca mi się dłonie. Nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

– Potrzebuję towaru – mówię. – To Delia zawsze się z nim ustawiała

i załatwiała, co trzeba, dla nas obydwu. A ja nie znam nikogo innego, do kogo mogłabym się zgłosić. Potrzebuję... – zawieszam głos – pomocy.

Wpatrują się we mnie nieufnie, wszyscy trzej.

Sięgam do kieszeni, w której trzymam złożoną dwudziestkę na sytuacje awaryjne. Wyciągam rękę z banknotem.

– To za fatygę – mówię.

Samuraj i Czapka wymieniają kolejne spojrzenie i wiem już, że popełniłam błąd. Teraz są wobec mnie jeszcze bardziej podejrzliwi.

– Sorry, nie możemy ci pomóc – mówi Czapka. – Miłego dnia.

Czapka i Samuraj odwracają się na pięcie i odchodzą. Ale ten niższy zostaje. Wyraźnie się waha. Jest szerszy w barach niż tamci dwaj, a jednocześnie ma bardziej młodzieńczą, łagodniejszą twarz. Może słyszy tę skrajną desperację w moim głosie. A może sam bardzo potrzebuje moich dwudziestu dolarów. Zerka przez ramię na swoich kumpli, którzy zorientowali się już, że został za nimi, i przystanęli kilka metrów dalej. Obserwują go. Sięga po banknot.

– Posłuchaj... – mówi cicho. Zanurza rękę we wnętrzu swojej płóciennej torby na ramię i wyciąga z niej pogryziony ołówek i niewielki zielony notes. Zauważam na jego okładce maleńką naklejkę, puchatego kurczaka z parasolem. Chłopak otwiera notes i zaczyna coś pisać.

– Dzisiaj jest u niego impreza. Możesz wtedy spróbować zdobyć to, czego potrzebujesz – mówi, po czym patrzy mi prosto w oczy. – Ale lepiej, żebyś nie wspominała przy nim o Delii.

Staram się oddychać powoli. Staram się opanować drżenie głosu.

– A to dlaczego?

– Nie byli w najlepszych stosunkach.

– Ach tak – mówię. – Delia nigdy nie wspominała...

Chłopak wzrusza ramionami.

– Nie wiem, o co im tam dokładnie chodziło. Chyba coś mu ukradła, jakoś niedawno. Po prostu ostrzegam cię, że jeśli o niej wspomnisz, cena skoczy w górę. Taki już z niego chuj.

– Dzięki za info.

– I nie mów Tigowi, że ci o tym wspominałem. I w sumie nie mów mu też, że to ja powiedziałem ci o imprezie.

– Spoko – mówię, a po chwili dodaję: – I tak nie wiem, kim jesteś.

Na te słowa on przygryza wargę i podaje mi złożoną kartkę wyrwaną z notesu. A wtedy miga mi przed oczami jego ręka. Widzę nadgarstek. W miejscu, w którym zazwyczaj nosi się zegarek, jest coś, co pamiętam z pewnej nocy z Delią dawno temu – czarna ósemka, znaczek nieskończoności. Pamiętam ten tatuaż i pamiętam, że widziałam go przy ognisku. Pamiętam, jak przerażona się wtedy czułam. Ale był to zupełnie inny rodzaj strachu niż ten teraz. Czuję ciepło wypływające na policzki. Kiedy podnoszę głowę, on nadal się na mnie gapi.

– No tak – mówi Tatuaż. Patrzy mi prosto w oczy i uśmiecha się ledwo dostrzegalnie. Czy mnie pamięta? – W sumie nie wiesz.

Rozkładam kartkę. Jest na niej adres: „Pinegrove Industrial Park 7”. Plus moja złożona dwudziestka.

– To Macktin, niedaleko wody – wyjaśnia.

– Dzięki.

Tatuaż kiwa głową.

– Powodzenia. – Odwraca się i rusza przed siebie, po chwili jednak przystaje i mówi w moją stronę: – I uważaj. Tig... potrafi być niemiły.

– Dam sobie radę – zapewniam. I wzruszam ramionami, o wiele pewniej, niż się naprawdę czuję.

Macha mi niedbale i wraca do kumpli, a ja rozpoczynam długą wędrówkę do samochodu.

W co ona się, do cholery, wpakowała?

1. Tigger – ang. Tygrysek z *Chatki Puchatka* A.A. Milne’a. [\[wróć\]](#)

Rozdział 9

2 lata, 4 miesiące i 17 dni wcześniej

Delia i June leżały na trawie i wpatrywały się w bezbrzeżne ciemne niebo. Ich dłonie splecione były w uścisku.

– Wyobraź to sobie tylko, śmignąć tam w górę – westchnęła Delia rozmarzonym, rzewnym tonem, jak zawsze, kiedy była nastukana. – Jeśli kiedyś pojawi się taka możliwość, lecę w kosmos na bank.

June roześmiała się, ale zamknęła oczy. Nie chciała na to nawet patrzeć.

– Serio mówię. Nie wahałabym się ani sekundy. Wszystko tutaj na dole jest tak bez sensu...

June nie była nastukana jak Delia. Była kompletnie trzeźwa, jak zwykle. I nienawidziła tego poczucia pustki – nad nimi, wokół nich, wszędzie.

– ...a tam nie wydarzyło się jeszcze nic złego – dokończyła Delia. – Wszystko jest nowe i nieskalane. – Delia zaciągnęła się mocno, jakby chciała wciągnąć do płuc cały kosmos. – A jeśli ja polecę, ty lecisz ze mną!

Zupełnie mimo woli June też wzięła głęboki wdech. Poczowała, jak wraz z powietrzem uczucia Delii wpęczają do jej ciała.

I kiedy June ponownie otworzyła oczy, nie widziała nic poza miękką, aksamitną ciemnością pełną nieskończonych możliwości. Przepiękny widok.

Rozdział 10

Znowu jest noc, a ja znowu jestem sama. Przemierzam ulice nieznannej mi dzielnicy Macktin. Dziwnej i wyludnionej. Wzdłuż chodników ciągną się zabudowania przemysłowe, w większości opuszczone.

Wjeżdżam na parking obok budynku do złudzenia przypominającego więzienie. Lęk, który tak bardzo starałam się w sobie stłumić, znowu zaczyna wypływać na powierzchnię. Umiem sobie radzić, ale nie jestem idiotką. Może to wcale nie jest właściwe miejsce, a Tatuaz po prostu chciał mnie wkreślić. Może powinnam była poprosić Ryana, żeby przyjechał tu ze mną. Albo przynajmniej powiedzieć mu, dokąd jadę.

Ale nie mogłam. Wsiadam z samochodu i przywołuję się do porządku. Gdybym mu powiedziała, tylko by się o mnie martwił. Zresztą kiedy po południu wspomniałam mu o tym, że Delię ktoś być może skrzywdził, on tylko pokręcił głową, marszcząc czoło.

– To wszystko jest rzeczywiście bardzo, bardzo smutne, ale nie znaczy, że kryje się za tym jakaś tajemnica – powiedział. Łagodnie położył mi dłoń na policzku, mówiąc do mnie jak do kogoś, z kim trzeba się delikatnie obchodzić. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał, więc poczułam się potwornie skrępowana. Zazwyczaj w jego towarzystwie zgrywam twardzielkę. Lubi mnie za to. Ja też siebie wtedy lubię.

– Delia była bardzo popieprzoną dziewczyną, która robiła sporo popieprzonych rzeczy – ciągnął. – Sama mówiłaś, że to właśnie dlatego przestałaś się z nią przyjaźnić.

Miał rację. Tak mówiłam. Może w pewnym momencie nawet trochę w to wierzyłam. Ale na pewno nie była to cała prawda.

Nie rozmawialiśmy już o tym więcej. Ostatecznie to nawet lepiej, że jestem

tutaj sama, zresztą z tego samego powodu, dla którego zastanawiam się, czy to aby na pewno mądre posunięcie: bo jestem nieprzytłaczająca, nie rzucam się w oczy. Ludzie nie widzą we mnie zagrożenia. A przez to często mówią mi różne rzeczy, mimo że wcale nie mają takiego zamiaru.

Może tak samo będzie dzisiaj.

Stoję przed wejściem. Drzwi są otwarte, przyblokowane cegłą. Wchodzę do środka.

Z sufitu zwisają gołe żarówki wyznaczające trasę długiego korytarza. Na samym końcu znajdują się schody, a do poręczy przyczepiona jest kartka z napisem „Total chaos – tędy proszę” i wielką różową strzałką wycelowaną do góry. Wchodzę więc, coraz wyżej i wyżej, aż zaczynają mnie boleć nogi. Wreszcie docieram na samą górę. Kolejne schody. Czuję pulsowanie w uszach, skroniach, gardle.

Otwieram drzwi i moim oczom ukazuje się ogromna, otwarta przestrzeń loftu.

Jest tu pięknie i niesamowicie.

Nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu. Jest tu jakieś trzydzieści osób, ale spokojnie pomieściłyby się ich setki. Z sufitu zwisają dziesiątki małych białych światełek, a na betonowej podłodze stoją dziesiątki białych grubych świec. W tle leci muzyka, która brzmi jak nie z tego świata. Czuję w sobie jej drganie. Wokół pachnie woskiem i tynkiem.

W kącie loftu znajduje się nowoczesna kuchnia, lśniąca bielą i chromem. Na białej wyspie kuchennej znajdują się rzędy butelek, a wokół stoją ludzie i nalewają sobie różne drinki.

Ruszam w ich stronę, ale nagle czyjaś dłoń zaciska się na moim ramieniu. Odwracam się i widzę mężczyznę w garniturze. Ma dużą okrągłą głowę i szparę między zębami.

– Hasło – mówi, a właściwie warczy.

Hasło?

– Ja... – zaczynam. Myśli galopują w mojej głowie. – Moi znajomi już są w środku – oznajmiam i wskazuję dwie dziewczyny. Są ode mnie parę lat

starsze, mają na sobie króciutkie spódniczki i buty na obcasach. Ja za to wciąż jeszcze ubrana jestem w džinsy i sweter Delii. – Musiały zapomnieć...

Facet kręci głową.

– Nikt nie może wejść do środka bez podania hasła. W tej sytuacji muszę cię poprosić o opuszczenie lokalu.

Ale ja nie mogę wyjść, jeszcze nie teraz. A sama próba zmuszenia mnie do tego sprawia, że nabieram odwagi. „Jesteś słodziutka jak ciastko z kremem – zwykła mawiać Delia – dopóki ktoś nie zabroni ci czegoś zrobić”.

Chrząkam.

– Uważaj na słowa, koleś. Miałam się tu spotkać z Tigiem, więc jeśli mnie powstrzymasz, na pewno nie będzie...

Facet opiera ręce na biodrach i wysuwa szczękę. A potem, niespodziewanie... wybuchą śmiechem. Jakby to był najśmieszniejszy tekst, jaki kiedykolwiek słyszał.

– Ach, lalka, nie dygaj, tylko się z tobą droczę – mówi i patrzy mi prosto w oczy dziwacznie rozszerzonymi źrenicami. – To przez ten garniak, co nie? Wyglądam w nim na kogoś, kto ustala tutaj zasady. – Mruga do mnie i odsuwa się na bok. – Baw się dobrze!

Czuję ogromną ulgę, bo udało mi się wejść. Ale już po chwili czuję obezwładniający strach... bo udało mi się wejść. Zaciskam zęby. Do roboty.

Powoli idę przed siebie. Ewidentnie jestem tu najmłodsza. Wszyscy ci ludzie wyglądają, jakby byli w przebraniach – kolorowe siatki na ramionach, cylindry, błyszczące garnitury w krzykliwych barwach, krótkie sukienki z cekinami. Delia pokochałaby to miejsce. A może je kochała.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Surowa, otwarta przestrzeń. Pod jedną ze ścian stoją trzy olbrzymie białe rzeźby – wysoka na trzy metry głowa, tancerka bez ramion i dwa splecione ciała. Niemal całą przeciwległą ścianę zajmują ogromne okna wychodzące na ponure budynki. Przez szyby widać zimny biały księżyc, który też wygląda, jakby był wyrzeźbiony.

– To dla mnie? – słyszę czyjś głos.

Odwracam się. Obok mnie stoją dwie dziewczyny – jedna wysoka i szczupła, z szeroką brokatową obrozą na szyi, druga trochę niższa, z oczami podkreślonymi zielonym eyelinerem. Obroża podaje Eyeliner małą białą pigułkę. Eyeliner unosi idealne łuki brwi.

– Tak jest – mówi Obroża. – Jego najlepszy towar.

Kładą sobie po pigułce na czubku języka i natychmiast połykają. Gapię się na nie, jakbym chciała tego samego co one.

– Ej, nie wiecie, gdzie znajdę Tiga?

Eyeliner posyła mi zaskoczone spojrzenie i wskazuje odległą część pomieszczenia. Korytarz.

– A gdzie indziej miałyby być?

Staram się oddychać powoli, bardzo powoli. Mijam kołyszącą się parę. Mijam trzy rozchichotane dziewczyny.

I jestem.

Patrzę teraz w głąb korytarza. Prowadzi do innego pokoju, o wiele mniejszego niż ten pierwszy. Pośrodku stoi olbrzymie, staroświeckie łóżko, całe pokryte poduszkami. A na samym jego środku widzę siedzącego po turecku faceta z gładko ogoloną głową.

Tig.

Dziewczyna o długich, tlenionych włosach siada na nim okrakiem i przyciska usta do jego ust. Robię krok w tył. On podnosi wzrok i odsuwa się od dziewczyny.

– Wejdz, zapraszam – mówi wysokim, chropawym głosem. Wskazuje na mnie palcem i gestem przywołuje do siebie.

Podchodzę do niego. Jego szczupłą twarz podświetla od dołu niewielka witrażowa lampka stojąca na szafce nocnej. Nie potrafię określić jego wieku.

Odchyła się na poduszki, głaszcząc włosy dziewczyny, jakby była kotem. W połowie rozpięta koszula ukazuje nagi, umięśniony tors.

– W czym mogę ci pomóc, ślicznotko?

– Potrzebuję towaru – mówię. Nerwowo przyciskam język do podniebienia.

Czuję, jak wzbiera we mnie palący strach.

Tig przekrzywia głowę na bok.

– A co dokładnie byś chciała?

– Coś, żeby... się zabawić – mówię.

Usta Tiga ściągają się w grymasie.

– No nie wiem... Z kim tu przyszłaś?

– Z nikim.

Tig oblizuje wargi i uśmiecha się nieszczercze.

– W takim razie co robisz w moim domu, do cholery?

Uderza mnie kolejna fala lęku, ale wytrzymuję siłę wpatrzonych we mnie oczu i nie spuszczam wzroku.

– Jestem tutaj, bo... – *Bo muszę się dowiedzieć, czy zabiłeś moją przyjaciółkę.*

– Bo dowiedziałam się, że jest tu dzisiaj impreza.

– Ta, kurwa, jasne. – Kręci głową. – Mów albo spadaj.

Czuję, jakby przeszył mnie prąd. Myślę o Tatuazu i o danej mu obietnicy, myślę o mojej martwej przyjaciółce i o tym, że nikt już nie może jej skrzywdzić. Myślę o tym, że jednak ktoś ją skrzywdził. Zaciskam pięści.

– Delia mnie przysłała.

Tig leciutko unosi brew.

– Ach... wiadomość z zaświatów.

Szepcze coś do dziewczyny siedzącej mu na kolanach, a wtedy ona podnosi się z łóżka, wygładza krótką białą spódniczkę i rusza do wyjścia. Kiedy znika, z twarzy Tiga znika również uśmiech.

– Przestań mi tu pieprzyć – mówi. – Czego chcesz?

Może duch Delii rzeczywiście jest tutaj z nami. Delia ani przez sekundę nie bałaby się tego gościa i nagle ja też czuję, że się go nie boję.

– Chcę wiedzieć, co ci ukradła – mówię, chociaż tak naprawdę chcę po prostu, żeby zaczął gadać.

– Ach, czyli powiedziała ci o tym – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Mówiła mi o wielu sprawach.

– Cóż, w takim razie wiesz o wiele więcej ode mnie. – Nagle w pokoju coś się zmienia.

– Co ci zabrała? I co zrobiłeś, żeby to odzyskać?

– Proszę, proszę – mówi Tig. – Czyli przyszedłeś tutaj po to, żeby pomścić swoją biedną martwą przyjaciółkę? – Wydyma wargi, jakby mu było smutno. – Jakie to słodkie.

Coś we mnie pęka. Otwieram usta i nie potrafię powstrzymać napierających słów.

– Wiem, gdzie mieszkasz, wiem, czym się zajmujesz. I jeśli zrobiłeś Delii jakąś krzywdę...

– Czy ty naprawdę mi grozisz? – Jego oczy nie wyglądają normalnie. Uświadamiam sobie, że jest naćpany, i to pewnie wieloma różnymi substancjami. – To by było naprawdę głupiutkie z twojej strony.

Mam ochotę odwrócić się na pięcie i zwiać. Wypuszczam powietrze nosem.

– Wcale ci nie grożę – mówię. – Po prostu stwierdzam fakty.

– Cóż, w takim razie ja też stwierdzę parę faktów. Nie powinnaś wsadzać nosa w nie swoje sprawy. Ale trzeba przyznać, że masz jaja. Lubię to w dziewczynach – urywa na chwilę. – Dlatego oddam ci przysługę i powiem ci coś o twojej przyjaciółeczce:

wpakowała się w niezłe szambo, z którym nawet ja nie chciałem mieć do czynienia, a to już naprawdę o czymś świadczy. Ale nie zrobiłem jej nic złego, jeśli o to pytasz. Powiedziała, że potrzebuje go do obrony. To była jej wymówka.

– Przed kim chciała się obronić?

Tig wzrusza ramionami, a jego usta rozciągają się w uśmiechu.

– Biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło, powiedziałbym, że przed sobą samą.

Po tych słowach zrywa się z łóżka, jest wysoki i muskularny. Otwiera szufladę szafki nocnej i wyjmuje fiolkę z pigułkami. Idzie w moją stronę, potyka się, łapie równowagę, znowu się potyka. Podchodzi, chwyta mnie za nadgarstek. Jego dłoń jest silna i bardzo ciepła. Wciska mi coś do ręki i zwalnia uścisk.

– Co to jest? – pytam na widok małej białej pigułki.

– Prezent pożegnalny – odpowiada. – Bo nadszedł właśnie czas, żebyś opuściła moją imprezę.

Stoi z rękami opartymi na wąskich biodrach i wiem już, że nic więcej z niego nie wyciągnę. Niczego mi już nie powie.

Ciągle rozedrgana przechodzę do większego pomieszczenia. Ktoś mnie obserwuje – dziewczyna z krótkimi czarnymi włosami. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że skądś ją kojarzę. Podnosi rękę i macha do mnie.

– No już, zmykaj – mówi Tig. Stoi tuż za mną. – Drugi raz nie będę prosił cię tak miło.

Upuszczam pigułkę na podłogę i miażdżę ją podeszwą.

Czuję wściekłość i przerażenie aż do mdłości. Nie wiem zupełnie, co myśleć o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Nie wiem już, co myśleć ani w co wierzyć.

Staję w drzwiach wyjściowych, odwracam się i po raz ostatni omiatam wzrokiem imprezę. Leci już inna muzyka. Ludzie tańczą z rękami w górze. Dziewczyna w długiej złotej sukience klęczy na podłodze w miejscu, w którym rozgniotłam pigułkę i wciąga nosem proszek, który z niej pozostał.

Zbiegam po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Im bardziej zbliżam się do wyjścia, tym więcej mijam ludzi zmierzających na górę. Widzę wszystko jak przez mgłę, twarze zlewają mi się w jedną masę. Na górze ktoś podkręca muzykę.

Przyszłam tutaj po odpowiedzi, a wychodzę z kolejnymi pytaniami. Jedno wiem jednak na pewno: jeśli Delia uważała, że potrzebuje ochrony, to znaczy, że nie była zaskoczona.

To znaczy, że spodziewała się tego, co się jej przytrafiło – cokolwiek to było.

Rozdział 11

5 lat, 3 miesiące i 8 dni wcześniej

Jakiś czas później Delia wyjaśniła June, że znalezienie najlepszej przyjaciółki to jak znalezienie prawdziwej miłości: kiedy ją spotykasz, po prostu wiesz, że to ona. Ale kiedy w trzecim tygodniu szóstej klasy superprzebojowa Delia, nowa dziewczyna w szkole, zaprosiła June, żeby ją odwiedziła i została na noc, June czuła mieszaninę strasznego zdenerwowania i przyjemnego zaskoczenia. Zastanawiała się, czy przypadkiem Delia jej z kimś nie pomyliła. A może po prostu minęło jeszcze za mało czasu i Delia nie zdążyła zakumplować się z popularnymi dziećmi ze szkoły?

June była rozpaczliwie, desperacko samotna, aż do bólu. Spędzała weekendy zupełnie sama, czytając albo sprzątając po swojej matce. Podobała jej się ta nowa dziewczyna, jej duże turkusowe kolczyki i ogromny uśmiech. Podobało jej się to, że najwyraźniej miała w dupie absolutnie wszystko i wszystkich. I dlatego, mimo że June nigdy wcześniej nie została u nikogo sama na noc i stresowała się na samą myśl o tym, przyjęła zaproszenie. Tego wieczoru ojczym Delii pracował do późna, więc jej mama pozwoliła im zamówić na kolację pizzę i colę i zjeść w pokoju Delii.

– Mój ojczym jest diabetykiem – wyjaśniła Delia, siorbiąc z puszki. – Więc jedyne napoje gazowane, jakie mamy w domu, są w wersji light. Przecież to trucizna. Moja własna matka próbuje mnie otruć.

Delia nie usiadła, żeby zjeść. Zamiast tego chodziła po pokoju, wskazując na różne przedmioty, jakby była kustoszką wystawy – niewielki zimowy pejzaż, który znalazła na wyprzedaży charytatywnej, wykradziony matce słoiczek po lekach na receptę (Delia trzymała tam teraz miętówki), ogonek od czereśni,

który zaplątała kiedyś w supełek językiem (jedyne takie jej dokonanie, dlatego zachowała go jako dowód). June nigdy wcześniej nie widziała pokoju wypełnionego taką ilością interesujących rzeczy. Zupełnie jakby Delia spodziewała się, że zaraz wpadną tu ludzie, którym można by pokazać to i owo.

Krótko po dziesiątej ojczym Delii wrócił do domu i zza zamkniętych drzwi sypialni zaczęły dobiegać jego furiackie okrzyki. To wtedy Delia powiedziała, że czas się ulotnić.

Wylazła przez okno swojego pokoju i zeskoczyła na trawę. Mimo strachu June zrobiła to samo. Kilka razy przeszły się po okolicy w tę i z powrotem. Powrzucały sąsiadom mleczko do skrzynek pocztowych. Zajrzały przez szybę do pokoju przystojnego chłopaka, który chodził do liceum. Udało im się zobaczyć, jak zdejmuje ubrania – rozebrał się aż do bokserów i dopiero wtedy zasunął zasłony.

– Cholera – mruknęła z niezadowoleniem Delia, a po chwili uśmiechnęła się szeroko. – Mam pomysł.

I wtedy – June nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę – Delia sięgnęła za plecy i przez koszulkę rozpięła sobie stanik, po czym wyjęła ręce z rękawów, powierciła się chwilę i nagle stanik zadyndał swobodnie na jej wyciągniętej dłoni. Tak po prostu, na środku ulicy. June wpatrywała się w niego w świetle sączącym się z okien domów. Był czarny, z fiszbinami. Prawdziwy stanik, bo Delia miała już prawdziwe piersi. Zaraz przekonała June, żeby ta zrobiła to samo, i nauczyła ją, jak zdjąć stanik bez ściągania bluzki. June była okropnie zawstydzona, bo jej stanik przypominał miniaturową podkoszulkę. Ale Delia zdawała się tego nie zauważać albo w ogóle jej to nie obchodziło.

– A teraz co? – spytała June bez tchu, rozbawiona.

– A teraz oznaczamy nasze terytorium – wyjaśniła Delia, chwytając June za rękę. Zakradły się pod dom przystojnego sąsiada, Delia otworzyła czerwoną skrzynkę i wrzuciła obydwie staniki do środka.

– I już – powiedziała – teraz łączy nas wspólny sekret.

June przytaknęła, udając, że rozumie, mimo że tak naprawdę zrozumiała

dopiero, kiedy Delia dodała:

– Prawdziwe przyjaciółki mają wspólne sekrety. Sekrety łączą na zawsze.

A June poczuła ekscytację na myśl o tym, że Delia *chciałaby* być z nią połączona.

Potem wślizgnęły się z powrotem do domu Delii. A potem, mimo że wcale nie było to *cool*, June przyznała się Delii, że była to najprawdopodobniej pierwsza rzecz, jaką zrobiła wbrew regułom. Może nawet pierwsza taka rzecz w całym życiu. Delia tylko się uśmiechnęła.

– Najwyraźniej nie spędzałaś ze mną wystarczająco dużo czasu – powiedziała.

– Będziemy musiały coś z tym zrobić.

Po cichutku weszły na górę. Delia z namaszczeniem zamknęła za nimi na klucz drzwi sypialni. Potem pochyliła się w stronę June i zniżając głos do szeptu, wyjaśniła:

– Mój ojczym to straszny dupek. Dlatego zawsze zamykam drzwi, na wypadek gdyby...

June przeszły ciarki.

– Gdyby co?

– Gdyby czegoś próbował.

– A próbował już?

Delia wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Ale jeśli kiedykolwiek będzie się do mnie dobierał... – Delia sięgnęła do szuflady biurka i wyciągnęła z niej nóż sprężynowy. Trzymając go w górze, wycedziła: – Będę gotowa.

Usta June mimowolnie ułożyły się w małe, zszokowane „o”. Delia nacisnęła srebrny guzik na nożu. Zamiast ostrza wystrzelił w górę plastikowy grzebień. Zanim June zdołała poczuć pełnię swojego zażenowania, Delia zaczęła się śmiać. Był to radosny, nieskrępowany śmiech, ale najlepsze w nim było to, że June wcale nie czuła, że Delia śmieje się z niej. Było raczej tak, jakby zapraszała ją do wspólnych żartów.

– Szkoda, że nie widziałaś swojej miny – powiedziała, kręcąc głową. –

Totalny szok, kosmos. – Objęła June ramieniem. – Nie zmienia to faktu, że mój ojczym naprawdę jest dupkiem. W ogóle mam głównianą rodzinę. A ty?

– Ja mieszkam tylko z mamą. Też jest beznadziejna.

I wtedy z jakiegoś powodu – może dlatego, że June podobał się śmiech Delii, a może dlatego, że nie pamiętała już, kiedy ostatnio była wobec kogoś szczerą, tak naprawdę i totalnie, a może po prostu dlatego, że było już późno, a w nocy najtrudniej jest zachować myśli dla siebie – June zaczęła mówić. Opowiadała o tym, że jej matki nie ma w domu przez większość nocy, nawet jeśli nie pracuje. O tym, jak wraca do domu nad ranem, śmierdząc alkoholem i objijając się o meble. O swoim ojcu, którego spotkała zaledwie dwa razy w życiu. O tym, jak jej mama przewróciła się i skręciła nadgarstek, bo potknęła się o szkolny plecak June i miała o to do niej pretensje i jak bardzo June czuła się wtedy winna, ale też zupełnie zdezorientowana zapachem oddechu własnej mamy.

June mówiła, mówiła i mówiła, słowa wypływały z jej ust silnym strumieniem, jakby była kranem i zapomniała się zakręcić. A kiedy wreszcie skończyła, zalała ją fala potwornego wstydu. Właśnie zrujnowała dopiero co rozpoczętą przyjaźń.

– Przepraszam – wymamrotała June. Policzki płonęły jej ze wstydu i obrzydzenia do samej siebie. Poczła się nagle słaba.

Ale kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Delia wpatruje się w nią z lekko przechyloną głową. Nie wyglądała na znudzoną ani zniesmaczoną. Wcale nie uważała June za dziwadło. Po prostu uśmiechnęła się uśmiechem mędrca doświadczonego przez życie.

– To w sumie dość niesamowite, że chociaż mamy tak popieprzone rodziny, obydwie jesteśmy absolutnie fantastyczne, nie?

June poczuła dziwną lekkość w środku. *My.*

– W sumie tak – powiedziała. Zmusiła się do śmiechu, który po chwili stał się szczery.

Po rozmowie umyły zęby i ubrały się w piżamy. Delia przyniosła im trzy szklanki wody („Ja potrzebuję dwóch, na wypadek, gdyby śnił mi się ogień”),

a potem leżały obok siebie na olbrzymim łóżku Delii. Delia czesała włosy June sprężynowym grzebieniem – nalegała na to, tłumacząc, że jej własne loki były zbyt gęste i że w związku z tym jeszcze nie miała okazji go wypróbować. June czuła się naćpana radością i ulgą: teraz, kiedy ma już przyjaciółkę, i to taką, wszystko będzie dobrze. Nie będzie już taka strasznie samotna. Nie będzie sama. Ta dziewczyna zmieni wszystko.

Rozdział 12

W moim brzuchu zieleje ogromna dziura. Mogłaby pochłonąć mój pokój, dom, cały świat.

Odrzuciłam Delię, a teraz ona nie żyje.

Potężna fala smutku uderza we mnie z taką siłą, że z trudem łapię oddech. Otwieram szafę. Sięgam ręką w głąb i próbuję wymacać zdjęcie. Wyciągam je i opadam na łóżko.

Ramka jest brokatowa, ozdobiona na górze dwoma emaliowanymi misiami, które trzymają między sobą serce. Delia dała mi ją w wakacje po szóstej klasie. Ten prezent był czymś pół żartem, pół serio. Na zdjęciu jesteśmy we dwie, obydwie zerkamy spod tych absurdalnych słomkowych kapeluszy, które Delia dla nas kupiła. Jestem ja – blond włosy, nierozpoznawalna twarz – i jest Delia. Jej czarne kręcone włosy wypełniają połowę zdjęcia. Oliwkowa skóra, spory, mocno zarysowany nos, hardy podbródek. Jej duże usta rozciągnięte są w największym z uśmiechów. Delia zawsze twierdziła, że wygląda na trochę szurniętą. Zwykła mawiać o sobie, że „nie jest ładna, tylko seksowna”. Jednak nie do końca miała rację, bo kiedy uśmiechała się, tak jak na zdjęciu, była najpiękniejszą osobą na całym świecie.

Kiedy przestałyśmy się przyjaźnić, powtarzałam sobie, że to tylko na chwilę. Że pewnego dnia wszystko wróci do normy. Nigdy w to nie wątpiłam.

Nareszcie, nareszcie poczułam napływające do oczu łzy. Wiem, że już się z nią nie pogodzę. Nie powiem jej, że ją przeproszam. Już niczego nie będę mogła jej powiedzieć. Naprawdę jej nie ma. Odeszła.

Kładę ramkę na kolanach i wyciągam telefon z kieszeni. Łączę się ze swoją pocztą głosową, żeby usłyszeć jej głos. Usłyszeć ostatnie słowa, jakie do mnie wypowiedziała.

„Cześć, J., to ja, twoja stara kumpela...”

Tak wiele było okazji, żeby wszystko między nami naprawić. Tyle okazji, których nie wykorzystałam. Nie wiem, co działo się w jej życiu, ale wiem, że gdybym była przy niej, chroniłabym ją.

– Hej, D. – szepczę, nadal słuchając nagrania. Muszę wypowiedzieć te słowa, mimo że nigdy ich nie usłyszy. – Wiem, że dawno nie gadałyśmy i że wydarzyło się między nami sporo niedobrego, ale chciałam ci powiedzieć, że bardzo za tobą tęsknię. – Czuję w piersi taki ucisk, jakby miało mi zaraz eksplodować serce. „Muszę ci coś powiedzieć”, słyszę jej głos w słuchawce. Po policzkach wciąż płyną mi łzy, gorącym, nieprzerwanym strumieniem. Nie przestaję mówić: – I jest mi tak strasznie, strasznie przykro z powodu tego wszystkiego, co się wydarzyło. Powinnam...

Nagle urywam, bo dzieje się coś bardzo dziwnego: Delia przestała już mówić, a jednak nagranie się nie skończyło – ciągle słyszę dźwięki dobiegające z telefonu. Szuranie, jakby odgłosy szarpaniny, a potem znowu głos Delii. Tyle że tym razem nie zwraca się do mnie, a do kogoś w tle: „Zobaczysz, że wszystko powiem – grozi. Jej ton jest trochę zadziorny, ale podszyty niepokojem. – Powiem, co zrobiłeś”.

Przyciskam ucho do słuchawki. Rozlega się drugi głos, męski. Krzyczy. Nie jestem w stanie rozróżnić poszczególnych słów, ale słyszę jedno: wściekły ton głosu. Agresywny i przerażający. Wstrzymuję oddech, ciało wypełnia się lodem. I wiadomość dobiega końca.

Adrenalina uderza mi do głowy. Już nie płaczę. To, co właśnie usłyszałam... Nie, to niemożliwe. Nie mogłam tego usłyszeć.

Włączam wiadomość jeszcze raz. Jeszcze raz wsłuchuję się w głos Delii. Potem szarpanina. Potem Delia: „Zobaczysz, że wszystko powiem. Powiem, co zrobiłeś”. I potem ten głos w tle, ten męski głos, ta wściekłość.

Szumi mi w uszach. Nie mam najmniejszych wątpliwości. Ta osoba w tle. Wiem, kto to jest.

To Ryan.

.....
Ręce mi się trzęsą. Ledwo oddycham. Zerkam na zegarek. Jest po pierwszej. Ryan na pewno już śpi.

Po czterech sygnałach włącza się jego poczta głosowa. Rozłączam się i dzwonię jeszcze raz. Tym razem sygnałów jest więcej. Wreszcie odbiera.

– Ffflo? – Niemal widzę go, jak leży z twarzą przyciśniętą do poduszki, z jedną nogą wyciągniętą spod kołdry, bo zawsze tak właśnie śpi. Wyobrażam go sobie z Delią, jak wrzeszczy na nią dzień przed jej śmiercią.

– Musimy pogadać – mówię, a mój głos brzmi dziwnie, zupełnie jak nie ja.

– Wszystko w porządku? Która jest godzina? – Niemal widzę, jak siada na łóżku, drapiąc się po piersi. Wyobrażam sobie, jak powolne, zaspane bicie jego serca nagle przyspiesza. – Czy coś się stało?

Tak, myślę, coś bardzo, bardzo złego. Ale na głos mówię tylko:

– Możemy się spotkać?

Bo wiem, że możemy odbyć tę rozmowę tylko twarzą w twarz.

Waha się zaledwie przez ułamek sekundy. Wyobrażam go sobie, jak myśli o tym, że jest bardzo późno i że musi rano wstać na swój trening pływacki.

– Jasne – odpowiada. Wiedziała, że tak powie. Bo przecież Ryan zawsze robi to, czego się od niego oczekuje. Chociaż może się okazać, że nie do końca mam rację w tym przypadku. – Przyjechać do ciebie?

– Nie – odpowiadam. – Ja do ciebie przyjadę.

Rozdział 13

Piętnaście minut później zajeżdżam pod jego dom. Moje ciało aż buzuje. We wszystkich oknach jest ciemno, ale jasna lampa nad drzwiami frontowymi rozświetla mrok. Ryan stoi w jej blasku na ścieżce i pociera dłonie, żeby się rozgrzać.

Staję na trawie, a kryształki lodu trzeszczą mi pod stopami. Ledwo widzę jego twarz.

– Skarbie – mówi, wydmuchując ciepły obłoczek na mroźne powietrze. Nigdy wcześniej nie mówił do mnie „skarbie”. – Wszystko w porządku? Co się dzieje? Powiedz.

Przyciąga mnie do siebie i przez chwilę niemal mu na to pozwalam. Czuję wstyd, że tak desperacko pragnę być przytulana, czuć przy sobie czyjeś ciało, słyszeć, że wszystko, absolutnie wszystko będzie dobrze. Robię krok w tył i unoszę ręce w obronnym geście.

– Byłeś z Delią – mówię. Po raz pierwszy od roku wypowiedziałam przy nim jej imię.

– Co masz na myśli? – szepcze. – Miałaś zły sen czy co?

Potrząsam głową.

– Byłeś z nią w rzeczywistości, w sylwestra – z trudem wyduszam z siebie kolejne słowa.

– Junie, przerażasz mnie. Nie mam pojęcia, o czym mówisz...

Wyciągam telefon, dzwonię na pocztę głosową i włączam głośnik.

– Słuchaj.

„Wiadomość otrzymana...” Potem Delia: „Cześć, J., to ja, twoja stara kumpela...”. Patrzę, jak na ekranie mijają kolejne sekundy. Po dziewięciu Delia milknie. Czuję na sobie spojrzenie Ryana. Nie podnoszę wzroku.

– Co to jest? – odzywa się Ryan.

– Czekaj chwilę.

W czterdziestej drugiej sekundzie ponownie rozlegają się głosy. Delia: „Zobaczysz, że wszystko powiem...”. Potem krzyki. Dopiero kiedy nagranie wreszcie się kończy, wyłączam telefon i patrzę na Ryana.

– Nie rozumiem, o co chodzi – mówi cicho.

– To była wiadomość, którą mi zostawiła na dzień przed śmiercią – wyjaśniam. – A w tle słychać twój głos.

Mój ton jest zimny, bezwzględny. Nigdy wcześniej nie słyszał, żebym mówiła w ten sposób.

Zastanawiam się, jak będzie się tłumaczył. Boję się tego, co powie. Boję się tego, co przemilczy.

Ale on tylko stoi, w kompletnej ciszy. Wreszcie wypuszcza z płuc długie, ciężkie westchnienie, które wzbija się w powietrze białym kłębem.

– Proszę cię, powiedz, że to jakiś żart – zwraca się do mnie znowu tym łagodnym, zatroskanym tonem.

– Mówię zupełnie poważnie.

– Jakies przypadkowe wrzaski w tle, których nawet nie da się zrozumieć... To mam być ja?

Nie wydaje się zły, raczej zraniony i tak autentycznie zdezorientowany, że po chwili ja też zaczynam czuć konsternację. Wtedy, w domu, byłam przekonana, że mam rację. I ta pewność napełniała moje wnętrze ogniem. Ale teraz, tutaj, pośrodku mroźnej nocy...

– To nie ja – mówi Ryan. – Spałaś chociaż trochę od wczoraj? Jadłaś coś? Naprawdę rozumiem, że możesz być koszmarnie zdołowana, masz do tego pełne prawo, naprawdę... – urywa i patrzy na mnie wyczekująco, jakby czekał, aż dotrą do mnie jego słowa. W sumie rzeczywiście nie spałam za dużo. Praktycznie nic nie jadłam. Ale jak mogę jeść, kiedy Delia nie żyje? Jak mogę spać, skoro ktoś, kto jej to zrobił, jest na wolności?

– W tym czasie byliśmy w Vermont – przypomina mi Ryan. – Nie zdążyłem

jeszcze wrócić z rodzinnego wyjazdu. – Brzmi tak, jakby było mu przykro, że musi mi uświadomić absurdalność moich oskarżeń.

Bo przez krążącą w żyłach adrenalinę zapomniałam kompletnie o wyjeździe, z którego dopiero co wrócił. Zapomniałam w ogóle o upływie czasu, o całym świecie, o tym, jak właściwie działa i co jest logiczne, a co niekoniecznie. Znowu przykładam telefon do ucha i odtwarzam wiadomość. I tym razem krzyki brzmią jak... nikt. Nikt, kogo bym znała. To mógł być ktokolwiek.

– O Boże – szepczę tak cicho, że sama ledwo siebie słyszę. Widzę teraz absurdalność swojego zachowania i jest mi okropnie wstyd, że jechałam do niego w środku nocy. Że wyciągnęłam go z ciepłego łóżka, z jego uroczego domu, i oskarżam o nie wiadomo co. Wstyd mi, że wciągnęłam go w to bagno. – Przepraszam cię, tak mi głupio.

– Stało się coś potwornego, szokującego, niewiarygodnego, wiem – mówi Ryan. – Nie masz za co przepraszać. Ale pogodzenie się z tym, że ona... że naprawdę stało się to, co się stało, w żaden sposób nie uczyni cię winną. – Chwyta moje ramiona. – To nie jest ani twoja wina ani nikogo innego. Delia była popieprzoną dziewczyną, która zrobiła bardzo głupią rzecz i się zabiła. I to, że kłóciła się z jakimś facetem tuż przed śmiercią, niczego nie zmieni. Dlatego proszę, obiecaj mi, że skończysz z tym wszystkim, bo inaczej zwariujesz.

Wpatruję się w niego, w jego piękną twarz skrytą w półmroku.

Chcę powiedzieć „tak”. I rozumiem, dlaczego Ryan tak myśli. Ale Ryan nie znał Delii tak dobrze jak ja. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak to wszystko wygląda z jego perspektywy. Jest taki spokojny i rozsądny, i to właśnie tak bardzo w nim lubię, a może – uświadamiam sobie nagle – nawet kocham. On nie ma dostępu do pewnej części mojego świata, do tej ponurej ciemności, którą tak usilnie starałam się ukryć.

– Obiecasz mi? – pyta.

Z całych sił powstrzymuję łzy piekące mnie pod powiekami. Desperacko nie chcę się przy nim rozpląkać. W jego obecności jestem kimś innym – lepszą wersją siebie, ale w inny sposób niż w obecności Delii. Ta wersja mnie, którą

on widzi, jest zawsze silna i odważna, przynajmniej pozornie. Poza jednym dziwnym wydarzeniem na samym początku w naszym związku nie było dramatów. Jednak wciąż siedzi we mnie głęboko ukryty lęk. Nieustannie boję się, że nasz związek się skończy. Ale nie daję tego po sobie poznać, więc to, co na wierzchu, jest jasne i czyste. Stojąc pod nocnym niebem, uświadamiam sobie w pełni – chociaż nie jest to dla mnie żadna nowość – jak ważne jest dla mnie, żeby tak właśnie zostało. Kochałam Delię, nadal ją kocham. Ale nie mogę wciągać Ryana w to wszystko. On nie należy do tej części mojego świata. Nie mogę go do niej wciągnąć.

– Okej – mówię. – Przestanę, obiecuję. – I w tym momencie cieszę się, że jest tak ciemno, że nie może dostrzec, jak kłamię. Ryan znowu mnie obejmuje i pyta, czy chcę wejść.

– Przemkniemy się po cichu do mojego pokoju – mówi. – Mogłabyś zostać na całą noc.

Ale odmawiam mu, dziękuję i mówię, że mam nadzieję, że będzie miał jutro rano udany trening i że zobaczymy się po południu.

– Jesteś pewna? Na pewno wszystko w porządku?

Kiwam głową.

– Jestem naprawdę strasznie zmęczona – mówię. – Chyba muszę się porządnie wyspać.

A on w odpowiedzi również kiwa głową, jakbym nareszcie zaczęła mówić z sensem. Wsiadam do samochodu i jadę do domu, gdzie w swoim pokoju bez końca odsłuchuję wiadomość od Delii.

Czyli to jednak nie był Ryan. Co nie zmienia faktu, że Delia wiedziała coś, o czym wiedzieć nie powinna, to na pewno. I że groziła komuś, że o tym powie. Czyj to był sekret? I co ta osoba była gotowa zrobić, żeby nie wyszedł na jaw?

Rozdział 14

Niedzielny poranek. Zimowe słońce wpada przez okno do mojego pokoju. Słyszę na dole krzątanie matki. Ledwo pamiętam, jak znalazłam się w swoim łóżku, wiem tylko, że po którymś z kolei odsłuchaniu wiadomości zapadłam wreszcie w ciężki, tępy sen. Siadam teraz na łóżku, a moje serce bije z całych sił. Ryan z pewnością miał rację co do jednego: bardzo potrzebowałam odpoczynku. Nie czuję się lepiej, ale czuję się szybsza, bystrzejsza, jakbym rozpędziła spowijającą mnie mgłę. Jestem, o ile to możliwe, jeszcze bardziej zdeterminowana. Mam zadanie. Jest jak zimna, metaliczna strzała wskazująca kierunek, którym muszę podążać, ignorując wszystko wokół.

Opuszczam nogi na podłogę, chwytam ręcznik i ruszam korytarzem do łazienki. Włączam prysznic i stoję, trzęsąc się z zimna, czekając, aż woda się nagrzej. Nie myłam się od środy wieczorem i przyznam, że miło jest znowu poczuć się czystą.

Ubieram się pośpiesznie w pokoju – ciemne dżinsy, szare kozaki, czarny T-shirt. No i sweter Delii. Zastanawiam się chwilę, czy nie zadzwonić do Ryana i przeprosić go za swój nocny wybryk albo jeszcze lepiej, zadzwonić i udawać, że nic się nie stało. Ale nie wiem, czy jestem na to gotowa. Patrzę na swój telefon i widzę, że jest już po jedenastej, co oznacza, że Ryan skończył trening i pewnie jak zwykle poszedł na gofry z kumplami z drużyny. Zamiast do niego dzwonię więc do Jeremiaha, ciesząc się w duchu, że dwie noce temu wzięłam jego numer telefonu, mimo że wtedy wcale nie byłam pewna, czy tego chcę. Muszę się dowiedzieć, czy udało mu się ustalić coś nowego. Może nawet powiem mu o Tigu i o tym, czego dowiedziałam się na jego imprezie. Natrafiam na pocztę głosową: „Tu Jeremiaha Aaronson. Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu. Proszę zostawić wiadomość, a oddzwonię tak szybko, jak to będzie

możliwe”. Brzmi superoficjalnie, jakby spodziewał się telefonu w sprawie pracy w banku.

– Hej – mówię – tu June. De... Zadzwoń do mnie, proszę.

Ale potem przychodzi mi do głowy pewna myśl i dzwonię drugi raz. Znowu poczta głosowa. Zamykam oczy i z całej siły koncentruję się na brzmieniu jego głosu.

Próbuję wyobrazić go sobie wściekłego.

Rozłączam się, po czym znowu odsłuchuję wiadomość od Delii, przewijając pierwszą część, bo w tym momencie nie jestem w stanie słuchać, jak prosi mnie o coś tak prostego i drobnego, czego nie byłam w stanie, a może raczej nie chciałam jej dać. Zamiast tego zatrzymuję się na czterdziestej drugiej sekundzie. Na krzykach. Ale nadal nie jestem w stanie rozpoznać tej drugiej osoby.

Co teraz?

Schodzę na dół. Matka podnosi wzrok, kiedy wchodzę do kuchni. W powietrzu unosi się zapach spalonej kawy, a ona właśnie zeskrobuje jajecznicę z patelni prosto do zlewu. Zawsze tak robi. Zapomina, że nie mamy młynka do odpadków w zlewie, a tylko kosz na śmieci. I że jajecznicę trudno zaliczyć do płynów. Kiedyś zwracałam jej na to uwagę. Ale przestałam.

Pracuje na nocną zmianę w domu opieki, co oznacza, że wróciła dopiero parę godzin temu. Nie kładła się jeszcze spać. Coś chodzi jej po głowie, jakiś temat, który będzie chciała ze mną poruszyć. Poznaję po tym, jak się porusza i po wyrazie połowy jej twarzy, kiedy zwraca się częściowo w moją stronę. Jestem jakimś cholernym ekspertem w odczytywaniu myśli matki, zupełnie jakby była sygnałem radiowym, a ja zawsze potrafiłabym namierzyć jej częstotliwość, nawet mimo woli.

– Zaspałaś dziś – mówi. W jej głosie nie słyhać pretensji, jak to się czasem zdarza. Miewa poczucie winy, że nie bywa za często w domu, więc próbuje nadrabiać braki i od czasu do czasu złości się na mnie o rzeczy, o które w jej rozumieniu rodzice powinni się czepiać dzieci. Ale nie dziś.

Wzruszam ramionami.

Na blacie leży chleb. Biorę dwie kromki, wrzucam je do tosterka i wyjmuję masło orzechowe.

W dużej misce jest jabłko. Sięgam po nie i zaczynam jeść. Dopiero teraz czuję, jak bardzo jestem głodna.

– Ta dziewczyna w twojej szkole, która umarła... – zagaduje mnie.

Staram się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Mówili o niej u mnie w pracy. Jedna z pielęgniarek wspomniała, że chodziła do szkoły jej bratanka, czyli do twojej. – Bierze do ręki dzbanek z kawą. – Delia. Znałaś ją. – Wlewa mętne resztki kawy do swojego kubka, dosypuje o wiele za dużo cukru, miesza, oblizuje łyżkę. – Przyprowadzałaś ją czasami do domu. – Opiera się o zlew i podnosi kubek do ust. Próbuje wymusić na mnie, żebym na nią spojrzała. Wyjmuję tosty, zanim same wyskoczą. Smaruję je grubo masłem orzechowym.

A ona wciąż na mnie patrzy i czeka, aż coś odpowiem.

– To prawda – mówię. A potem biorę wielki kęs, który skutecznie zakleja mi buzię.

Kiwa głową, jakby zadowolona z siebie, zupełnie jakby zapamiętanie imienia jedynej przyjaciółki córki było nie lada wyczynem, z którego należy być dumnym. Po chwili jednak smutnieje.

– Przykra sprawa – dodaje.

I wlepię we mnie wzrok, a ja niechcący go napotykam. To wszystko jest zbyt osobiste, zbyt intymne. Szybko odwracam oczy. Wiem, że ona naprawdę się stara. I to jest najgorsze. W innych okolicznościach pewnie ogarnęłyby mnie smutek na myśl o tym, że to najlepsze, co jest w stanie z siebie wykrzesać. Ale w tym momencie kompletnie nie mam na to czasu.

– Tak – mówię – rzeczywiście przykra.

Milniemy obydwie. Matka miesza swoją wymieszaną kawę, dzwoniąc łyżeczką o ścianki kubka.

Z mojej komórki rozlega się dźwięk przychodzącej wiadomości. Obydwie witamy go z ulgą. Zakładam, że to Ryan, a może nawet Jeremia. Ale nie –

to Krista: *Nie byłaś wczoraj na wychowawczej. Wszystko okej?*

To dziwne. Nie jesteśmy ze sobą tak blisko, żeby dopytywać, jak się czujemy. Naszą relację trudno nawet nazwać kolegowaniem. Zanim udaje mi się odpowiedzieć, dostaję od niej kolejnego SMS-a: *Chcesz się spotkać?*

Podnoszę oczy na matkę. Zerka na mnie, ale po chwili jej wzrok ucieka w stronę szafki z alkoholem. Zastanawia się pewnie, czy powiem coś, jeśli zrobi teraz to, co ma ochotę zrobić. Patrzę ponownie na SMS-a i z zaskoczeniem uświadamiam sobie, jaka jest moja odpowiedź. Chyba po prostu muszę z kimś pogadać. A w tym momencie nie mam zbyt wielu opcji do wyboru.

Kiedy zajeżdżam na parking przed restauracją Birdies, Krista siedzi po turecku na bagażniku swojego samochodu. Ma na sobie wielką puchową kurtkę, ale jest bez rękawiczek. Widzę jej czerwony z zimna nos.

Dziwnie się czuję, spotykając się z nią poza szkołą – wcześniej jedyny raz, kiedy się widziałyśmy gdzieś na zewnątrz, to było na tamtej imprezie u jej chłopaka. Kiedy do niej podchodzę, nie wita się, tylko robi mi miejsce koło siebie. Potem bierze głęboki oddech i zaczyna mówić bardzo szybko, jakby od dawna miała ułożone w głowie to, co chce mi teraz powiedzieć.

– Muszę przyznać, że zawsze wam trochę zazdrościłam. Wiem, że w obecnej sytuacji brzmi to dziwnie, ale tak było. Nie żebym narzekała na Radera, nic z tych rzeczy. Rader jest super, ale jednak to nie to samo, co było między wami. Zawsze wydawałyście się takie... idealnie zsynchronizowane, jakby połączone jakąś kosmiczną energią. To znaczy wtedy, kiedy byliście razem.

– Zaraz, co takiego? – Chwilę zajmuje mi zrozumienie, o czym ona w ogóle mówi. Tak dawno już nikt nas o to nie podejrzewał, chociaż kiedyś pytano nas o to non stop. Krista myśli, że byliśmy z Delią parą, że byliśmy w sobie zakochane.

Kręcę głową.

– Nie, to nie tak. Byłyśmy przyjaciółkami – mówię, w pełni świadomie nie używając słowa „tylko”. Delia była na to bardzo wyczulona. „Przyjaźń nie jest

»tylko«. To związki są »tylko«. Przyjaźń jest najważniejsza na świecie”.

– Co ty gadasz? – mówi Krista. – Ale przecież... kleiłyście się do siebie cały czas.

Wzruszam ramionami.

To prawda, rzeczywiście byliśmy wobec siebie niezwykle czułe, ale te czułości nie miały podtekstu seksualnego, chociaż czasem ludzie, w szczególności faceci, postrzegali to w ten sposób. Pamiętam, jak kiedyś, na jakiejś imprezie, Delia bawiła się moimi włosami – zaplatała je w warkocze i rozplatała, owijała je sobie wokół palców. Jakiś koleś, który nam się przyglądał, prawie zaczął się ślinić, jakby oglądał porno. „To uspokaja, jak robienie na drutach”, wyjaśniła mu. Miałam wtedy dłuższe włosy. Owinęła szyję moim warkoczem. „Zobacz, zrobiłam sobie szalik...”, powiedziała. „Niezła perwersja”, ucieszył się chłopak. Ale Delia tylko prychnęła i przewróciła oczami, a potem, przez resztę imprezy, go ignorowała, mimo że gość cały czas próbował zwrócić na siebie uwagę. Wcale nie starała się zrobić na nim w ten sposób wrażenia. Zrobiła to po to, żeby mnie rozśmieszyć.

Zwracam się teraz do Kristy:

– Serio. Po prostu tak miałyśmy.

Krista kiwa głową. Wygląda, jakby nagle coś sobie uświadomiła.

– W takim razie z Buzzy to taki trochę przypał.

– Z kim?

– No wiesz... Buzzy, dziewczyna z imprezy, która prosiła o twój numer. Ta, z którą chciałam cię spiknąć. W sumie mogę ci to powiedzieć już teraz, no bo wiesz, nie chciałabym, żeby wyszło niezręcznie. – Krista śmieje się zakłopotana i pociera nos. – Ale szkoda. Buzzy jest super.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. To był głupi pomysł, nie powinnam była tu przychodzić. Szukałam pocieszenia, którego nie sposób znaleźć. Delia nie znalazła go dla siebie, tym bardziej nie będzie go dla mnie. Zaczynam zsuwać się z bagażnika.

– To właśnie od Buzzy dowiedziałam się, co się naprawdę wydarzyło – mówi

powoli Krista.

Zastygam. Mój puls przyspiesza.

– Buzzy znała Delię?

Krista kręci głową.

– Nie, ale jedna dziewczyna, z którą Buzzy spotykała się przez jakiś ułamek sekundy, ona była nową najlepszą przyjaciółką Delii, coś w tym stylu. I teraz Buzzy strasznie współczuje tej swojej eks. Wiesz, chce być przy niej, być dla niej wsparciem i takie tam, mimo że ta dziewczyna wcale nie wygląda, jakby tego chciała. W każdym razie tak twierdzi Rader, nie wiem...

Krista nawija dalej, ale ja przestaję jej słuchać. Czuję się tak, jakby ktoś właśnie wypalił w mojej głowie dwa słowa: najlepsza przyjaciółka. Jakimś cudem nigdy nie przyszło mi do głowy, że Delia miała kogoś takiego, to znaczy poza mną oczywiście. Szczególnie po tym, co zobaczyłam nad jeziorem.

– ... samobójstwo to kurewska sprawa – ciągnie Krista. – To dlatego do ciebie napisałam. Nie przyszłaś do szkoły, a wcześniej Buzzy powiedziała mi o tym, co się stało z Delią. Kuzyn mojego taty też to zrobił, w sensie też się zabił. I mój tata przez długi czas bardzo to przeżywał. Więc wiesz, jeśli jest coś, cokolwiek, co mogłabym dla ciebie zrobić...

W tym samym czasie moje myśli podążają innym torem: najlepsza przyjaciółka Delii była tą osobą, z którą Delia naprawdę szczerze rozmawiała. Najlepsza przyjaciółka Delii była jej powierniczką, jej sercem, była dla niej wszystkim. Cokolwiek powinnam wiedzieć o Delii, jej najlepsza przyjaciółka będzie to wiedzieć.

– Krista – mówię powoli. – Wydaje mi się, że mogłabyś coś dla mnie zrobić...

Rozdział 15

Nawet kompletnie zaryczana, Ashling jest niezaprzeczalnie piękna.

Pod czerwonymi plamami jej skóra jest porcelanowo gładka, a jej oczy, mimo że opuchnięte, są migoczące i cudownie błękitne. Siedzę teraz naprzeciwko niej, patrząc, jak cierpienie wylewa się z niej w formie smarków, łez i tłumionego łkania. Czuję ucisk w żołądku i staram się nie odpłynąć myślami, co zdarza mi się dość często, kiedy sytuacja mnie przerasta. Co chwila podaję Ashling kolejną chusteczkę, a Krista poklepuje ją po ramieniu.

– Och, biedactwo – powtarza.

Wreszcie ocean łez zmienia się w strumień, strumień zaś w wąską strużkę. Ashling uśmiecha się do mnie trochę odrętwiała, a jej idealnie kształtne wargi drżą lekko. Pochyla się w moją stronę i ściska moje dłonie.

– Tak się cieszę, że Buzzy dała ci mój numer. Dobrze jest porozmawiać z osobą, która tak jak ja kochała Delię – mówi, ale nagle potrząsa głową. – Nie, chrzanić to. Nie kochała, tylko kocha. Czas teraźniejszy.

Ashling ociera z twarzy ostatnie łzy. Przez moje wewnętrzne otępienie zaczyna delikatnie przedzierać się uczucie, które łaskocze mnie gdzieś głęboko w środku. Przede wszystkim czuję ulgę, że Delia pod sam koniec miała kogoś dla niej ważnego, najlepszą przyjaciółkę, której naprawdę na niej zależało. Ale jeszcze głębiej, gdzieś na samym dnie, czuję maleńkie ukłucie czegoś innego, czegoś, do czego nie chcę się przyznać nawet sama przed sobą. To zazdrość. To obrzydliwe z mojej strony, wiem. Ale nie mam teraz czasu na roztrząsanie tego, bo przyszłam tu z konkretnym zadaniem: muszę się dowiedzieć, co wie Ashling. A żeby to osiągnąć, muszę wyjawić jej prawdę.

Tylko w jaki właściwie sposób powiedzieć coś takiego? Cóż, trzeba to z siebie po prostu wyrzucić.

– Czy sądzisz, że to możliwe... że Delia tak naprawdę... wcale się nie zabiła?
Ashling otwiera szeroko swoje ogromne oczy. Wygląda jak porcelanowa lalka.

– Chodzi ci o to, że jej dusza ciągle jest tutaj z nami? – pyta. Jej głos jest niski, z lekkim południowym akcentem. Kiwa głową i uśmiecha się blado. – Tak, też to czuję.

– Nie – przerywam – chodzi mi o to, że... może ktoś inny to zrobił. Ktoś ją zabił. Nie ona sama.

Powiedziałam to. Na głos. Nie ma odwrotu. Muszę być gotowa na wszystko.
Kątem oka widzę, jak Krista przekrzywia głowę, patrząc na mnie z niedowierzaniem. Ashling zaciska szczękę.

– Przepraszam – mówię – nie chciałam, żeby to źle zabrzmiało, po prostu nie wiedziałam, jak inaczej to powiedzieć.

– Skąd taki pomysł? – pyta wyraźnie zniesmaczona.

I wtedy opowiadam jej wszystko, o tamtym momencie po stypie, kiedy poznałam Jeremiaha i zobaczyłam spaloną szopę, o wiadomości na poczcie głosowej, którą mi zostawiła Delia, i tej, która nagrała się przypadkiem, i dalej o wizycie u Tiga i o tym, że Delia twierdziła, że jest w niebezpieczeństwie. Mówię jej o wszystkim, co się wydarzyło, aż do momentu, w którym siedzimy we trzy w kawiarni, gdzie Ashling powoli kręci głowę z niedowierzaniem, a Krista patrzy to na jedną, to na drugą z nas z taką miną, jakby właśnie oglądała najlepszy odcinek swojego ulubionego telewizyjnego reality show.

– Delia nie była ofiarą – mówi Ashling miękko. – Żyła na swoich własnych zasadach i tak samo umarła. – Oczy Ashling znowu wypełniają się łzami, ale oprócz smutku kryje się w nich coś jeszcze. Wydaje się wściekła. – Jak śmiesz w ogóle twierdzić inaczej.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktokolwiek chciałby wierzyć, że jego najlepsza przyjaciółka popełniła samobójstwo, że tę wersję można by uznać za w jakiś sposób lepszą od alternatywnej. Ale jeśli Delia była Ashling bardzo bliska – a nie ulega wątpliwości, że tak było – nie mogę się teraz wycofać. Muszę iść

za ciosem.

– Wiem, że to brzmi kompletnie niedorzecznie i że trudno sobie nawet wyobrazić, że ktoś mógłby... – Staram się panować nad głosem, modulować go w taki sposób, żeby mnie słuchała. Poznają to spojrzenie, ten błysk, który ma teraz w oczach, widziałam go już wcześniej, u mojej mamy: dzikie, zwierzęce spojrzenie. Wiem, że muszę być ostrożna, bo w każdej chwili moja rozmówczyni może ugryźć albo podkulić ogon i uciec.

– Widziałaś się z nią albo rozmawiałaś tego dnia, kiedy umarła? Może wspominała ci o kimś, kto...

– Rozmawiałam z nią przez jakieś trzy sekundy. Nic o nikim nie mówiła. Schodziły z niej dragi z poprzedniej nocy. Odebrała telefon, żeby powiedzieć, że beznadziejnie się czuje i że idzie z powrotem spać. To wszystko.

– Okej – mówię – tylko że Jeremiaś wspominał...

Ashling prychnęła i przerywa mi:

– No nie, nie mów mi, że wierzysz w choćby jedno słowo tego idioty? – Kręci głową. – Ten gość kompletnie nie ogarniał, co się dzieje z Delią. Nic nie kumał.

– Ashling wysuwa dolną szczękę i znowu kręci głową. – Nie zorientował się nawet, że jego dziewczyna go zdradza, taki z niego idiota. Więc jeśli chcesz mu wierzyć, to spoko, twoja sprawa. Ale nie ma to nic wspólnego ze mną ani moją najlepszą przyjaciółką, ani z tym, co się wydarzyło. Delia była nieszczęśliwa. Brała narkotyki. Ostatnio sytuacja u niej w domu zrobiła się jeszcze bardziej gówniana niż wcześniej. Gdybyś była jej przyjaciółką, wiedziałabyś o tym i nie wymyślała jakichś teorii spiskowych. Ona dokonała wyboru. I był to tylko i wyłącznie jej wybór.

Ashling wstaje. Wygląda tak, jakby zaraz znowu miała się rozplakać, ale po sekundzie mruży oczy i mocno zaciska zęby.

A potem, zanim zdążam zareagować, odwraca się i rusza w kierunku drzwi.

– Zaczekaj! – wołam. Drzę na całym ciele. Wstaję i biegnę za nią. – Powiedziałaś, że Delia zdradzała Jeremiaha.

Ashling mruga.

– Tak. No i?

– Z kim go zdradzała?

Ashling unosi brew i nieznacznie się uśmiecha.

– To była jej sprawa i niczyja inna – mówi, po czym wzrusza ramionami, otwiera wahadłowe drzwi kawiarni i po chwili już jej nie ma. Zostawia mnie tam, kompletnie ogłuszoną. W mojej głowie wirują tysiące myśli, które próbuję poskładać w całość. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Nagle czuję na ramieniu dłoń Kristy.

– Naprawdę myślisz, że została zamordowana? – pyta bardzo cicho.

Nie odwracam się do niej. Ledwo odnotowuję jej obecność. Myślę o Jeremiahu, stojącym samotnie w ciemności, o jego potężnym ciele i chłopięcej twarzy skauta. Myślę o tym, że Delia go zdradzała i że według Ashling Jeremiah nic o tym nie wiedział. A co, jeśli Ashling nie ma racji? Co, jeśli w jakiś sposób się dowiedział?

Rozdział 16

Włosy Ryana są jeszcze wilgotne po prysznicu, a jego ciało wciąż wydziela sztuczną woń chloru. Czuję ten zapach, siedząc po turecku na łożku u niego w pokoju, skąd obserwuję jego nagie plecy. Jest już kilka godzin później. Opuściłam kawiarnię niedługo po wyjściu Ashling. Musiałam pobyć sama. Przez resztę dnia jeździłam bez celu samochodem, pogrążona w rozmyślaniach, po raz kolejny analizując wszystko krok po kroku.

A teraz jestem tutaj. Próbuję udawać, że wszystko jest normalnie, chociaż wcale nie jest.

– Jesteś pewna, że chcesz tam iść? – pyta Ryan. Otwiera szafę i wyciąga z niej koszulkę, zieloną z napisem GACIE. Jego ulubioną. Ubiera się w nią, po czym, dokładnie tak jak przewidziałam, wyciąga z szafy zieloną koszulkę i zakłada ją na wierzch. Jeszcze kilka dni temu, zanim to wszystko się zaczęło, odczułabym dziwną satysfakcję z tego, że zauważam takie rzeczy. To miłe, dziwnie kojące uczucie, kiedy się wie coś takiego o drugiej osobie.

Odwraca się i zaczyna zapinać guziki.

– Chodzi po prostu o to... – na chwilę zawiesza głos – że do tej pory... nie przepadałaś za imprezami u Hanny'ego – kończy. Eufemistycznie powiedziane.

Max Hannigan należy do grupy popularnych sportowców, tej samej, w której znajduje się Ryan. Jest wysoki, bogaty i ma niesamowicie szeroką szczękę, naprawdę gigantyczną. Delia powiedziała kiedyś, że „to taki typ kolesia, który zgwałciłby cię na randce, gdyby tylko mu nie opadał”. Często mówiła takie rzeczy, a ja śmiałam się z jej słów, trochę wbrew sobie. Nadal przypominam sobie czasem ten tekst, kiedy widzę Maxa.

Rodzina Maxa ma ogromny dom z basenem, jego rodzice non stop dokądś wyjeżdżają i albo są kompletnie nieświadomi, albo po prostu mają gdzieś to, że

za każdym razem, kiedy są poza domem, ich syn sprasza kilkadziesiąt osób, które osuszają domowy barek do cna. Ze sto razy widywaliśmy się z Hannym poza szkołą, a jednak za każdym razem, kiedy się spotykamy, on zachowuje się tak, jakby pierwszy raz widział mnie na oczy.

Ryan podchodzi do łóżka. Pochyla się i delikatnie całuje mnie w usta.

A mnie natychmiast ogarnia poczucie winy. Bo prawda jest taka, o czym nie mogę mu powiedzieć, że chcę iść na tę imprezę tylko ze względu na Jeremiaha. I jego wiadomość sprzed pół godziny.

Znalazłem coś. Musisz to zobaczyć. Dziś wieczorem.

To nie tak, że zaczęłam nagle jakoś strasznie bać się Jeremiaha. Od dzisiejszego poranka właściwie nic się nie zmieniło... Mam jednak przeczucie, że lepiej nie spotykać się z nim sam na sam. I tymczasem zdam się na swój instykt.

– Dobrze mi robi oderwanie się od różnych spraw... – mówię Ryanowi.

Kiedy wychodzi do łazienki, żeby wetrzeć we włosy tę odrobinę żelu, o którym myśli, że nie wiem, że go używa, szybko wyciągam telefon i odpisuję: *U Hanny'ego jest impreza, widzimy się o 9?*

Jeremiah też należy do tej grupy sportowców. Sekundę później odpisuje: *Tak. Do zo.*

Podnoszę wzrok na Ryana, który jest już z powrotem w pokoju.

– To co, idziemy? – pyta. Przeraza mnie to, jak łatwo jest złamać daną obietnicę.

– Idziemy – odpowiadam. – Będzie spoko.

Imprezy u Hanny'ego nie są spoko. Wiem, że patrząc na tych ludzi, widzę tylko to, co na wierzchu, ale wszyscy oni naprawdę wyglądają tak, jakby nie mieli żadnych problemów. Kiedy wchodzę do wielkiego salonu, widzę zaśmiewających się ludzi, których szerokie białe uśmiechy lśnią w świetle eleganckiego, przyćmionego światła. W miejscach takich jak to łatwo sobie wyobrazić, że nikt z zebranych nigdy nie był samotny, smutny czy wystraszony

choćby przez sekundę swojego życia.

Czuję, że zaczynam się pocić w swetrze Delii. Ryan przybliży się i szepcze mi do ucha:

– Pamiętaj, że w każdej chwili możemy sobie odpuścić tę szopkę. Wszystko zależy od ciebie

Odwracam się w jego stronę i kiwam głową. Ryan bierze mnie za rękę i razem zagłębiamy się w tłum.

– Fisker! – woła jakiś koleś. Tak nazywają Ryana niektórzy jego koledzy. Ten, który zbliży się do nas, ma ksywkę Rolly. Rolly wita Ryana braterskim uściskiem. – Cześć, June, jak zwykle miło cię widzieć – zwraca się do mnie. Rolly zawsze rozmawia ze mną tak, jakby rozmawiał z czyjąś mamą.

– Cześć – odpowiadam. Nie jestem mistrzynią small-talków nawet w zwykłych okolicznościach, a co dopiero teraz. – Idę poszukać łazienki – mówię do Ryana. – Nie czekaj na mnie, później cię znajdę.

Nasze spojrzenia na krótką chwilę się spotykają, a zaraz potem się ulatniam.

Zauważam Jeremiaha niemal natychmiast – stoi niedaleko drzwi z rękami w kieszeniach i uważnie rozgląda się po pokoju. Kiedy napotyka mój wzrok, czuję nagły ucisk w żołądku. Nie wiem nawet dlaczego.

Jeremiah skinieniem głowy nakazuje mi, żebym wyszła za nim na zewnątrz. Rozglądam się za Ryanem. Jest w kuchni, gdzie ktoś podaje mu piwo. Idę w stronę Jeremiaha, czując na sobie spojrzenia kilku dziewczyn. Kiedy je mijam, zaczynają coś do siebie szeptać. Mam wrażenie, że słyszę „Delia”. Mam wrażenie, że słyszę „samobójstwo”.

Tutaj, na zewnątrz, jest ciszej. Grube szyby okienne tłumią odgłosy imprezy. Noc właściwie dopiero zapada. Widzę dwie dziewczyny, które znam ze szkoły. Potykają się i zataczają, biegnąc po trawniku. Powietrze jest zimne i rześkie, a z nieba spadają pojedyncze, drobne płatki śniegu.

Jeremiah wyciąga coś z kieszeni i mi pokazuje. To telefon.

Widoczna na ekranie tapeta przedstawia dłoń – poodpryskiwany cytrynowożółty lakier do paznokci, wyprostowany środkowy palec, trzy

skórzane rzemyki wokół nadgarstka. To dłoń Delii. To jej telefon. Na tle dłoni widnieje klawiatura numeryczna i polecenie: WPISZ HASŁO.

Wpatruję się w aparat i czuję podejrzliwość zbijającą się w moim żołądku w twardą kulkę.

– Skąd to masz?

– Byłem u niej w domu dziś popołudniu – wyjaśnia. – Komórka leżała w lesie na tyłach budynku, zupełnie jakby ktoś ją wyrzucił. Informacje, które są w środku, mogą okazać się bardzo przydatne. Moglibyśmy dowiedzieć się, z kim rozmawiała, do kogo SMS-owała. Tylko że nie potrafię go odblokować.

Biorę od niego telefon. Trzymałam go w ręku miliony razy – czytałam na głos SMS-y, odpisywałam w jej imieniu, a czasem słuchałam po prostu wrzasków jej ojczyzna, kiedy ona sama nie miała już na to siły.

– Zaniósłem to do jednego takiego podejrzanego punktu napraw w mieście – ciągnie Jeremiaś. – Powiedzieli, że mogą wyczyścić mu pamięć i przywrócić ustawienia fabryczne, gdybym chciał go używać, tyle w temacie. Nie potrafili go odblokować – mówi, wpatrując się we mnie intensywnie, z zaciekawieniem. – Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie znasz kodu. W końcu najlepsze przyjaciółki mówią sobie nawzajem takie rzeczy...

Płatki śniegu opadają coraz szybciej. Odnoszę wrażenie, jakbyśmy właśnie zostali wystrzeleni w kosmos.

– Nie, przykro mi – stwierdzam, starając się nie uciekać wzrokiem. – Mówiłam ci już, że dawno przestałyśmy się przyjaźnić.

Jeremiaś kiwa głową. Obserwuję, jak wsuwa telefon z powrotem do prawej kieszeni swojej szaro-czerwonej kurtki narciarskiej. Pociera dłonie.

– Cholernie tu zimno – konstatuje, rozglądając się wokół. – A jak u ciebie? Dowiedziałaś się czegoś?

Kręcę głową.

Słychać śmiech: jakaś para idzie podjazdem w stronę domu.

– No trudno – mówi Jeremiaś.

Dziewczyna wypina tyłek i kręci biodrami.

Staram się zachować spokój. Telefon odrobinę wystaje z kieszeni Jeremiaha.

Dziewczyna z kwikiem zatacza się w przód. Chłopak w ostatniej chwili łapie ją, chroniąc przed upadkiem.

– Może wejdźmy do środka? – proponuję.

Jeremiah kręci swoją kwadratową głową małego skauta.

– Nie mam nastroju na imprezę.

Znowu zerkam na jego kieszeń.

– Powinniśmy się napić – mówię. – Wznieść toast za Delię. – Widzę, że zaczyna się wahać. – Prawdziwy toast, wzniesiony przez dwójkę ludzi, którym naprawdę na niej zależało – dodaję, myśląc o stypie nad jeziorem. Wiem, że on też ma tamte chwile z tyłu głowy.

– Okej – zgadza się wreszcie.

Jesteśmy z powrotem w środku. Muzyka dudni. Ludzie stoją w niewielkich grupkach. Już niebawem wszystko pograży się w oparach pijackiej ckliwości i idiotyzmu sytuacji. Widzę, że Ryan jest w salonie, więc prowadzę Jeremiaha do kuchni. Czuję taksujące nas spojrzenia.

Wydaje mi się, że słyszę, jak ktoś mówi „dziewczyna, która umarła”. Wydaje mi się, że słyszę słowo „pożar”.

Stół kuchenny jest zawalony, jak to na imprezach. Chwytam dwa czerwone plastikowe kubeczki i butelkę wódki. Kątem oka dostrzegam jeszcze słoik wisienek maraschino, z przyczepionymi malutkimi plastikowymi syrenkami. Dokładam go do swojego zestawu.

Po naszej prawej trzech kolesi wypija duszkiem jedno piwo za drugim. Nalewam Jeremiahowi kolejkę, a on sięga po dwulitrową colę i dolewa jej sobie do kubka. Zgniatą butelkę swoją wielką łapą.

Napełniam swój kubek wódką aż po brzegi.

– Przyhamuj, koleżanko – rzuca do mnie chłopak stojący obok. Ma na sobie polo w limonkowym kolorze, z postawionym kołnierzem. – Zostaw trochę dla nas. Masz jakąś misję czy co? – Uśmiecha się.

– Można tak powiedzieć – odpowiadam.

Jeremiah obserwuje mnie uważnie. Wyciągam wisienkę ze słoika, który mu podaję, a on robi to samo.

– Bez popity? – pyta.

– Lubię pić ekonomicznie – wyjaśniam. A potem podnoszę kubek. – Za Delię.

– Za Delię, która zasługiwała na coś o wiele lepszego niż to, co ją spotkało – mówi.

Stukamy się kubkami. Podnoszę swój do ust. Zapach wódki przyprawia mnie o mdłości. Delikatnie moczę zaciśnięte usta i staram się nie oddychać. Udaję, że biorę jeden łyk, potem drugi, udaję, że się wzdrygam.

A potem wsadzam do ust wisienkę.

Jeremiah nadal mnie obserwuje, więc odrobinę przymykam oczy i pozwalam kącikom ust unieść się w uśmiechu – powolnym uśmiechu wywoływanym przez szybkie uderzenie alkoholu do głowy.

Kiedy Jeremiah na moment odwraca wzrok, szybko wylewam połowę swojej wódki do stojącego w pobliżu kubka z jakimś brązowym płynem, na którego powierzchni unosi się rozmoczony precelek.

– Wierzysz w niebo? – pyta Jeremiah. Za moimi plecami ktoś wybucha śmiechem.

– Nie jestem pewna – odpowiadam. Tyle że nie jestem pewna tylko tego, czy chcę mu się przyznać, że moja prawdziwa odpowiedź na to pytanie brzmi „nie”. Nie wierzę. Nie potrafię. Zazdroszczę każdemu, kto wierzy.

– A ja tak – mówi Jeremiah. W jego głosie słychać desperację. Może rzeczywiście wierzy, a może tylko chciałby wierzyć. – I myślę, że Delia tam właśnie jest.

Kiwam głową. Biorę kolejny udawany łyk i wlewam kolejną porcję wódki do kubka na stole.

– Dużo się ostatnio modlę, wiesz? Za nią. Wiem, że nie była religijna, a to oznacza, że nawet jeśli istnieje niebo, to jej tam nie będzie...

Dziewczyna w różowym tank topie sięga po torebkę chipsów leżącą na stole.

Jej łokieć muska kieszeń, do której Jeremiaś schował telefon.

– Uuups – mówi dziewczyna. – Sorry!

– Chociaż z drugiej strony myślę, że być może przez to, co się stało, ona i tak tam będzie. Dlatego modłę się za nią w nadziei, że miejsce, w którym jest teraz, jest lepsze niż to, w którym była... – Jeremiaś zaciska szczękę. Jego spojrzenie staje się mroczne, a oczy zaczynają lśnić. Bierze kolejny łyk drinka, a plastikowy kubek chrzęści w jego potężnej dłoni. – A ten, kto jej to zrobił, dostanie to, na co zasłużył.

Narasta w nim zajażdża wściekłość, sączy się i zawiesza między nami.

Za moimi plecami rozlegają się kolejne wybuchy śmiechu. Jeremiaś podnosi wzrok.

– Za sprawiedliwość – proponuję kolejny toast. Zaczynam się trochę kiwać, uginać nogi w kolanach, pozwalam, żeby moje ciało kołysało się na boki pod własnym ciężarem. I biorę kolejny udawany łyk, a wódka spływa mi po podbródku.

Ale tym razem Jeremiaś nie pije ze mną. Patrzy na kogoś za moimi plecami. Gość w zielonym polo stoi teraz na drugim końcu pokoju, rozmawia ze znajomymi – drobną blondynką i wysokim, chudym kolesiem. Polo podnosi butelkę wódki, udaje, że z niej pije, a potem wykrzykuje radosnym, pijackim głosem:

– No i wtedy skoczyła! Potem pieprzyła się z rybkami na dnie jeziora, a potem utonęła. W każdym razie tak słyszałem – kończy z uśmiechem.

Jeremiaś gwałtownie odstawia kubek i jednym zwinnym ruchem znajduje się przy Zielonym Polo, chwyta go za chabety i przyciąga do siebie. Polo miota się, próbuje wyswobodzić, ale Jeremiaś jest silny. Ludzie odwracają się, żeby popatrzeć, podekscytowani. Przeciskam się przez tłum.

– Zostaw go – mówię. – To nic nie zmieni.

Ale Jeremiaś przyciąga Polo jeszcze bliżej, mocniej zaciska ręce. Twarz Polo jest jaskrawoczerwona. Oddycha ze świstem, podduszony.

– Puść go – powtarzam. Przez chwilę Jeremiaś po prostu go trzyma tuż obok

siebie, tak że ich nosy się stykają.

– To nie było tak – mówi wreszcie szeptem i wypuszcza Polo z kleszczowego uścisku. Chłopak natychmiast odsuwa się chwiejnie, z wytrzeszczonymi oczami.

Jeremiah przepycha się przez tłum w stronę drzwi wyjściowych.

– Psychol – rzuca cicho Polo.

Doganiam Jeremiaha na schodach.

– Ja nie... – zaczyna. – Ja po prostu... – Ogromne łzy spływają mu po policzkach. – Tak się nie powinno stać.

Czuję ucisk w sercu. Nie chcę zrobić tego, co za chwilę zrobię, ale wiem, że muszę. I że to jest moja szansa.

– Masz rację – mówię.

Pochyliłam się ku niemu i obejmuję go ramieniem, jakbym naprawdę była pijana i bezwładna.

– Zzzdessydowanie nie powinno się tak sstać – cedzę słowa, udając tak schlaną, jakbym rzeczywiście była po wypiciu tego, co udawałam, że piję. Płaczą mi się nogi, chwiejnie opieram się na ciepłym cielsku Jeremiaha. Jego sylwetka jest masywna, wydaje się, jakby nic nie mogło jej zagrozić. Jeremiah mnie łapie.

A wtedy ja wsuwam rękę do kieszeni jego kurtki.

Rozdział 17

Jestem na górze, w czyjejs sypialni, chyba rodziców Maxa, sądząc po zapachu płynu do zmiękczenia tkanin i wody kolońskiej dla starych dziadów. Zamykam za sobą drzwi i dwa razy upewniam się, czy zamknęłam je na klucz. Dopiero wtedy wyciągam telefon Delii z jej pożegnalnym „fuck you” widocznym na ekranie. Wstukuję kod 5-8-0-0-8.

Używała tej kombinacji do wszystkiego, bo patrząc do góry nogami, układała się w napis BOOBS – cycki.

I ot tak, po prostu, telefon jest odblokowany.

Przewijam kolejno najnowsze SMS-y. Pierwszy jest od jej mamy. *Szczęśliwego Nowego Roku! Wracamy. Do zobaczenia niebawem, słoneczko!* Czuję nagły ścisk w gardle po przeczytaniu tej wesołej, pełnej nadziei wiadomości, której ton w najmniejszym stopniu nie odzwierciedlał ich prawdziwej relacji. Ale jej mama zawsze taka była. Kiedy miała nastrój, udawała, że wszystko jest super, zupełnie jakby wierzyła, że okłamując Delię i samą siebie, stworzy inną rzeczywistość.

Jest wiadomość od Jeremiaha, wysłana tego samego ranka. *Jezu, ale tu nudno. Siedze ze starymi u ich znajomych. Szkoda ze cie tu nie ma, chociaż w sumie wiem, ze by ci sie nie podobalo. Mam nadzieje, ze juz ci lepiej. Probowalem sie dodzwonic. Jeszcze bede probowal!*

Następna też jest od niego, otrzymana równo o północy. *Szczęśliwego Nowego Roku!*

Przewijam dalej – jest tam jeszcze kilka SMS-ów z noworocznymi życzeniami od osób, których imiona rozpoznaję z czasów, kiedy się przyjaźniłyśmy, osób, z którymi się czasem spotykała. Ale potem zauważam coś jeszcze – wiadomość z popołudnia tego samego dnia. Trzydziesty pierwszy

grudnia, piętnasta pięćdziesiąt pięć.

hej malenka, gotowa na noworoczne fajerwerki. jestem pod twoim domem
wiadomość jest od kogoś, kto zapisany jest w jej telefonie jako SKURWIEL.

Tuż pod spodem jest jej odpowiedź: *Drzwi otwarte...* To ostatnia odpowiedź Delii.

Serce zaczyna mi walić jak oszalałe. O mój Boże, to na pewno facet, z którym Delia zdradzała Jeremiaha. Ale zaraz potem coś sobie uświadamiam i moje serce jeszcze bardziej przyspiesza. Wyciągam swoją komórkę i sprawdzam wiadomość o nieodebranych połączeniach. Delia dzwoniła do mnie o piętnastej pięćdziesiąt dziewięć, cztery minuty po otrzymaniu tego SMS-a, co oznacza, że kiedy Delia do mnie dzwoniła, SKURWIEL był z nią w domu, co oznacza, że *to on wrzeszczał w tle na nagraniu.*

To z nim była, to jego tajemnicę miała zdradzić. I może, tylko może, to była osoba, która ją przed tym powstrzymała.

Ktoś przekręca gałkę drzwi.

– Hej! – woła ktoś. – Kto tam jest? Tu nie wolno wchodzić! – To Hanny.

– Soooooory! – odkrzykuję. Staram się, żeby mój głos brzmiał bełkotliwie. – Chhhwileszkę!

Tak szybko, jak to możliwe, zapisuję w swoim telefonie numer SKURWIELA. A potem przewijam książkę adresową w dół, na „J”, tylko po to, żeby sprawdzić. Tak, nadal tam jestem: J JUNE JUNIE MOJA JUNE.

Łup, łup, łup – łomotanie do drzwi.

– Otwierać! Jeśli ryćkacie się na łóżku moich starych, przysięgam, że was zatłukę.

Ale jestem teraz jak w transie, nie mogę się powstrzymać. Kto wie, kiedy znowu będę mieć okazję zrobić coś takiego. Otwieram jej folder ze zdjęciami, wmawiając sobie, że muszę to zrobić, bo może znajdę w ten sposób fotę SKURWIELA albo jakiś inny trop. I rzeczywiście go szukam, ale przede wszystkim chcę zobaczyć, jak wyglądało jej życie. Szukam choćby jego skrawków, jakichkolwiek.

Tylko że nie ma tu zbyt wielu zdjęć, a na dodatek wszystkie są sprzed miesiący – ręka trzymająca lody, wnętrze kieszeni, jakiś pies, facet pracujący w 7-Eleven, który zawsze ogląda się za tyłkami nastoletnich dziewczyn, mimo że sam ma już pod pięćdziesiątkę. I wtedy... aż mnie zatyka. Bo nagle widzę zdjęcie nas dwóch. Ona trzyma w ręku pasmo moich włosów i przykłada je do twarzy, tak że włosy wyglądają, jakby wyrastały z jej głowy. Ja robię to samo z jej włosami. Nasze oczy błyszczą i migoczą, a rozchylone w uśmiechu usta są w kolorze wiśni. Nigdy wcześniej nie widziałam tego zdjęcia. Gdzie to było? I kiedy?

I nagle wszystko wraca do mnie potężną falą. Przypominam sobie emocje, które czułam tamtej nocy, poczucie, że wszystko jest możliwe, w momencie, kiedy rozbłysnął flesz.

ŁUP, ŁUP, ŁUP!

Pospiesznie wsuwam obydwa telefony do kieszeni. Otwieram drzwi, opierając się ciężko o framugę.

– Soory... próbowałam znaleźć łazienkę i... – Podnoszę wzrok na wściekłą twarz Maxa Hannigana, jego kwadratowy łeb przypominający kloc drewna. Obok niego stoi Ryan.

– Junie – mówi – szukałem cię wszędzie... – Nachyla się i wacha mój oddech.
– Jesteś zalana...

Tylko raz w życiu widział mnie pijaną i było to ponad rok temu.

– Jeremiaś... – bełkoczę. – Wznosiliśmy... toasty.

Kiedy schodzę z powrotem na dół, Jeremiaś jest tak nawalony, że mogłabym wsadzić mu palec do nosa i najprawdopodobniej by tego nie zauważył. Podrzucenie mu telefonu to łatwizna. Nic do niego nie dociera – nie czuje mojej ręki w swojej kieszeni, kanapy pod sobą, nie ma pojęcia, że właśnie urwał mu się film w środku imprezy. Zastanawiam się, gdzie są jego przyjaciele, i czy w ogóle jakichś ma, skoro trzy dni po śmierci swojej dziewczyny siedzi tutaj zupełnie sam, a ja jestem jedyną osobą, która myśli o tym, żeby zabrać mu kluczyki, bo on za cholerę nie powinien tej nocy prowadzić. To wszystko

sprawia, że robi mi się go strasznie żal. Ale szybko się otrząsam. Nie zostało mi już zbyt wiele żalu.

Proszę Ryana, żeby przyniósł mi wodę. A potem wyjmuję telefon i wybieram numer SKURWIELA. Serce łomocze mi w piersi. Jeden sygnał, drugi, trzeci. Włącza się automatyczne nagranie poczty głosowej i zachęca mnie do pozostawienia wiadomości. Nie robię tego.

Niedługo potem cała nasza trójka pakuje się do samochodu Ryana, który zgodził się odwieźć Jeremiaha do domu. Jeremiah siedzi z tyłu, ciężko oparty o drzwi. Ryan w milczeniu patrzy przed siebie. A ja nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, tylko o SKURWIELU. Co zrobił, kim jest i jak, do cholery, mam się tego wszystkiego dowiedzieć.

Rozdział 18

5 lat, 1 miesiąc i 2 dni wcześniej

Delia nazwała to swoim pamiętnikiem, więc kiedy June rozwinęła wąski papierowy rulonik, była kompletnie zdezorientowana. Na górze kartki widniał fioletowy napis MOJA LISTA: DO ZROBIENIA. Delia wykreśliła „zrobienia” i napisała „zaliczenia”. Pod spodem była kolumna z kilkoma nazwiskami.

– Nie rozumiem – powiedziała June.

– Postanowiłam, że to będzie mój jedyny pamiętnik. Wszystko inne będziemy pamiętać wspólnie. – Uśmiechnęła się szeroko. – To lista chłopaków, z którymi się całowałam. Pisałam maczkiem, bo zakładam, że ta lista będzie bardzo długa, szczególnie że mam zamiar uzupełniać ją przez całe życie – wyjaśniła i wskazała pierwszy punkt na liście. Fraser Holmes. – Byliśmy w pierwszej klasie. Po wszystkim próbował wsadzić mi palec do nosa, mały zbok.

June nigdy się z nikim jeszcze nie całowała, ale ostatnio w szkolnym autobusie pozwoliła jednemu przystojnemu chłopakowi napić się wody z jej butelki i wtedy wydawało jej się, że to poważna sprawa, jego usta tam, gdzie przed chwilą były jej usta i w ogóle. Ale teraz, w obecności jej nowej przyjaciółki Delii, która była w jej wieku, a całowała się już z – jak wynikało z szybkich rachunków – pięcioma chłopakami, poczuła się strasznie głupio na myśl o tym, że przywiązywała jakąkolwiek wagę do tamtego wydarzenia.

– Bardzo dużo się całowałaś – powiedziała June. Miało to zabrzmieć jak komplement.

Delia wybuchła śmiechem.

– W sumie nie jestem pewna, czy te pierwsze razy się liczą. Ale fakt...

June wpatrywała się w usta Delii, muśnięte błyszczkiem o smaku mango.

Zazwyczaj trudno było ocenić po samym wyglądzie ust, czy ktoś dużo się całował. Ale z jakiegoś powodu w przypadku Delii było to oczywiste.

Delia wzruszyła ramionami i ciągnęła dalej:

– Jak to jest, że tak wiele ważnych rzeczy w naszym życiu ma związek z ustami? Całowanie, zdradzanie sobie sekretów, jedzenie ciasta. Sama nie wiem.

– Nie boisz się, że twoja mama albo ktoś inny znajdzie tę listę?

– Coś ty, to niemożliwe. Bardzo dobrze ją ukryłam. I całe szczęście, bo ten szmaciarz by mnie zabił, gdyby się dowiedział. Jakby to była jego sprawa. – Delia przekrzywiła głowę i przygryzła dolną wargę swoich wycalowanych ust. – Najbardziej wkurza mnie to, jak wiele osób jest przekonanych, że cudze ciało to też ich biznes. Szczególnie w przypadku dziewczyn, bo z chłopakami jest inaczej. Ale twoje ciało to tylko i wyłącznie twój biznes... No, chyba że mówimy o alfonsie albo chirurgu plastycznym. Albo o alfonsie z uprawnieniami chirurga plastycznego. Cudze ciała to zdecydowanie ich biznes.

Delia wystawiła język. Były przyjaciółkami zaledwie od paru miesięcy, ale June wiedziała już, że to było jej typowe zagranie – mówiła coś do bólu prawdziwego i szczerego, by zaraz po tym palnąć jakąś głupotę. A świat jednocześnie stawał się większy i mniejszy, bardziej poważny i mniej poważny. A Junie czuła się wielką szczęściarą, że spotkała na swojej drodze tę dziewczynę.

– Pokazanie ci tej listy to ważny element naszej superprzyjaźni – ciągnęła Delia. – To tak jak w związkach, kiedy jedna osoba daje tej drugiej klucz do swojego mieszkania i dzięki temu wiedzą, że to prawdziwa miłość. – Delia zamilkła. Po czym się uśmiechnęła. – Tyle tylko, że my oczywiście wiemy to już od dawna...

Rozdział 19

Stoję w słońcu i patrzę na zwęgloną szopę, która wydaje mi się teraz najczarniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałam. Zmuszam się do odwrócenia wzroku i obserwuję dom. Próbuję dostrzec jakikolwiek ruch wewnątrz, chociaż tak naprawdę wiem, że to mało prawdopodobne – jest niedzielny poranek, co oznacza, że jej matka i ojczym, nawet jeśli gdzieś dalej nie wyjechali, są w kościele.

Nie jestem na to gotowa. Ale wiem, że jeśli jeszcze poczekam, być może nigdy tego nie zrobię. Odliczam w myślach, trzy, dwa, jeden... Wyobrażam sobie, że Delia jest tu ze mną, trzyma mnie za rękę i ciągnie za sobą. Zaczynam biec.

Przecinam ogródek na tyłach, wbiegam po schodach na ganek. Otwieram drzwi moskitierowe, serce wali mi jak młotem. Dostrzegam rząd kamieni, w tym ten szary, trzeci od końca. Migocze w słońcu. Podnoszę go, a tam najspokojniej w świecie leży sobie klucz – tam, gdzie zwykle, tam, gdzie leżał od lat, zmatowiały i lodowaty. Czuję ten chłód, kiedy biorę go do ręki.

Wsuwam klucz do zamka. I wtedy... Oto jestem, po raz pierwszy od ponad roku, w kuchni Delii. Uderza mnie zapach tego miejsca, taki sam jak zwykle. Coś jak odświeżacz powietrza wymieszany ze świeżą farbą, mimo że w środku niczego nie malowano od bardzo, bardzo dawna. I jeszcze coś, ten trudny do określenia charakterystyczny zapach domu Delii. Na kuchnię składają się głównie kafelki, żółte ściany i szafki zrobione z jakiejś imitacji drewna, która jest podobno droższa niż samo drewno. Delia wspominała, że jej ojczym twierdził, że to materiał „z najwyższej półki”. I kiedy naśladowała jego ton, zawsze brzmiała jak gangster z lat dwudziestych.

Wbiegam po schodach pokrytych kremową wykładziną i mknę korytarzem.

Otoczenie budzi we mnie miliony wspomnień. *Nie ma na nie teraz czasu.*

Na końcu korytarza zwisa z sufitu gruby sznur. Sięgam po niego i ciągnę. Schody na górę rozkładają się, powoli opadając. Z bijącym sercem wdrapuję się na strych.

Stąпам po podłodze z nieoheblowanych desek. Mijam stertę pudeł i podchodzę do niewielkiego starego kuferka z rozwarstwowanego kartonu pokrytego czarnym lakierem. Skrytka Delii. Nadal tu jest, jak dawniej. Muszę się dowiedzieć, kim jest SKURWIEL, a odpowiedź może być właśnie tutaj, w środku.

Otwieram skrytkę.

Moim oczom ukazuje się następujący zestaw: trzy puste butelki po wódce Wolfschmidt, dwa puste opakowania po papierosach, cztery metalowe naboje z podtlenkiem azotu¹ ukradzione komuś w kawiarni. Są opakowania po prezerwatywach i puste butelki po syropie Robitussin². Ale nie tego szukam. Nie. Bo to, czego szukam, to niewielki rulonik papieru, bladoniebieski, wytarty po latach zwijania i rozwijania. Z nazwiskiem „Fraser Holmes” na samej górze, a na samym dole... Tego właśnie mam nadzieję się dowiedzieć.

Przetrząsam pudełko, po kolei biorę do ręki każdy przedmiot. Jest solniczka, którą ukradła z knajpy bez żadnego konkretnego powodu, garść plastikowych oczu z ruchomą źrenicą, maleńka plastikowa torebka z rysunkiem odcisniętych czerwonych ust i jeszcze z tuzin równie przypadkowych rzeczy. Brak tylko papierowego rulonika. Sprawdzam trzykrotnie. Nie ma. Nagle zauważam na samym dnie coś, czego nie widziałam wcześniej – kopertę zaadresowaną koślawym pismem Delii, przypominającym pismo małego chłopca. Na kopercie widnieje mój adres.

Oddech więźnie mi w gardle. Kiedy to napisała? I dlaczego nigdy tego nie wysłała?

Wsuwam list do kieszeni kurtki, zamykam kufer. Schodzę na dół po ciemnych schodkach, zamykam je pchnięciem do góry.

Sprawdzam godzinę. Matka i ojczym Delii nie wrócą jeszcze przez

co najmniej dwadzieścia minut. Idę więc do jej sypialni, miejsca, w którym spędziłyśmy razem tyle godzin, z którego tyle razy wymykałyśmy się i wślizgiwałyśmy się z powrotem, gdzie zaśmiewałyśmy się do rozpuku i zwierzałyśmy się sobie ze wszystkich tajemnic.

Przekręcam klamkę. Drzwi otwierają się, a ja zastygam. Jej pokój jest kompletnie opustoszały. Gołe ściany, żadnej pościeli na łóżku, kompletnie puste biurko i podłoga. Otwieram szufladę komody. W środku nie ma nic. Wszystkie szuflady są puste. *Przecież ona umarła cztery dni temu.*

Czuję nagły przypływ złości, sama właściwie nie wiem na kogo. Zastanawiam się, czy zrobił to jej ojczym, twierdząc, że w ten sposób matce Delii będzie łatwiej. Zupełnie jakby оголоzenie jej pokoju miało sprawić, że nigdy nie istniała.

Gdzie są jej wszystkie rzeczy? Muszę je zobaczyć. To jedyne, co po niej zostało.

Na dole w garażu znajduję kilka wypchanych worków na śmieci. Otwieram jeden. W środku są ubrania Delii – fioletowy sweter, który opadał jej z jednego ramienia, para dżinsów z wielkimi dziurami w tylnych kieszeniach, jej ukochana skórzana kurtka. Pochylam się niżej i czuję jej zapach unoszący się z ubrań. Nagle odczuwam silną potrzebę zabrania tych wszystkich rzeczy, schowania ich w jakieś bezpieczne miejsce, na wypadek gdyby... no właśnie, na wypadek gdyby co? Gdyby Delia postanowiła powstać z martwych? W drugim worku jest jeszcze trochę ubrań oraz książki; z ich okładek wyglądają na mnie wróżki, smoki i księżniczki. Jest cała jej pościel, poduszki, kołdra. Ostatnia torba to same śmieci – zgniecione ręczniki papierowe, chusteczki, waciki ze smugami eyelinera. A na samiutkim dnie leży plastikowy prostokącik. Test ciążowy.

Jasna cholera.

Z łomocącym sercem sięgam po niego, odwracam. W okienku widnieją dwie różowe kreski. Cięża.

Czyżby Delia była...? Znowu?

Zerkam na telefon. Do ich powrotu zostało jakieś pięć minut, może mniej.

Zamykam wszystkie worki, odkładam je tam, gdzie stały, i przechodzę przez cały dom, gasząc światła.

Wymykam się tylnymi drzwiami, zamykam je za sobą i już mnie nie ma.

1. Podtlenek azotu w nabojach używany jest do ubijania śmietany („śmietana w sprayu”), a jednocześnie jest składnikiem tzw. gazu rozweselającego. [\[wróć\]](#)
2. Robitussin – syrop zawierający m.in. dekstrometorfan, który w większych dawkach ma działanie halucynogenne. [\[wróć\]](#)

Rozdział 20

1 rok, 3 miesiące i 17 dni wcześniej

Gdyby June była kimkolwiek innym, pewnie nawet nie zorientowałyby się, że coś jest nie tak. Ale June nie umiała nie dostrzegać najdrobniejszych szczegółów dotyczących Delii – przychodziło jej to naturalnie, bez najmniejszego wysiłku. Zupełnie tak, jakby obecność Delii zacierała granice wytyczone przez ciało June. Delia oplatała ją i wsiąkała w nią. W tych dobrych momentach towarzyszyło temu cudowne uczucie ulgi, że miała w swoim życiu kogoś takiego, kto przenikał do jej głowy i serca, wypełniał je sobą. Kogoś, dzięki komu czuła się mniej samotna. Ale w innych momentach, gorszych, takich jak ten, było to dość przerażające uczucie, dzielić swoje wnętrze z kimś, kto świecił tak jasnym, mocnym światłem, które jednak tak łatwo i niespodziewanie potrafiło się wyłączyć. A ostatnimi czasy światełko Delii wyraźnie migotało.

W poprzednim tygodniu Delia dwukrotnie przysłała do szkoły nastukana. Trzymała w torebce butelkę pełną wódki i co chwila z niej pociągała. Któregoś dnia June bardzo delikatnie zwróciła Delii uwagę, że może powinna nieco przystopować.

– Nie jestem twoją matką, June – odparła Delia ostrym tonem. – A ty nie jesteś moją.

Był to pierwszy raz, kiedy Delia wspomniała o matce June w ten sposób. June poczuła się... Sama nie była właściwie pewna jak. Włączył jej się odruch obronny? Nie do końca. Ale na pewno poczuła się zraniona, co w sumie było dość głupie, biorąc pod uwagę, że praktycznie wszystko, co Delia wiedziała o jej matce, pochodziło od niej samej, od June. Poza tym Delia miała oczywiście rację, bardzo się od siebie różniły, a właśnie to, co działo się z matką June,

prawdopodobnie sprawiało, że June tak bardzo zamartwiała się o Delię. Ale matka June, owszem, popieprzona, była przynajmniej konsekwentna w swojej popieprzoności. Z Delią z kolei nigdy nie było do końca wiadomo, co za chwilę powie albo zrobi, szczególnie ostatnimi czasy. Człowiek nigdy nie wiedział, czy będzie tą olśniewającą, uroczą, emanującą światłem osobą, którą wszyscy kochali, czy raczej, jak ostatnio, dziewczyną o przerażająco mrocznym wnętrzu. Choć June wydawało się, że wie o Delii wszystko, nie potrafiła szczerze odpowiedzieć sobie na pytanie, jak mroczne było i jak głęboko sięgało wnętrze jej przyjaciółki. Delia miała w środku wielką dziurę, do której chciała wciągnąć też June. I problem polegał na tym, że June jej na to pozwalała. Nie była w stanie tego powstrzymać, o ile nie była przy tym bardzo, bardzo ostrożna. Delia ją pochłaniała. Kiedy robiły to ameby, nazywało się to fagocytozą – June nauczyła się tego w szkole. W ten sposób ameby się odżywiały. To był ich sposób, żeby przetrwać.

Ale June też walczyła o przetrwanie. Co zazwyczaj oznaczało, że potrzebowała Delii. Tyle że teraz, siedząc w kuchni swojej przyjaciółki i przyglądając się jej uważnie, June nie do końca wiedziała już, czego właściwie potrzebuje.

Wiedziała tylko, że z Delią działo się coś niedobrego. June czuła migotanie światełka Delii w swojej piersi.

Delia rozgryzła pestkę słonecznika, wypluła łupinkę i zjadła zawartość. Potem podniosła wzrok w zamyśleniu i powiedziała, tak jakby właśnie w tym momencie przyszło jej to do głowy:

– Gdybym teraz zaszła w ciążę, to bym się zabiła.

Po czym tak po prostu rozgryzła kolejną pestkę, przeżuła i połknęła w całości. June zamarła ze słonecznikiem w dłoni. Trwało to tylko chwilę, po której wrzuciła pestkę do ust i poczuła na języku ukłucie jej słonego smaku.

– Nieprawda – powiedziała June. Starła się mówić możliwie lekkim tonem, jak Delia, chociaż ta rozmowa przyprawiała ją o przyspieszone bicie serca. Myślała o tym, żeby rzucić jakiś żarcik, w stylu: „Gdybyś przytyła w ciąży,

to tak, pewnie byś się zabiła”. Ale coś w tonie Delii ją powstrzymało – June nie była w stanie zebrać się w sobie, żeby wypowiedzieć to na głos.

Delia podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

– No dobra, może nie. Ale na pewno zabiłabym dziecko – powiedziała Delia, obserwując June z uniesioną brwią. June wiedziała, że Delia czeka na jej reakcję.

– To jeszcze nie byłoby dziecko – powiedziała June. – W każdym razie nie na początku. – Sięgnęła po kolejną pestkę i otworzyła ją. – Tylko raczej taka galareta.

Ale nawet w momencie, kiedy wypowiadała te słowa, wiedziała dobrze, że było to o wiele bardziej skomplikowane. Że wcale nie miała na myśli tego, co mówiła, jakkolwiek swobodnie brzmiał jej ton.

– W sumie – powiedziała Delia – pewnie masz rację.

Delia wrzuciła do buzi kolejną pestkę i rozgniotła w zębach, po czym wypluła łupinkę w garść. Wsadziła sobie jej kawałek na czubek palca, tak że łupinka wyglądała jak spiczasty, czarno-biały paznokiec. A potem, nie podnosząc wzroku, oznajmiła:

– Dziś rano miałam skrobankę.

Nałożyła drugą połówkę skorupki na środkowy palec i wyciągnęła rękę przed siebie. Nie patrzyła na June.

– To tak jak ja – odpowiedziała June. – U mnie to już trzecia w tym tygodniu.

Była pewna, że Delia żartuje, podpuszcza ją, jak to miała w zwyczaju. June non stop nabierała się na te jej kawały. Tym razem Delii nie pójdzie tak łatwo.

June przyglądała się uważnie twarzy Delii w poszukiwaniu śladu uśmiechu, który za chwilę przemieni się w łobuzerski wybuch radości. Tyle tylko, że tego śladu nie było. June zamknęła usta i przełknęła ślinę, czując w żołądku narastający niepokój.

– Ale zaraz, naprawdę? Jak się czujesz, wszystko w porządku? – June myślała, że w ten sposób sprowokuje Delię. Wiedziała, że to wszystko nieprawda. Nie podobała jej się ta zabawa, wcale a wcale. Postanowiła odegrać

swoją rolę i jak najszybciej skończyć tę rozmowę, byle tylko mieć to za sobą. Ale Delia nadal się nie uśmiechała.

– Jasne, że tak – powiedziała Delia. – Nic wielkiego.

Wzruszyła lekceważąco ramionami, co tylko utwierdziło June w przekonaniu, że owszem, było to coś wielkiego.

June wpatrywała się w Delię. Czuła się tak, jakby ziemia usunęła jej się spod stóp. Delia wydawała jej się kompletnie obca. Po chwili jednak wszystko wróciło na swoje miejsce. W głowie June mnożyły się pytania, o których wiedziała, że pozostaną niewypowiedziane.

– Bolało? – spytała wreszcie.

Delia wzruszyła ramionami.

– Nie bardziej niż zwykle, od którego wszystko się zaczęło.

June otworzyła usta, serce waliło jej mocno. Czy Delia chciała przez to powiedzieć...

Delia popatrzyła na June, pokręciła głową i zaśmiała się zimno.

– Nikt mnie nie *zgwaltcił* – powiedziała. – Jezu, June. Bolało, bo było *kiepsko*.

– Aha – wydusiła June.

– Bo mi się nie podobało. Nie byłam zbyt podniecona, więc pękł nam kondom.

– Okej.

– To był jeden koleś z tamtej imprezy u Sammy’ego. Nudy totalne, nic nie straciłaś. Koleś nie wiedział, co zrobić z rękami, zupełnie jakby dopiero co dostał swoją parę i nie przeczytał jeszcze instrukcji obsługi. A jego oddech...

– dopiero teraz Delia zaczęła zerkać w jej stronę. – Pamiętasz, jak kiedyś w knajpie jedna dziewczyna, taka dziwna, pokazała nam swój pępek, który sobie przekłuła i w który wdała się jej infekcja, i prawie się porzygaliśmy od tego obrzydliwego zapachu? No więc z ust waliło mu tak, jakby przed chwiląssał pępek tej laski. Więc całe szczęście, że zrobiłam sobie tę skrobankę. To by było bardzo śmierdzące dziecko i pewnie zasmrodziłoby mnie całą w środku swoim koszmarnym oddechem.

June spróbowała się uśmiechnąć na te słowa, bezskutecznie. Było jej niedobrze. Delia znowu zajęła się chrupaniem słonecznika. Wyglądała tak, jakby jej ulżyło, jakby spadł z niej jakiś ciężar. I rzeczywiście spadł z niej – bo teraz dźwigała go June. Delia zachowywała kolejne czarno-białe łupinki i z każdym splunięciem przyklejała jedną do palców. Kiedy miała komplet, uniosła dłonie do góry.

Rozdział 21

Odjeżdżam z bijącym sercem i z listem od swojej nieżyjącej najlepszej przyjaciółki na kolanach. Kiedy jestem już wystarczająco daleko, zatrzymuję się na poboczu. Rozrywam kopertę. W środku znajduje się list z datą sprzed ponad roku, co napawa mnie jednocześnie rozczarowaniem i pewnego rodzaju ulgą.

Kochana Junie,

O cześć, siema. To ja, Delia. Czy nie jest to dziwny sposób na rozpoczęcie listu? Czy to nie dziwne, że piszę do Ciebie normalny, papierowy list? To trochę jak SMS, tylko dłuższy, może bardziej jak e-mail, tyle tylko, że przy okazji ucierpiało drzewo. Heh. Dziwnie się zaczyna. Ale chyba o to właśnie w tym wszystkim chodzi, że będzie dziwnie... bo ostatnio jest między nami dziwnie. I nie wiem, jak to „oddziwnić”.

Przede wszystkim chcę powiedzieć, że jest mi bardzo przykro, że jest między nami dziwnie. Zauważyłaś, że już pięć razy użyłam w tym liście słowa „dziwnie” (sześć, jeśli liczyć to ostatnie, a jakieś piętnaście, jeśli liczyć słowa, które zapisałam niewidzialnym atramentem)? Kocham Cię (ale to już wiesz). Jesteś moją najlepszą przyjaciółką (ale to też już wiesz). I jeśli myślisz, że zrobiłam coś nie tak, chciałabym, żebyś przyszła z tym do mnie i porozmawiała. Kiedyś rozmawialiśmy totalnie o wszystkim. Ale prawda jest taka, że ostatnio ja też nie o wszystkim Ci mówiłam.

Na przykład o tym: Ryan nie jest facetem dla Ciebie. I nie mówię tego dlatego, że uważam, że jest zbyt nudny i normalny, albo dlatego, że jego twarz przypomina kawał mięsa, albo dlatego, że boję się, że mi Ciebie odbierze (to znaczy, to wszystko oczywiście też, haha, ale nie tylko). Tak naprawdę uważam tak dlatego, że jak się okazuje, Ryan jest po prostu dupkiem. Od pewnego czasu do mnie wydzwaniał. Za pierwszym razem odebrałam, bo myślałam, że to Ty dzwonisz z jego telefonu, ale było inaczej. I nie dzwonił do mnie, żeby porozmawiać o Tobie. Dzwonił, żeby... Uch, to dziwne uczucie, pisać o tym w liście, więc powiedzmy po prostu, że tamtej pamiętnej nocy zrobiło się między nami wszystkimi bardzo nieswojo trochę z mojej winy, ale w większości jednak przez niego. I teraz dochodzimy do tej części, która Ci się nie spodoba, ale mam nadzieję, że mimo to uwierzysz mi, bo przysięgam Ci, że to prawda i że nie byłam aż tak pijana, żeby błędnie ocenić sytuację (tak, wypiliśmy wtedy tyle samo, ale dziewczyno, umówmy się, mam o wiele mocniejszą głowę. Ty masz odporność muszki owocówki, a ja wielkiego, zwalistego, włochatego gościa, na którym ta muszka przysiadła). No więc tamtego dnia, kiedy graliśmy we trójkę w tę grę i Ty wyszłaś z pokoju, on próbował kontynuować naszą grę bez Ciebie. Od dawna zbierałam się, żeby Ci o tym powiedzieć. Miałam nadzieję, że wyjaśnimy sobie wszystko następnego dnia, ale od tamtego incydentu właściwie nie rozmawialiśmy, w każdym razie nie tak jak kiedyś. I chyba jakaś część mnie czuje żal, że od razu założyłaś, że to ja byłam winna całej tej sytuacji. A tak nie było.

Nie jestem jeszcze pewna, czy odważę się wysłać do Ciebie ten list. Jeśli go czytasz, to znaczy, że się zdecydowałam. A jeśli nie, to właściwie piszę teraz sama do siebie. Siemka, D., nieźle dziś wyglądasz, dupeczko.

Naprawdę, Junie, musisz mi uwierzyć. Nigdy, przenigdy bym Cię nie oszukała.

Twoja na zawsze,
D.

List wypada mi z rąk. Moje serce wali jak młotem. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Wiem tylko, że potrzebuję odpowiedzi i że z dwojga ludzi, którzy mogliby mi ich udzielić, żyje już tylko jedno...

Obserwuję twarz Ryana, którego wzrok przesuwają się po kartce. Co i rusz upominam samą siebie, żeby oddychać.

– Nie do końca rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Siada na łóżku, opiera się plecami o ścianę i krzyżuje nogi na wysokości kostek. Wie, że się na niego gapię. Nie jestem w stanie określić, czy świadomie stara się zachować spokój, ale od razu zauważam moment, w którym natrafia w tekście na swoje imię.

– Co to, do licha, jest? – pyta. *Do licha*. Zazwyczaj mówi „do diabła”. – Ty chyba nie... chyba w to nie wierzysz? – Podnosi na mnie wzrok.

Świat wiruje jak oszalały, czuję się tak, jakbym zaraz miała wystrzelić w powietrze. Jest mi niedobrze. Moja głowa kiwa bez mojej wiedzy.

– Jak możesz? Przecież ona była szurnięta! Kiedy ci to wysłała?

– Nie wysłała – odpowiadam.

– W takim razie skąd to masz?

Nie odpowiadam. Do cholery, nie ma mowy, żebym powiedziała mu cokolwiek. Do licha. Ryan nie przestaje mówić.

– Od samego początku czułem, że z tą dziewczyną jest coś nie w porządku. Staralem się z nią zakolegować ze względu na ciebie, ale nigdy jej nie polubiłem. Wmawiała ci, że jesteście czymś więcej niż zwykłymi przyjaciółkami, że łączy was jakaś wyjątkowa więź. Ale czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo była popieprzona? Wiesz, że przystawiała się do mnie tamtej nocy? I później? – Słowa padają z jego ust coraz szybciej, jakby był przerażony na samą myśl, że mógłby przestać mówić. – Ten list to jakiś chory wymysł. Może pisze o tym, bo chciałaby, żeby się to wydarzyło.

Próbowała mnie poderwać tyle razy, że nawet nie jestem w stanie zliczyć. Nigdy ci o tym nie mówiłem, bo nie chciałem cię zranić, a poza tym nie widywałaś się z nią tak często jak kiedyś, więc uznałem, że nie ma sensu. No bo kto, do licha, chciałby dowiedzieć się czegoś takiego o swojej przyjaciółce, nawet byłej? Ale taka jest prawda – zapewnia Ryan i dodaje łagodniejszym głosem: – Daj spokój, przecież wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił...

– Nic już nie wiem – odpowiadam. A wtedy na jego twarzy pojawia się wyraz autentycznego bólu. Przez sekundę zastanawiam się, czy nie popełniam właśnie ogromnego błędu.

Ryan wstaje.

– Nie mogę uwierzyć, że mi nie ufasz. – Kręci głową. Wygląda, jakby miał zaraz wpaść w histerię. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. – Muszę iść... Ja... ja nie mogę tu zostać... – To mówiąc, odwraca się i rusza w kierunku drzwi, a ja podążam za nim. Zatrzymuję się u szczytu schodów. Ryan schodzi powoli, jakby liczył, że go dogonię. Ale ja stoję w bezruchu aż do momentu, w którym słyszę ciche trzaśnięcie zamykanych drzwi wyjściowych.

Mokry ochłap mięsa, jakim jest w tej chwili moje serce, tłucze się wewnątrz mojej klatki piersiowej. Nie mam pojęcia, co robić. Ale wiem jedno: wybieram ją, wybieram Delię, tak jak powinnam była zrobić to dawno temu. Wybieram ją, mimo że już jej nie ma. Czuję przenikające moje ciało więzi, które zawsze trzymały nas razem. Czuję, że moje wnętrzości są połączone z jej wnętrzościami, mimo że został po nich tylko popiół i dym.

Mama Ryana jest w kuchni. Zastanawiam się, ile słyszała. Idę w stronę wyjścia, w stronę mojego samochodu. Na mój widok mama Ryana się uśmiecha.

– O, dobrze, że jesteś. Będziesz moim testerem – mówi, wskazując na wielki blender stojący na blacie, wypełniony do połowy posiekanym mango. – Próbuję czegoś, czego jeszcze nigdy nie robiłam. Wiesz, postanowienia noworoczne, te sprawy. Jeśli jest ohydne, powiedz mi bez ogródek. – Odwraca się do mnie

plecami i idzie w stronę lodówki, z której wyjmuje pojemnik z borówkami, trochę malin i torebkę szpinaku. – Chcę, żebyś dobrze się z nami czuła, jak członek rodziny – dodaje, wrzucając wszystko do blendera. – Wiesz, ze mną, z tatą Ryana. My wszyscy uważamy... uważamy, że jesteś wspaniała. – Odwraca się do mnie i znowu posyła mi uśmiech. Wciska guzik u podstawy blendera. A potem, przekrzykując jazgot, rzuca: – Mimo woli słyszałam waszą kłótnię.

Spoglądam w stronę drzwi. Mam ochotę uciekać. Blender milknie.

– Nie konkretne słowa, ale słyszałam, że się kłócicie. Nie próbowałam podsłuchiwać. – Wyciąga z szafki dwie szklanki i nalewa nam smoothie. Przesuwa po blacie jedną porcję w moją stronę. – Wiem, że bycie w związku bywa trudne i że zdarza się, że osoba, z którą jesteś, zachowuje się jak palant. Mogę cię w każdym razie zapewnić, że tak jest z tatą Ryana! – Śmieje się lekko. – Zresztą ja pewnie też nieraz zachowuję się jak palant. Ale wiem, że Ryanowi naprawdę na tobie zależy. I chyba tylko tyle chciałam ci powiedzieć. Ryan by mnie zabił za to, że się wtrącam, ale... – Zniża głos. – Wiem, że poważnie o tobie myśli, i mam nadzieję, że czasem sam ci o tym mówi. Nie opuszczałby nas wcześniej dla byle kogo.

– Co przepraszam?

– Och nie, nie musisz przepraszać. Brakowało nam go, ale oczywiście rozumieliśmy. Spędziliśmy z tym dzieciakiem już szesnaście sylwestrów, więc przetrwaliśmy jeden bez niego.

– Zaraz – mówię. – Ja...

– Proszę, nie bądź na niego zła, że nam powiedział. Nie zdradził żadnych szczegółów. Mówił tylko, że macie do omówienia jakieś ważne sprawy i że chce załatwić to przed końcem roku. Słowo daje, nie mówił nic więcej – urywa na chwilę. – Może za rok spędzimy sylwestra wszyscy razem.

– Ryan wrócił...

– No właśnie, a przecież nie zrobiliby tego dla kogoś, kto nie byłby dla niego ważny! – Mama Ryana kiwa energicznie głową, jakby zadowolona, że nareszcie rozumiem, o co jej chodzi. – Zobaczysz, wszystko się ułoży – dorzuca.

Ręka mi drży, kiedy stukamy się szklankami. Ryan wrócił wcześniej. Powiedział rodzicom, że chce się ze mną zobaczyć. Ale tego nie zrobił. Więc co się w tym czasie działo?

– Wiesz, że ojciec Ryana i ja jesteśmy parą jeszcze z czasów liceum? Brzmi niewiarygodnie, ale to prawda!

Potakuję słabo.

– Przepraszam, ale nagle jakoś kiepsko się poczułam. Mogłabym pójść na chwilę do pokoju Ryana? – rzucam i ruszam, nie czekając na odpowiedź.

Znalazłszy się z powrotem na górze, wyciągam z kieszeni telefon. Przewijam aż do kontaktu SKURWIEL i wciskam zieloną słuchawkę. Prawie nie słyszę sygnału w głośniku swojej komórki – bicie serca ogłuszająco dudni mi w uszach.

Jeden sygnał, drugi...

Przez kilka sekund w pokoju Ryana panuje cisza. To, czego najbardziej się obawiam, jeszcze się nie wydarzyło.

I wtedy słyszę stłumione bzyczenie telefonu ustawionego na wibracje.

Zaczynam przeczesywać jego pokój.

Telefonu nie ma w łóżku ani szafce nocnej, ani biurku... Włącza się poczta głosowa. Dzwonię jeszcze raz. Przeszukuję górne szuflady jego komody, pełne swetrów, koszulek, bielizny. Grzebię dalej, coraz niżej. Jestem coraz bliżej. Dzwonię jeszcze raz. Bzzz. Bzzz. Bzzz. Otwieram z rozmachem dolną szufladę i wsuwam rękę między poskładane dzinsy. Macam w środku, aż napotykam na twardy plastik. Wyciągam mały, oldschoolowy telefon z klapką. Czarny. Na jego ekranie miga mój własny numer telefonu.

Otwieram telefon i zaczynam przeglądać historię połączeń. Są tam nieodebrane połączenia z mojego numeru, a potem nic poza telefonami do niej, SMS-ami do niej. Plus dwa połączenia odebrane od Delii, jeden z dwudziestego dziewiątego grudnia i drugi z przedednia jej śmierci.

Znowu słyszę wibracje, ale tym razem dobiegają z mojego własnego telefonu. Zerkam w dół na ekran. SMS-y od Ryana, dwa naraz: *Sorry za ten wybuch. bylo*

mi przykro, ze mi nie ufasz... ale wiem, ze duzo ostatnio przeszlas. spotkamy sie w knajpie? zjadlbym pankejki...

Odkładam jego telefon z powrotem do szuflady. A potem pędem zbiegam po schodach. I dalej, do drzwi wyjściowych.

– June? Wszystko w porządku? – słyszę za plecami głos mamy Ryana. Nie zatrzymuję się. Zbiegam po schodkach werandy. Drżącymi rękami otwieram samochód, ciężko opadam na siedzenie i ruszam z podjazdu.

I wtedy, wreszcie, wyrzucam z siebie niemy krzyk, a to, co siedzi ukryte głęboko w mojej głowie, te myśli, których tak się boję, zaczynają wyłazić na powierzchnię.

Rozdział 22

1 rok, 2 miesiące i 6 dni wcześniej

– Uśmieeech! – zawołał Ryan.

– Nie tak szybko, palancie – odparowała Delia. Zerwała się i próbowała zabrać mu telefon, ale Ryan schował go za plecami. Szamotali się tak przez chwilę, a June obserwowała ich z kanapy, rozkoszując się ciepłem rozlewającym się po całym ciele.

– A ty czemu się tak uśmiechasz, śmieszko? – spytał Ryan.

June dotknęła ust, których kąciaki rzeczywiście były uniesione, i uświadomiła sobie, że Ryan najwyraźniej mówi do niej. Nawet nie czuła, że się uśmiecha! To pewnie dlatego, że tak fajnie wszystko się układało i że dawało jej to niesamowite poczucie szczęścia. A troszkę też być może dlatego, że wcześniej wypiała nieco alkoholu.

Zaplanowali to kilka tygodni wcześniej, kiedy okazało się, że rodzice Ryana wyjeżdżają. Mieli być we czwórkę: June i Ryan, z którym Delia tak naprawdę nigdy wcześniej nie miała okazji spędzić więcej czasu, oraz Delia i jej nowy chłopak, którego June nie miała jeszcze okazji poznać. Miał na imię Sloan i był perkusistą w zespole, który lubiła Delia. Delia poznała go po jednym z występów. Pierwsze słowa, jakie do niej wypowiedział, brzmiały: „Jeśli rzeczywiście istnieje nieskończona liczba światów równoległych, to przynajmniej w jednym z nich już się pieprzymy”.

– Cholernie mi się to spodobało – zwierzała się potem Delia. – I nic dziwnego, bo to cholernie seksowny tekst. Szkoda tylko, że Sloan ukradł go komuś ze swoich inteligentnych kumpli. – Delia uważała jednak Sloana za tak pociągającego, że takie podkradanie tekstów nie miało dla niej żadnego

znaczenia. – Nie jestem z nim dlatego, że jest interesujący.

June widziała mnóstwo zdjęć Sloana, w tym zdjęcie jego fiuta, bo Delia tak już miała – pokazywała serię zupełnie normalnych zdjęć, między którymi znajdowało się zdjęcie penisa, dorzucone jakby nigdy nic. „Na tym zdjęciu jest pies Sloana – tłumaczyła. – Tutaj jego współlokator, który, wydaje mi się, ma pchły w brodzie, a tutaj, proszę bardzo, siurek Sloana”. Zawsze zachowywała przy tym śmiertelną powagę, była w tym świetna, zupełnie jakby nie miała nawet pojęcia, że to, co robi, nie jest standardowym zachowaniem. Więc tak, owszem, June miała nadzieję, że zdąży zapomnieć o widoku krocza Sloana, zanim pozna go osobiście, bo... wiadomo. Ale teraz okazało się, że jednak nie będzie miała okazji go poznać, bo półtorej godziny wcześniej Delia pojawiła się u Ryana sama, bez Sloana, za to z flaszką taniej wódki, słoikiem wisienek maraschino i opowieścią o tym, jak to rzuciła w cholerę tego nudnego frajera w trakcie jazdy samochodem tutaj (nie wcześniej, bo to Sloan miał ją podwieźć).

– Cóż, więcej wódki dla nas – powiedziała Delia, puszczając oko do June, po czym wzniosła toast butelką i wzięła długi łyk jeszcze w drzwiach wejściowych.

Jednak kiedy June obserwowała Delię, stojącą samotnie, wlewającą w siebie wódkę, poczuła nagle, jak żołądek ściska jej się ze strachu. Miała okropne przeczucie, że tego wieczoru wydarzy się coś złego.

Ostatnimi czasy, kiedy spędzały czas same, a Delia piła – a piła ostatnio o wiele za dużo – wpadała w swoją czarną otchłań. Obydwie od zawsze patrzyły na świat z perspektywy my-przeciwko-nim, ale kiedyś chodziło bardziej o to, że nikt-pozza-nami-nas-nie-rozumie, a obecnie o to, że wszyscy-wokół-i-w-ogóle-wszystko-jest-do-dupy. Alkohol był paliwem, które napędzało Delię, lecącą w dół, dół, dół, w najciemniejszą ciemność. June nie chciała patrzeć na świat w ten sposób, ale emocje Delii oplatały ją, przenikały przez jej skórę, aż wreszcie nie była w stanie rozróżnić, które uczucia należały do niej.

Kiedy planowali ten wieczór, June miała nadzieję, a nawet zakładała, że

w obecności Sloana Delia będzie tą tryskającą energią i humorem, charyzmatyczną wersją siebie. Towarzystwo facetów, z którymi aktualnie uprawiała seks albo z którymi miała nadzieję uprawiać seks w najbliższym czasie, zazwyczaj skłaniało ją do wzorowego zachowania. Nie wiadomo było, jak będzie się zachowywać bez Sloana. Jak będą się czuli ze sobą we trójkę?

Z początku odpowiedź na to pytanie brzmiała: bardzo niezręcznie. Ryan był zaskakująco milczący, z kolei Delia mówiła o wiele za dużo, jak to się zdarzało, kiedy piła. Choć ku radości June Delia nie wpadła w swoją czarną otchłań, to co i rusz rzucała żarty, które tylko one dwie mogły zrozumieć, i wspominała sprawy, o których nie rozmawiały od lat. Zupełnie jakby chciała pokazać Ryanowi, jak bliskimi są przyjaciółkami, udowodnić mu, że jeśli ktoś ma tu być piątym kołem u wozu, to z pewnością nie ona. Potem zaczęła opowiadać o Sloanie, o tym, jaki był z niego nudziarz, przyznając jednocześnie, że pewnej rzeczy będzie jej brakowało.

– June wie, o czym mówię – powiedziała, patrząc wymownie na June i puszczając do niej oko.

A June poczuła się zażenowana, bo nie było najmniejszych wątpliwości, o czym mówiła Delia. Miała nadzieję, że Ryan nie uzna, że June tak samo opowiada Delii o tych bardzo, bardzo intymnych sprawach. Bo rzeczywiście tego nie robi. Możliwe, że jeszcze parę miesięcy temu odmalowywałyby Delii wszystko ze szczegółami. Ale ponieważ ostatnio ich relacja zaczęła się zmieniać, nie mówiła Delii o takich rzeczach. W tym konkretnym momencie odczuwała z tego powodu ogromną ulgę.

No więc początek spotkania przebiegał w bardzo niezręcznej atmosferze. Ale właśnie wtedy, w rześki, przejrzysty wieczór na początku października, June, która nigdy nie piła alkoholu, uznała, że ten jeden raz nie zaszkodzi, bo, na Boga, ta atmosfera była naprawdę nieznośna. Poza tym Delia była już nieźle wstawiona, a i Ryan nie był całkiem trzeźwy.

– Polej kolejkę, pani barmanko – rzuciła June.

Nawet jeśli Delia była zaskoczona jej prośbą (a musiała być, niemożliwe,

żeby było inaczej), nie dała tego po sobie poznać.

Po pierwszym sznapsie June zapiekło w gardle i dostała ataku kaszlu, więc Delia dała jej na popitkę trochę syropu ze słoika, w którym pływały wisienki maraschino, ale niewiele to pomogło. Natychmiast poczuła też ciepło w brzuchu i karku. Z drugim sznapsiem poszło już o wiele lepiej. A po paru minutach przestała zauważać niezręczność całej sytuacji. Przeczucie nadchodzącej katastrofy całkiem się ulotniło. Po trzeciej kolejce June zaczęła się zastanawiać, czym ona w ogóle się martwiła – a przecież martwiła się wcześniej o Delię i jej doły i o to, że coś się psuło w ich relacji, o Ryana i o to, czy jej nie zostawi, o matkę, o szkołę, o życie. Po co martwić się o cokolwiek?

Teraz, kiedy patrzyła, jak Delia wygłupia się i próbuje zabrać Ryanowi telefon, a on uśmiecha się do niej, poczuła przypływ niezmaconej radości i uświadomiła sobie, że właściwie to było im o wiele fajniej tylko we trójkę. I że to wszystko, co się teraz działo, było lepsze od wszystkiego, co się do tej pory wydarzyło. Możliwe, że był to najszczęśliwszy moment jej dotychczasowego życia. Co, jeśli się nad tym głębiej zastanowić, było dość absurdalne.

June zachichotała.

– Patrz, śmieje się z ciebie, bo widzi, że jej przyjaciółka jest o wiele sprytniejsza niż jej chłopak – powiedziała Delia do Ryana, po czym wreszcie wyrwała mu telefon z dłoni, rzuciła na kanapę i zaraz na nim usiadła.

– Coś w tym stylu – odpowiedziała June. I uśmiechnęła się jeszcze szerzej, patrząc na Delię i Ryana, dwoje najbliższych jej ludzi na świecie. Potem zaś usadowiła się wygodniej, a Delia zaczęła rozlewać wódkę do kubków, których używali zamiast kieliszków.

– Nie wiem, czy powinnam... – zaczęła June. W tym momencie czuła się idealnie i nie chciała tego zepsuć. Właściwie to już zaczynało jej się trochę kręcić w głowie.

– Ćśśś, ćśśś – odpowiedziała Delia. – Nie gadaj głupot, tylko słuchaj ojca – dodała, wskazując na swój kubek z napisem NAJLEPSZY TATA NA ŚWIECIE, po czym wręczyła June ten z napisem JESTEM Z VERMONTU!

June wypiła kolejnego szota. Tym razem w ogóle nie poczuła smaku wódki.

Ryan stał tuż obok kanapy i sączył piwo, które nie wiadomo kiedy pojawiło się w jego ręku. June przemknęło przez myśl, że może czuje się wykluczony i że powinna podejść do niego i się przytulić albo zachęcić go, żeby usiadł na kanapie razem z nimi. Już zaczęła się podnosić, kiedy Delia chwyciła jej rękę i pociągnęła ją z powrotem w dół.

– Dobra, TERAZ możesz zrobić nam zdjęcie – oznajmiła Delia. June podniosła wzrok na Ryana. Nie był przyzwyczajony do wykonywania poleceń. Nieraz słyszała, jak się irytował, kiedy jego młodsza siostra Marissa kazała mu coś zrobić. Ale teraz Ryan tylko się uśmiechnął i przytaknął. Delia rzuciła mu swój telefon, a potem przyłgnęła do June. Chwyciła grube pasmo długich blond włosów June i przeciągając pukiel przez czoło, założyła go za swoje ucho.

– Ładnie mi w blond włosach? – spytała z tym swoim śmiesznym akcentem, którego używała tylko wtedy, kiedy były same. „Blond” brzmiało jak „bląd”. Ciepły policzek Delii przylegał do policzka June, a łokieć wpijał się w jej klatkę piersiową, ale June prawie tego nie czuła.

June wzięła garść loków Delii i założyła je za swoje ucho. Od lat bawiły się w ten sposób swoimi włosami.

– KLIK! – zawołał Ryan. Zrobił zdjęcie i odłożył telefon na stół. – Jesteście jak małe dziewczynki, które bawią się w salon fryzjerski.

June uświadomiła sobie nagle, że w dalszym ciągu siedzą obok siebie, ciasno przytulone. Zawsze były strasznie przytulaśne. Takie okazywanie sobie czułości było bardzo przyjemne. June lubiła, kiedy tuliły się z Delią w trakcie oglądania filmu albo kiedy objęte chodziły po ulicy. Kilka lat wcześniej Delia stwierdziła: „Ciebie nikt w domu nie przytula. A jeśli ktoś przytula mnie, to raczej jest to obleśne. Ale jest taka substancja chemiczna, tylko nie pamiętam teraz, jak się nazywa, którą wytwarza nasz organizm, kiedy się przytulamy do osoby, którą kochamy, dlatego przytulanie się do siebie jest dla nas bardzo dobre”.

June przypomniała sobie, że Ryan nigdy wcześniej tak naprawdę nie widział jej razem z Delią. Przez sekundę była nawet odrobinę zawstydzona, obawiając

się, że Ryan będzie krzywo patrzył na takie przytulanki, bo w końcu to on był jej chłopakiem.

Ale kiedy podniosła wzrok na Ryana, zobaczyła, że się do niej szczerzy. Pomyślała, że wygląda przy tym bardzo seksownie. Zazwyczaj po prostu się uśmiechał, ale nie tak szeroko. Był słodki i zachowywał się jak ci mili chłopcy z filmów, co absolutnie jej nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Kompletnie różnił się od chłopaków, którym zazwyczaj wpadała w oko. I ona czuła się przy nim zupełnie inaczej. Ale do tej pory nie widziała u niego jeszcze takiego wyszczerzonego uśmiechu. Może wyglądał tak dlatego, że był pijany. A może dlatego, że ona sama była pijana.

Czas płynął, oni pili i śmiali się, a kolejne momenty zlewały się w jedną całość. Naraz Delia usiadła wyprostowana, wyciągnęła ręce nad głową i tonem odkrywcy oznajmiła:

– Hej, mam pomysł, w co moglibyśmy zagrać.

Kiedy June rozmyślała później o tym momencie, uderzyła ją lekkość tonu, z jakim Delia rzuciła tę propozycję. Zastanawiała się, jak bardzo pijana była wtedy Delia i czy przewidziała, jak to wszystko może się skończyć. June analizowała to na wszystkie strony, ale nie umiała znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Nigdy nie można być niczego pewnym. To była lekcja, którą otrzymała June.

– A jak się w nią gra? – spytał Ryan.

– Cóż – zaczęła Delia – najpierw wszyscy muszą usiąść i każdy musi wziąć sobie poduszkę. A potem... Macie tu może jakieś karty? I kości do gry?

Ryan kiwnął głową, podszedł do szafki, na której stał telewizor, i otworzył szufladę, w której jego rodzina trzymała gry. Taka to była właśnie rodzina – mieli specjalną szufladę na gry.

– Super – powiedziała Delia. – A teraz wszyscy... – June pomyślała, że to zabawne, że Delia ciągle mówi „wszyscy”, jakby siedzieli tutaj wielką grupą – muszą dostać jakąś liczbę kart, gdzieś między cztery a sześć, czyli w sumie pięć, bo to jedyna liczba pomiędzy. No, chyba że chcemy drzeć karty. Chcemy?

– zwróciła się do June i scenicznym szeptem, tak, żeby Ryan na pewno usłyszał, poprosiła ją: – Pomóż mi, słońce, przecież widzisz, że wymyślam wszystko na poczekaniu.

– Ach, zaraz – włączyła się June. Próbowwała brzmieć poważnie i trzeźwo, co okazało się w tym momencie bardzo trudne do wykonania. – Delia, zapomniałaś o butach.

– O butach? – spytała Delia. – Racja, ależ ze mnie gapa.

– Ryan – powiedziała June. – Musisz usiąść na kanapie i zdjąć buty, a potem... – ale nie była w stanie wymyślić żadnego śmiesznego tekstu. Jej zamroczony alkoholem umysł pracował na zwolnionych obrotach, wypaliła więc tylko – musisz wypić kolejkę! Tak jest! Pije! Pan! Kolejkę! – Uświadomiła sobie, że wrzeszczy, nie wiadomo czemu. Czy naprawdę chciała, żeby się napił? Patrzył na nią, wydawał się chyba nawet rozbawiony. A potem to zrobił. Po wypiciu mrugnął do niej, czego nigdy wcześniej nie robił. Nie wiedziała nawet, że potrafi. I że jest w tym dobry!

A potem... gra zaczęła się rozkręcać. Później June usilnie próbowała sobie przypomnieć, które z nich nakierowało zabawę na te tory, którymi się potoczyła.

Postanowili, że to będzie pijacka gra, połączenie prawdy czy wyzwania, gry w butelkę i rozbieranego pokera, z dodatkowymi inspiracjami z różnych innych gier. Żadne z nich nie znało dokładnie zasad. Chyba nawet ich nie było.

Rzucali talią kart na środek stołu i wszyscy musieli pić kolejkę, potem Ryan tańczył jak striptizer, nawet ściągnął koszulę, podczas gdy Delia zaśmiewała się histerycznie.

– Miałaś rację – powiedziała głośno, ocierając łzy z policzków. – On wcale nie jest nudny.

Ryan spojrzał na nią z udawanym oburzeniem.

– Miałaś rację – zwrócił się do June. – Nie jest kompletną wariatką.

– Ależ owszem, jest – odparowała Delia, poruszając brwiami w górę i w dół.

– Niech będzie – powiedział Ryan. – Ale tylko w pozytywnym znaczeniu.

Grali dalej. Pili coraz więcej. Delia plunęła wódką prosto w usta June, Ryan

gadał zbereżne teksty do ananasa, a June próbowała zdjąć stanik bez zdejmowania bluzki i jakimś cudem spadła przy tym z kanapy.

A potem zaczęli grać w jakąś dziwną odmianę Twistera! Potem jeszcze jakby tańczyli! Pokładali się na sobie na podłodze! Było tak bardzo dziwnie i tak bardzo fajnie! Ale w momencie, w którym June zobaczyła, jak usta Delii i Ryana stykają się, co, miała niemal pewność, było tak naprawdę częścią ich gry, zrozumiała, że cała ta zabawa była wielką, potworną pomyłką. Mimo alkoholowego ośpienia natychmiast poczuła w środku uderzenie gorącej paniki.

I nagle zrobiło jej się bardzo, bardzo niedobrze.

Podniosła się z ziemi na miękkich nogach. Musiała jak najszybciej opuścić to miejsce. Czuła się fatalnie – chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuła się gorzej.

– Idę do łazienki – powiedziała, ale głos jakby kompletnie odmówił jej posłuszeństwa. A może nikt jej nie słuchał.

Nie chciała zwymiotować na podłogę. Ruszyła w stronę łazienki. Nie odwracała się, żeby na nich nie patrzeć. Policzki jej płonęły, była zlane potem, a jednocześnie było jej potwornie zimno. Ściany chygotały się na wszystkie strony, trzymała się ich kurczowo, a potem całe pomieszczenie zaczęło wirować jak na karuzeli. Jakimś cudem udało jej się dotrzeć do łazienki. Wnętrze oświetlone było bardzo jasno i kiedy June niechcący spojrzała w lustro, zobaczyła w nim jakiegoś potwora z potarganymi włosami i opuchniętą twarzą, upapraną czerwonym syropem wiśniowym, który wyglądał jak kozia bródka.

Nie miała najmniejszej ochoty patrzeć dalej w lustro, więc zgasła wszystkie światła i usiadła na podłodze, opierając policzek o chłodną porcelanową podstawę umywalki. Czekwała, aż wymioty podejną jej do gardła, ale nic takiego się nie wydarzyło. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy umiejętność niewymiotowania po dużej ilości alkoholu jest generyczna, by po chwili poczuć autentyczną dumę z siebie samej, że użyła słowa „generyczny”. Tylko że już kilka sekund później uświadomiła sobie, że to jednak nie było to słowo, o które jej chodziło, ale nie była w stanie przywołać właściwego określenia. A potem pomyślała o swojej matce, a potem o Ryaniu i Delii w salonie, a potem się

rozplakała.

Wreszcie przestała płakać, nadal jednak siedziała sama w łazience. Gdzie oni są? Dlaczego jest sama? A potem chyba zasnęła, bo kiedy się z powrotem ocknęła, Ryan właśnie włączał światła i podawał jej szklankę wody, i głaskał ją po plecach, pytając, czy wszystko w porządku. I przez sekundę June nie pamiętała o wydarzeniu, które doprowadziło ją do takiego stanu. Tylko że, no właśnie, obok niej był Ryan, gładzący ją po plecach, a tam była Delia, jej najlepsza przyjaciółka. Nie było ich bardzo długo, tak czuła. I przez cały ten czas była tu sama.

– Hej, Dee Dee... – zaczęła June. Chciała ją o coś zapytać, musiała zapytać ją o coś bardzo ważnego, ale nie mogła przypomnieć sobie, co to było. – Dee Dee? – powtórzyła. Próbowała spojrzeć Delii w oczy, ale Delia unikała jej wzroku.

Rozdział 23

Nie mam pojęcia, dokąd zmierzam, wiem tylko, że muszę uciec jak najdalej stąd. Jadę szybko, z całych sił ściskając kierownicę. Co tu się do cholery dzieje?

Analizuję wszystko punkt po punkcie, próbuję ogarnąć to, co już wiem: trochę ponad rok temu Delia napisała do mnie list, którego nigdy nie wysłała. Ryan ma tajną komórkę, której używał tylko do rozmów z nią. I wysłał jej SMS-a, stojąc pod jej domem dzień przed tym, jak umarła. I nie była to wiadomość, jaką wysyła się do zwykłych koleżanek. Był u Delii, kiedy do mnie dzwoniła, krzychał coś w tle. A następnego dnia Delia już nie żyła, a w jej śmieciach leżał pozytywny test ciążowy. Mój umysł łączy kolejne kropki. Z połączenia wyłania się kształt, na którego widok chce mi się rzygać.

Moja komórka jest w uchwycie na napoje. Słyszę bzyczenie, a na ekranie pojawia się imię Ryana.

Zatrzymuję się na parkingu przy parku. Niebo jest stalowobiałe. Ojciec z synkiem prowadzą na smyczy wielkiego psa. Z nieba pada drobny śnieg, przypominający cukier puder. Całe moje ciało płonie.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Jeremiaś – mówię przez ściśnięte gardło. Mój głos jest napięty.

– June? Wszystko w porządku? – Wyobrażam sobie jego wielką, kwadratową twarz, jego blade, przekrwione oczy. Z trudem wypowiadam następne słowa.

– Czy Delia była w ciąży?

– Co? Nie, Boże drogi, z pewnością nie. Dlaczego pytasz?

– Ale skąd wiesz, że nie była? Jak możesz być tego taki pewien?

– Bo my... To znaczy... – Zniża głos. – Spaliśmy ze sobą może dwa razy i byliśmy wtedy stuprocentowo zabezpieczeni. – Milczy przez chwilę. – Zawsze uważałem, że będę z tym czekał do ślubu, czy coś takiego, i miałem pewnie

poczucie winy, tak myślę. Musiałaby mnie zdradzać... – urywa. – Ale wiem, że tego nie zrobiła. Nie mogłaby.

– Znalazłam test ciążowy – mówię – u niej w domu. – Serce bije mi jak szalone. – To znaczy w śmietniku przed jej domem. Był pozytywny.

Milczy przez bardzo, bardzo długi czas. Słyszę w słuchawce jego ciężki oddech.

Więc nie czekając, opowiadam mu o tajnym telefonie Ryana, z połączeniami do Delii.

– Zaraz, jak to, Fisker? – dziwi się Jeremiah. – Przecież on był... – Milknie na chwilę. – Nie rozumiem. Przecież on jest twoim chłopakiem, zgadza się?

Na szarym, zimnym placu zabaw mały chłopiec wdrapuje się na huśtawkę. Jego ojciec staje za nim i zaczyna go bujać.

– Był – mówię Jeremiahowi. – Ale chyba już nim nie jest...

Słyszając te słowa, wypowiedziane na głos, uświadamiam sobie w pełni, że tak właśnie jest. To skończone. Tyle czasu, tyle rozmyślania, zamartwiania się, kurczowego trzymania się. I nagle, ot tak, nie ma już czego się trzymać.

Kiedy Jeremiah odzywa się ponownie, oznajmia szeptem:

– Muszę kończyć.

I rozłącza się. Siedzę bez ruchu, gapiąc się na chłopca i jego ojca. Chłopiec śmieje się zachwycony, unosząc się w powietrzu.

Sekundę później komórka dzwoni znowu, ale tym razem jest to nieznany numer. Odbieram.

– Siema – słyszę w słuchawce dziewczęcy głos z południowym zaśpiewem.

Ashling.

– Słuchaj, zanim cokolwiek powiesz, chciałam cię przeprosić – mówi. – Przede wszystkim dlatego dzwonię. Przepraszam, że byłam... Za to, jaka byłam wcześniej. Chyba po prostu chciałam chronić Delię, czy coś takiego, co było dość głupie z mojej strony. Żadnej z nas nie jest teraz łatwo. Po prostu chciałam ci to powiedzieć. – Robi głęboki wdech. – No i powiedziałam. – Milknie na dłuższą chwilę. – Chciałam się też upewnić, czy dałaś sobie już spokój z tą

szaloną teorią, o której mówiłaś ostatnim razem... To znaczy z wytłumaczeniem, co się z nią stało.

Wiem, że nie będzie chciała tego słuchać, ale wiem też, że nie mam innego wyboru, jak jej o wszystkim powiedzieć.

– Nie dałam. Sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż myślałam. Wiem, z kim Delia zdradzała Jeremiaha...

– Ach tak... – Coś dziwnego pobrzmiwa w głosie Ashling, coś, czego nie jestem w stanie uchwycić. – Z kim?

– Z moim chłopakiem.

– O w mordę.

– I myślę... – Z trudem wyduszam z siebie kolejne słowa, ale wiem, że muszę to zrobić. – Myślę, że Delia była w ciąży. I myślę, że to on... Myślę, że to mogło być jego dziecko. Co, jeśli się o tym dowiedział? Co, jeśli ona zagroziła mu, że o wszystkim powie, a on się wściekł i...

– Okej, June, chwila, stop. Serio. To nie tak.

Milczę.

– Gdzie jesteś? – pyta Ashling.

Mówię jej.

– Czekaj tam na mnie. Mam coś dla ciebie.

List, na który właśnie patrzę, został napisany przez Delię, co do tego nie mam wątpliwości. Ale zupełnie nie dociera do mnie jego treść. Czytam raz, drugi, trzeci.

Moja najdroższa Ash,

wiesz już pewnie, co się stało. Zostało ze mnie tylko Twoje imię ¹. HA-HA! Proszę, nie bądź na mnie zła. I proszę, nie martw się.

Po prostu miałam już tego dość. Wszystkiego. Każdy z nas kiedyś umrze, prawda? Ja postanowiłam, że mój czas nadszedł właśnie teraz.

Bardzo Cię kocham.

D

– Dostałam to dziś rano pocztą – wyjaśnia Ashling. – Datowany na dzień,

w którym umarła.

– List pożegnalny – mówię.

Ashling kiwa głową.

– Nie zrobiłaby tego... Ona przecież... – Łamie mi się głos. – Ona panicznie bała się ognia.

Jednak kiedy słyszę swoje słowa, uświadamiam sobie nagle całą absurdalność mojego wcześniejszego toku rozumowania – jej lęk przed ogniem wcale nie wykluczał tego, że zdecydowała się na samospalenie. Wręcz odwrotnie, to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie.

– Słuchaj, rozumiem, że jakaś część ciebie naprawdę chce wierzyć, że Delia wcale się nie zabiła, bo dzięki temu nie musiałabyś czuć się winna, że jej nie powstrzymałaś... ale po prostu sobie odpuść, okej? To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie zamartwiaj się, że odrzuciłaś wtedy połączenie. Gdybyś wiedziała, co chce zrobić, jestem pewna, że byś odebrała. Ale to i tak nie miałyby żadnego znaczenia. I tak zrobiłaby to, co chciała. Jak to Delia...

Brak mi słów. Potrząsam tylko głową. Wiem, że wszystko mogło potoczyć się inaczej. Mój Boże, tak bardzo chciałabym, żeby potoczyło się inaczej. Ashling ściska mnie na pożegnanie.

– Trzymaj się, June – mówi. A potem odchodzi. A ja siedzę i nie mogę przestać płakać. Łzy lecą mi ciurkiem po policzkach. Wyobrażam sobie, jak wypełniają cały samochód, kropla po kropli, aż wreszcie w nich tonę.

Dopiero później, już w drodze do domu, coś sobie uświadamiam: Ashling powiedziała, że gdybym wiedziała, co się stanie, odebrałabym telefon. Ale przecież ja nigdy jej nie mówiłam o nieodebranych telefonach od Delii. A Ashling wspominała, że sama rozmawiała z nią tylko przez trzy sekundy. W takim razie... skąd Ashling o nim wiedziała?

1. Gra słów: *ash* to po angielsku „popiół”. [\[wróć\]](#)

Rozdział 24

Kiedy zajeżdżam pod swój dom, słońce jest już za horyzontem, a drzewa są jak czarne wycinanki na tle ciemnoszarego nieba. Ale ja nie widzę nic poza twarzą Delii. A jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to jej ostatnie chwile. Jak musiała się czuć, rozlewając benzynę, odpalając zapałkę.

Wysiadam z samochodu i z całej siły trzaskam drzwiami.

Słyszę za plecami krzyk.

– JUNE! Proszę, posłuchaj!

To Ryan. Czekał na mnie. Słyszę jego kroki, coraz szybsze. Serce łomocze mi w piersi. Ryan biegnie w moją stronę. Ja też zaczynam biec. Coś jest bardzo, bardzo nie w porządku.

Dopadam do drzwi z kluczami w dłoni, z trudem grzebię przy zamku zgrabiętymi z zimna palcami. Ręce mi drżą. Ryan jest jakieś sześć metrów ode mnie. Cztery. Dwa. Nareszcie udaje mi się włożyć klucz do zamka.

– JUNE!

Z hukiem zamykam za sobą drzwi, zasuwam zasuwkę.

Słyszę przez drzwi stłumione krzyki Ryana. Przykładam ucho do drewna.

Chyba słyszę „wariactwo” i coś, co brzmi jak „Jeremiah”. A potem jeszcze pięć słów, już zupełnie wyraźnie: „Myślę, że on to zrobił”.

Czuję mrowienie na całym ciele. Włączam zewnętrzne światło i zerkam przez wizjer. Twarz Ryana pokryta jest czymś gęstym i ciemnym. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to krew. Ma ją na brodzie i policzkach. Sączy mu się z nosa. Jego spojrzenie jest dzikie i desperackie.

Wyciąga telefon. Sekundę później zaczyna dzwonić mój.

– Proszę! – woła przez drzwi. Nie odbieram. Słyszę odgłos palców biegających po klawiaturze. A potem dźwięk przychodzącego SMS-a.

Proszę posłuchaj. chce cie ostrzec.

Sekundę później pojawia się kolejny...

Był u mnie Jeremiah

Ping. Ping. Ping.

powiedział że Delia była ze mna w ciąży zachowywał się jak wariat

powiedział że to przeze mnie jej dziecko nie żyje

czy Delia była w ciąży? jeśli tak i jeśli jej dziecko nie żyje to przez niego. to on ja zabił

nie mogła być ze mna w ciąży to niemożliwe

June nie kłamie. on jest nienormalny

był oszalały z zazdrości strasznie wrzeszczał

z nim jest coś nie tak

Czuję przerażenie Ryana sączące się przez drzwi. Jak szybko się to wszystko zmienia. Jak szybko to, co niewyobrażalne staje się prawdziwe.

Dlaczego miałabym ci wierzyć? – odpisuję. – Już raz mnie oklamales. Byles z nią. Wiem o tym.

Ping. Ping. Ping.

Przez chwilę tylko wpatruje się w ekran. Jego ramiona opadają ciężko.

Tak, okej, byłem u niej w domu.

Przecież już o tym wiem. A mimo to jego słowa są jak cios w brzuch.

kiedy byłem na wyjeździe

zadzwoń do mnie i powiedziała że niebawem się stąd zmywa

użyła dokładnie takich słów

ale powiedziała że gdybym wrócił wcześniej moglibysmy...

wróciłem wcześniej żeby spotkać się z nią w czasie przerwy świątecznej ale kiedy do niej przyszedłem było inaczej niż myślałem

wydawała się nacpana a w każdym razie zachowywała się bardzo dziwnie

I wtedy nagle uświadamiam sobie to, czego on nigdy nie pojmie: Delia chciała mu namieszać w głowie. Bawiła się nim. I robiła to dla mnie.

To był jej sekret. Chciała mi powiedzieć, co zrobił, ale tylko, jeśli odbiorę

telefon albo oddzwonię. Tylko, jeśli zasłużę...

Znowu zaczynam płakać, sama już nie wiem dlaczego. Z żalu nad Delią? Nad sobą? Nad nami obydwoma? Myślałam, że tak dobrze ją znam, byłam pewna, że nigdy by się nie zabiła. Ale co ja tam wiem.

Wybrałam Ryana. I wybrałam źle.

Ryan ociera twarz, rozsmarowując krew na policzku.

potem uslyszelismy ogloszenie dyrektora w szkole

myslalem ze sie zabila, ze do reszty zwariowala

ale teraz nie jestem juz tego taki pewien

A prawda jest taka, że mimo moich wszystkich podejrzeń i wątpliwości, jednej rzeczy jestem stuprocentowo pewna: Ryan by jej nie skrzywdził. Jest kłamcą, jest dupkiem, jest cholernym słabeuszem. Ale on tego nie zrobił. A ja nie chcę go tutaj więcej widzieć.

Idz sobie.

– Posłuchaj! – dobiega przez drzwi stłumiony głos Ryana. – Proszę! Naprawdę nie powinnaś zadawać się z Jeremiahem! To niebezpieczne! Wiem na pewno, że coś ukrywa!

Idz sobie

Juz

Po prostu odejdz. Nie obchodzi mnie co masz mi do powiedzenia. Odejdz bo wezwę policje

Przez dłuższą chwilę wpatruje się w drzwi, waha się, pociera twarz, bierze głęboki oddech. Wreszcie odwraca się i odchodzi. Zostaję sama ze swoimi myślami i coś do mnie dociera: przez cały ten czas próbowałam rozwiązać zagadkę. Tyle tylko, że nie tę co trzeba. Ta poważniejsza, prawdziwa zagadka brzmi: jak, do cholery, będę w stanie żyć dalej bez Delii?

Kilka minut później Ryan przesyła mi jeszcze jedną wiadomość.

Jak myslisz co mu sie stalo w reke?

Rozdział 25

1 rok, 2 miesiące i 5 dni wcześniej

June wciąż jeszcze leżała w łóżku, kiedy zobaczyła na wyświetlaczu komórki migające imię Delii. Była szesnasta trzydzieści sześć, niedziela. I gdyby to była jakakolwiek inna niedziela spośród wielu wcześniejszych, June od dawna siedziałaby już u Delii. To była ich niedzielna tradycja, od lat. Nazywały to „kościelnym ciasteczkowaniem”.

Każdej niedzieli, kiedy matka Delii i jej ojczym jechali na mszę, June przychodziła do domu Delii, a Delia piekła dla nich coś absolutnie obłądnego. Ta miłość do pieczenia słodkości była zupełnie nie w jej stylu, co oczywiście totalnie do niej pasowało. „Sprzeczność to moje drugie imię”, zwykła mawiać. Spod jej rąk wychodziły najpiękniejsze, najbardziej frywolne, wprost fantastyczne wypieki specjalnie dla June: kilkupiętrowy tort na jej wcale-nieurodziny albo wielkie czekoladowe babeczki z grubą warstwą polewy, które Delia upierała się nazywać „muffinkami z polewą”, żeby brzmiało bardziej śniadaniowo. Raz zrobiła nawet ciasto z twarzą June narysowaną lukrem. June i Delia chowały się potem w pokoju Delii i pałaszowały upieczone słodkości, a czasem po prostu wyjadały z miski surowe ciasto, jeśli ostatecznie Delii odechciewało się piec, aż obydwie czuły się rozkosznie naćpane cukrem. Potem oglądały głupie filmy, czytały albo rozmawiały, cokolwiek. Dzięki temu ich rytuałowi June czuła się niemalże jak członek jednej z tych rodzin, które rzeczywiście jadały co niedziela wspólne obiady. Była w tym jakaś szczególna wartość i pewna część June, ta, która nie miała nawet pojęcia, że zależy jej na tego rodzaju wartości, naprawdę to lubiała.

Ale ostatnie miesiące były inne. I to nie tylko dlatego, że June zaczęła

spotykać się z Ryanem, a Delia ze Sloanem. Chodziło też o to, że Delia coraz częściej w sobotę zalewała się w trupa, przez co w niedzielę miała zjazd albo była zbyt skacowana, żeby zwlec się z łóżka, a co dopiero zajmować się jakimiś zwariowanymi tęczowymi wyrobami cukierniczymi z niewiarygodnie jasnego przekładanego kremem ciasta, z warstwami w siedmiu różnych kolorach. Mimo to June nadal czasem do niej przyjeżdżała. Delia dzwoniła do niej zazwyczaj późnym popołudniem z błagalnym „przyjedź, przyjedź, przyjedź!”. A kiedy była w dobrym nastroju (co ostatnimi czasy zdarzało się dość rzadko, ale jednak się zdarzało), dodawała jeszcze: „Jesteś jedynyyną osobą na świecie, która mnie kocha i może mnie uratooować”. I June przyjeżdżała z torbą tłustych frytek i głupimi czasopismami i próbowała udawać, że wszystko jest normalnie.

Tyle tylko, że nic nie było normalnie, na tym polegał problem. Między nimi powstała dziwnie pusta przestrzeń. A to sprawiało, że June czuła jednocześnie smutek i dziwną ulgę, chociaż sama nie wiedziała dlaczego.

Ale tamtego październikowego niedzielnego popołudnia, kiedy na telefonie pojawiło się imię Delii, to June była tą skacowaną. To June nadal leżała w łóżku. To June potrzebowała ratunku. Tyle tylko, że nie była pewna, czy istnieje na świecie ktokolwiek, kto mógłby ją uratować. Wiedziała tylko, że z pewnością nie jest to Delia, już nie. Nie po tym, co zaszło poprzedniej nocy.

Tamtego ranka June obudziła się w łóżku Ryana. On leżał obok na podłodze.

– Posłuchaj... – zaczął mówić, kiedy tylko otworzyła oczy. Czy ją obserwował? Czekał, aż się obudzi? Jego słowa zlewały się w bełkot: – Mam nadzieję, że wiesz, że nic... To znaczy, byliśmy naprawdę pijani i normalnie nigdy bym... – starał się z najwyższym wysiłkiem sformułować pełne zdanie, a jej głowa tak bardzo pulsowała z bólu, że z trudem rozumiała nawet pojedyncze słowa. – Wczorajszy wieczór był...

June marzyła tylko, żeby przestał gadać. Nie była gotowa na powrót myślami do tego, co się wydarzyło, a co nie. Jej pamięć pracowała jeszcze na zwolnionych obrotach, wspomnienia wracały do niej w urywkach.

– Wczorajszy wieczór to było wariactwo – dokończyła za niego June. W tym

momencie zupełnie nie miała ochoty ciągnąć tematu. Czuła już narastającą w swoim wnętrzu panikę. Ryan zaproponował, żeby jeszcze została, obiecał przygotować śniadanie. Ale June powiedziała, że musi iść do domu.

– Mama będzie się o mnie martwiła – stwierdziła. Oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

I June wyszła. A kiedy jechała w stronę domu, bardzo powoli, żeby nie porzygać się w samochodzie, jej myśli zaczęły wgryzać się w mózg. Były to bardzo nieprzyjemne myśli na temat jej najlepszej przyjaciółki i jej chłopaka. *Co, do kurwy nędzy?*

June nigdy wcześniej nie czuła się zazdrosna z powodu Delii – ani razu, choćby przez sekundę. Wiedziała, że bywają przyjaciółki, które ze sobą rywalizują, ale zawsze uważała te przyjaźnie za nie do końca czyste, w jakimś sensie nie tak *prawdziwe* jak jej relacja z Delią. Bo tak naprawdę, kiedy Delia była superdowcipna, urocza, kiedy tak błyszczała i ludzie to zauważali, June po prostu czuła *dumą*. A kiedy ktoś pragnął Delii – a wielu jej pragnęło, ona zaś *bardzo* ochoczo z tego korzystała – June myślała tylko, że świadczy to o czyimś dobrym guście. Jedyna sytuacja związana z Delią, w której June mogłaby poczuć zazdrość, polegałaby na tym, że *Delia* pokochałaby kogoś mocniej niż ją, a to było po prostu niemożliwe.

A w każdym razie tak jej się wydawało do tej pory – nie, więcej, *była tego pewna*.

Ale siedząc teraz w samochodzie, poczuła w środku coś gorącego, nieprzyjemnego, coś zupełnie nowego – uczucie zazdrości. I nie tylko zazdrości. Była *wściekła* na to, jak zachowała się Delia, jak błyszczała w towarzystwie Ryana. Oczywiście, że robiła to specjalnie. Delia była zbyt inteligentna, żeby cokolwiek pozostawiać przypadkowi.

Ryan powinien być kompletnie nie do dotknięcia. W końcu był jej, June, prawda? Do tej pory nie myślała o nim w ten sposób, ale teraz nie była w stanie myśleć inaczej. Nienawidziła siebie za to, ale... Nie, chrzanić to, to było... Czy naprawdę było coś złego w tym, że tak się czuła? W końcu *większość* dziewczyn

jest zazdrosnych o swoich chłopaków, czyż nie? Może to normalne? A nawet jeśli nie, nie miała pojęcia, co zrobić, żeby poczuć inaczej.

June zatrzymała się w drodze do domu, żeby kupić sobie opiekanego bajgla z serem i mnóstwem pikantnych dodatków, bo to samo jadła Delia, kiedy miała kaca. Ale June ledwo wcisnęła w siebie ćwiartkę, a już musiała pędzić do toalety. A potem wróciła do domu i walnęła się do łóżka, cała pulsująca z nadmiaru adrenaliny. Czowała, że umiera, a w każdym razie miała wielką ochotę umrzeć. *To tylko kac* – powtarzała sobie. Ale nie była w stanie przekonać samej siebie do zbagatelizowania tego, co było przecież o wiele gorsze.

Wreszcie, zwinięta w kłębek pod kołdrą, uwolniła swoje myśli i zaczęła analizować wydarzenia poprzedniego wieczoru, a przynajmniej te, które pamiętała. Pamiętała, że była bardzo zestresowana, pamiętała, że stwierdziła w pewnym momencie „pieprzyć to”, mimo że zawsze była taka ostrożna, tak „niepieprząca” *czegokolwiek*. Pamiętała pierwszego szota. I drugiego. I trzeciego, i kolejne. To, co się wydarzyło potem, zlewało jej się w jedną całość, z której wyłapywała tylko poszczególne urywki – jakaś bardzo głupia gra, Delia i Ryan, zetknięci ustami, podłoga w łazience Ryana, chrupki serowe, woda, twarz Delii, Delia unikająca jej spojrzenia.

Ale był jeszcze jeden moment, który uderzył ją nawet bardziej niż ich pocałunek. Delia uczyła ją, jak pić. „Musisz jakby otworzyć tył przetyku, wtedy wszystko wleci ci gładko. Kiedy już się tego nauczysz, będziesz połykać bez problemu – i wtedy, June pamiętała ten moment z zaskakującą jasnością, Delia uśmiechnęła się figlarnie do Ryana. – Ja opanowałam tę sztukę do perfekcji”, powiedziała. Czy to możliwe, że do niego mrugnęła? Tak, mrugnęła.

Jaka była reakcja Ryana? Roześmiał się? Odwzajemnił uśmiech? June próbowała to sobie zwizualizować, ale bezskutecznie. Jedyne, co pamiętała wyraźnie, to świetlista twarz Delii i jej oczy, błyszczące, jak zawsze, kiedy była cała podekscytowana i patrzyła na coś, co chciała mieć tylko dla siebie.

Ta jedna scena bez końca przewijała się jej w głowie. June nie wiedziała, jak przerwać ten zapętłony film.

Leżała w łóżku. Sięgnęła po książkę, ale nie była w stanie czytać. Włączyła muzykę, ale od hałasu bolała ją głowa, więc po prostu leżała i próbowała nie myśleć absolutnie o niczym.

Właśnie na tym się skupiała, kiedy znowu rozdzwoniła się jej komórka. I to właśnie wtedy po raz pierwszy w ciągu całej ich przyjaźni June nie sięgnęła po telefon, widząc na ekranie imię Delii.

June powtarzała sobie, że zadzwoni do niej później, że po prostu źle się czuje i tyle. Ale tak naprawdę w głębi serca wiedziała, że zachodzi w niej jakaś wielka zmiana, a właściwie już się dokonała, i że – co było może jeszcze ważniejsze – Delia też już o tym wiedziała. Bo czasem czuła się tak, jakby Delia siedziała jej w głowie. I June nie wyobrażała sobie sytuacji, w której coś działałoby się w jej umyśle, a Delia natychmiast by się tego nie domyśliła. Ale może to też była ta zmiana. Być może nie miała już obowiązku dzielenia się z Delią każdą najmniejszą cząsteczką siebie samej... Wraz z tą myślą June poczuła, jak jakiś ciężar, olbrzymi ciężar, który od tak dawna ją przygniatał, delikatnie się unosi. Telefon dzwonił i dzwonił, a June wpatrywała się w niego, aż wreszcie dźwięk się urwał, a ekran pociemniał. I nagle, tak po prostu, była wolna.

Rozdział 26

Płaczę tak długo, aż zasypiam. Budzę się z opuchniętymi oczami i wlokę się do szkoły.

Nie ma już żadnych tajemnic, żadnych tropów do odkrywania, nie pozostaje mi już nic poza tęsknotą.

Pierwszy SMS od Jeremiaha przychodzi na godzinie wychowawczej, tuż przed szkolnymi ogłoszeniami. Właśnie skończyłam opowiadać o wszystkim Kriście, która teraz gapi się na mnie okrągłymi, szeroko otwartymi oczami. Zerkam na telefon.

– Kto to? – pyta Krista. – Ryan? Jeremiah?

Sorry ze spralem twojego chłopaka. Zrobilem to dla Delii.

– Co jest, co pisze? – Krista aż wychyla się ze swojej ławki, żeby dojrzeć tekst.

Wolałabym, żeby się tak nie ekscytowała. Jestem zbyt zmęczona, żeby z nią walczyć, więc po prostu pokazuję jej ekran.

– Zaraz, nie powiesz chyba, że nadal... – zaczyna.

Kręcę głową. Odpisuję: *nie jest już moim chłopakiem*

Czuję ucisk w piersi. Zaraz potem napominam samą siebie. Przecież Ryan, którego kochałam, tak naprawdę nie istnieje. Nie znałam go, nie znałam jego prawdziwej twarzy. Ale to marne pocieszenie.

Po chwili dostaję kolejną wiadomość: *to dobrze.*

Jak u Ciebie? W porządku? Możesz się spotkać po szkole? – piszę.

Muszę się z nim spotkać, opowiedzieć mu o tym, co pokazała mi Ashling. Powinien wiedzieć, ma do tego prawo.

– Ten koleś jest naprawdę dziwny. – Krista nadal się gapi. Po jej twarzy błąka się delikatny uśmiech. – Jak myślisz, czy istnieje jakiegokolwiek

prawdopodobieństwo, że Ryan ma rację? Że on rzeczywiście coś zrobił?

– Nie – mówię. – Przecież mówiłam ci, co się wydarzyło.

Krista wzrusza ramionami.

– No dobrze, ale przez chwilę założmy, że jednak to zrobił, dobra? Myślisz, że stało się tak dlatego, że jest szurnięty i był w tamtym momencie niepoczytalny, więc nawet nie wie, że to zrobił? Może dlatego prosi cię o pomoc? Może ma rozdwojenie jaźni. Albo może był totalnie naćpany. Albo zadziałał mechanizm wyparcia... Sama już nie wiem. Próbuję przypomnieć sobie, jak to jest zazwyczaj w filmach...

Niedobrze mi się robi od jej ekscytacji. Odwracam się do niej plecami i wpatruję się w swój telefon.

Pojawiają się kolejne ogłoszenia, jedno po drugim. Czekam na odpowiedź od Jeremiaha, ale nic nie przychodzi. Zastanawiam się, czy Jeremiah wie, jak bardzo byłam wobec niego nieufna. Obezwładnia mnie poczucie winy, chociaż czy nie miałam wystarczających powodów, żeby go podejrzewać?

Czuję, jak pytania Kristy wnikają do wnętrza mojej czaszki i rozprzestrzeniają się jak jakiś grzyb. Tak bardzo starałam się poskładać wszystko w całość, że teraz mój rozkręcony mózg nie potrafi się już zatrzymać. *Dlaczego* Jeremiah miałby szukać mordercy Delii, gdyby to on ją zabił? Cóż, może chodziło o coś innego. Może przez ten cały czas szukał odpowiedzi na inne pytanie – nie kto ją zabił, ale z kim go zdradzała. I wykorzystał mnie, żebym mu w tym pomogła.

Potrząsam głową. To tylko mój umysł chce, żebym dalej to roztrząsała. To mój umysł boi się nadchodzącej żałoby. Jeremiah nic nie zrobił. Chociaż przecież Ryan powiedział...

To jakiś absurd. Dlaczego miałabym wierzyć Ryanowi? Już nigdy, przenigdy nie powinnam go posłuchać.

Kiedy wychodzę z sali, pojawia się wreszcie odpowiedź od Jeremiaha.

nie moge

Przez cały dzień mój mózg szaleje. Jeremiah. Ryan. Jeremiah. Ashling. Nie wiem już, komu ufać. Może żadnemu z nich nie ufam. Nie ufam nawet samej

sobie.

Podczas przerwy obiadowej dostaję SMS-a od Ryana. Przez ułamek sekundy moje ciało reaguje jak zwykle – czuję przyjemną lekkość, iskierkę radości. Chwilę później wszystko znika.

Nie byłem dzisiaj w szkole myślałaś o tym co ci napisałem??? widziałas się z Jeremiahem? dzwoniemy na policje?

To niedorzeczne, że jego zdaniem możemy nadal pisać „my” i podejmować wspólnie jakiegokolwiek decyzje. Ale z drugiej strony jeszcze kilka dni temu tak właśnie było.

Nie – odpisuję. – Zdecydowanie nie.

Na ostatniej przerwie dostrzegam Jeremiaha na końcu korytarza. Obserwuję go, poruszającego się wolno, kompletnie samego. Ból rozprzestrzenia się wokół niego niczym smród. Czuję go nawet stąd. I wtedy nagle, tak po prostu, wszystkie moje wątpliwości się ulatniają.

Wołam za nim, ale się nie odwraca. Chwilę później znika w sali.

Wysyłam mu SMS-a: *musimy porozmawiac*

Żadnej odpowiedzi.

Pięć minut przed dzwonkiem wymykam się z klasy. Idę na parking. Pamiętam, jak wygląda jego samochód – duże zielone kombi z naklejką University of Massachusetts. Odszukuję je, staję obok i czekam. Słyszę dzwonek, a kilka sekund później gwar setek uczniów wychodzących ze szkoły.

Odwracam się i zaglądam przez szybę do wnętrza samochodu. Widzę tubkę Bacitracinu na przednim siedzeniu, butelkę Advilu, bandażę, gazę. Przypominam sobie słowa Ryana. *Jak myślisz co mu sie stało w reke?*

Próbuję wyobrazić sobie jego ręce. Na pewno widziałam je w którymś momencie. Ale może jedna zawsze była schowana, w rękawiczce, w kieszeni, za plecami... To jakieś szaleństwo. Wiem przecież, co się stało z Delią, mam już odpowiedź. Koniec z tym głupim śledztwem, koniec węszenia, miotania się, odrzucania prawdy. Czas się z tym pogodzić.

Zamykam oczy, otwieram je, a kiedy podnoszę wzrok, widzę Jeremiaha.

Zmierza ociężale w stronę swojego samochodu, z lewą ręką w kieszeni kurtki.

Czuję nieprzyjemne mrowienie w brzuchu.

Wiem, że to absurdalne, doskonale wiem, a jednak robię krok w tył, żeby mnie nie zauważył. Przemykam między samochodami, aż docieram do własnego, trzy rzędy dalej. Wsiadam do środka i obserwuję Jeremiaha przez szybę. Wokół roi się od ludzi, ale jego twarz jest zupełnie bez wyrazu, jakby lunatykował albo poruszał się w transie.

Kiedy odpala samochód, ja też uruchamiam swój. A kiedy wyjeżdża z parkingu, ruszam za nim.

Jedzie Oak Avenue i dalej w kierunku Two Bridge Place. Kilukrotnie zerka w tylne lusterko, ale chyba mnie nie zauważa...

Parkuje przed apteką, wysiada, wchodzi do środka. Parkuję kilka miejsc dalej. Zastanawiam się, czy powinnam zatrzymać się jeszcze dalej, na wypadek gdyby wychodząc, zauważył mój samochód, ale wtedy właśnie podjeżdża wielka biała furgonetka i staje między nami. Idealnie.

Wchodzę za nim, prosto do apteki. Jest praktycznie pusto. Zatrzymuję się przy półce z dezodorantami. Słyszę, jak rozmawia z farmaceutką, kobietą o siwych włosach i gładkiej, młodej twarzy.

– Potwornie boli – słyszę jego głos. – Wydawało mi się, że powinno już przejść. Ale nie przeszło i nie mam pojęcia, co zrobić.

– Miałeś pęcherze na skórze?

– Tak.

– Pokaż, niech się przyjrzę.

Przez chwilę w aptece panuje cisza, którą przerywa nagle cichy okrzyk.

– Och! Naprawdę musisz iść z tym do lekarza – mówi farmaceutka. – Kiedy to się stało?

– Kilka dni temu – odpowiada Jeremiah. Jest odwrócony plecami. Zakradam się bliżej. I wtedy widzę ją. Widzę rękę Jeremiaha. Skóra jest czerwona i mokra jak surowe mięso, miejscami pokryta pęcherzami nabrzmiętymi ropą.

Przykładam palce do ust, czuję skręt w żołądku. *Przecież to jest oparzenie.*

– Jak to się stało? – pyta aptekarka.

Jeremiah milczy przez krótką chwilę.

– To był wypadek – stwierdza.

Serce łomocze mi tak mocno, że z trudem oddycham.

Aptekarka kręci głową.

– Rana jest zdecydowanie zbyt poważna, żeby samemu się tym zajmować.

– Dobrze, rozumiem, ale czy może mi pani polecić coś doraźnie, przed wizytą u lekarza?

Kobieta prowadzi go do półki z produktami pierwszej pomocy. Odwracam się plecami, kiedy się zbliżają.

Zatrzymują się dosłownie kilka metrów ode mnie. Szybko ruszam do wyjścia, a kolejne myśli pojawiające się w mojej głowie wskazują na swoje miejsca jak kawałki układanki:

Jeremiah miał napady zazdrości, kiedy ktoś dzwonił do Delii.

Jeremiah odebrał telefon Delii.

Jeremiah „znalazł” telefon Delii i chciał go odblokować.

Jeremiah o mały włos nie pobił tamtego gościa na imprezie.

Jeremiah pobił Ryana.

Jeremiah ukrywał się w lesie, obserwując pozostałych.

Delia zginęła w pożarze.

A Jeremiah ma poparzoną rękę.

To mnie przerasta. To dla mnie stanowczo za dużo. Nie mogę oddychać. Serce wali mi szybko i mocno. Jestem na zewnątrz, w połowie drogi do samochodu, kiedy dzwoni moja komórka. Odrzucam połączenie. Dzwoni znowu. Zerkam na ekran. Ashling.

Słyszę kroki. Jeremiah przechodzi tuż koło mnie. *Cholera.* Zatrzymuje się na chwilę i po prostu stoi, jakby coś rozważał. Jest pomiędzy mną a moim samochodem. Zauważył mnie?

Odwracam się na pięcie i rzucam pędem przed siebie. Biegnę na drugą stronę

budynku, do śmietnika. Opieram się o ścianę, dysząc ciężko. Znowu dzwoni telefon. Znowu Ashling. Odbieram.

– Gdzie jesteś? – pyta. – Szukałam cię w szkole. Chciałam się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Posłuchaj – mówię – Jeremiah... ma poparzoną rękę...

Odpowiedź Ashling zagłusza odgłos zatrzymującego się za mną samochodu.

– Halo? Ashling? – mówię. Nie odpowiada. – Słyszysz mnie?

Robię krok do tyłu i nagle czuję, jak czyjeś silne ramiona obejmują mnie w pasie. Próbuję się odwrócić, ale ktoś nakłada mi coś na głowę i robi się kompletnie ciemno.

Zaczynam wrzeszczeć.

Czuję gorące uderzenie adrenaliny. Sięgam ręką w kierunku twarzy – tkanina pod moimi palcami jest tak gruba, że ledwo czuję dotyk swoich palców. Ktoś unieruchamia mi ręce za plecami, związuje nadgarstki. Nie przestaję wrzeszczeć, ale mój krzyk niknie pod grubym materiałem zakrywającym mi usta i nos.

Czuję, jak ktoś mnie podnosi. Kopię i wierzgam. Moja stopa natrafia na coś twardego, a kolano zanurza się w czymś miękkim. Słyszę syknięcie bólu, ale żadnych słów. Ktoś kładzie mnie twarzą w dół na jakiejś zimnej, płaskiej powierzchni. Może to podłoga furgonetki. Ktoś łapie mnie za kostki, ściska mocno, związuje. Nadal wrzeszczę, mimo zdartego gardła. Od wysiłku z oczu płyną mi łzy. Kurwa mać, co się dzieje?

Worek na mojej głowie unosi się częściowo i czuję na policzku czyjś ciepły oddech. A potem rozlega się głos, tak cichy, że ledwo jestem go w stanie dosłyszeć przez łomot własnego serca:

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, co się stało z Delią, nie próbuj uciekać.

Rozdział 27

Ruszamy gwałtownie. Łomot muzyki elektronicznej zagłusza mój wrzask. Czuję zimny metal na plecach, w miejscu, gdzie kurtka i bluzka podjechały mi do góry. Przez gruby materiał na głowie nie widzę nic poza migoczącym światłem.

– JEREMIAH? – krzyczę. Czy to może... – RYAN? TIG?

Wyginam ramiona na wszystkie strony, kopię, szarpię nadgarstkami i kostkami, żeby wyplątać się z więzów, ale są zaciśnięte zbyt mocno.

Ktokolwiek zamordował Delię, właśnie wiezie mnie gdzieś, gdzie i mnie chce zamordować.

Wraz z tą myślą moje serce eksploduje, ale nadludzkim wysiłkiem zmuszam własne ciało do zachowania spokoju. Powoli biorę jeden głęboki oddech, potem drugi. Nie czas na szarpaninę. Muszę być cicho, skulić się w sobie. Zachować całą energię na potem. Prędzej czy później furgonetka zatrzyma się gdzieś, a oni do mnie wrócą. Muszę być wtedy gotowa. Ktokolwiek jej to zrobił, nie poddam się bez zaciętej walki.

.....
Kilka minut później furgonetka staje. Podczas hamowania zarzuca mnie do przodu, potem do tyłu. Muzyka urywa się. Słyszę ciche głosy. A potem trzaśnięcie drzwi samochodowych z dwóch stron.

Teraz otwierają się tylne drzwi. To coś, co przykrywało moją twarz, unosi się do góry. Czuję podmuch zimnego powietrza i w świetle popołudniowego słońca, mrugając raz za razem, przyglądam się dwóm zamaskowanym postaciom. Obie są wysokie, ubrane na czarno. Rozglądam się wokół, notując w głowie wszystkie szczegóły: jesteśmy na skraju jakiegoś niewielkiego lasu. Nie mam pojęcia gdzie. Możemy być absolutnie wszędzie.

Biorą mnie pod ramiona i prowadzą dokąds naprzód. Zaciskam szczękę, zgrzytając zębami. Czekam na dogodny moment. Jest ich dwóch, wiem, że nie

dam sobie rady z dwoma. Ale za to mogę im uciec. Jestem cholernie szybka.

Biorę wdech. Suche liście szeleszczą pod moimi stopami. Nie zadaję żadnych pytań, bo i po co. Czuję napięcie w mięśniach nóg. Jestem gotowa. Gotowa do startu, a wtedy...

...moim oczom ukazuje się Delia. Stoi naprzeciwko mnie.

Moje serce zamiera, zaczyna bić, po chwili znowu zamiera. Delia patrzy prosto na mnie. Jej oczy błyszczą.

– O mój Boże – szepczę. Czuję zalewającą mnie falę radości, ulgi i najczystsze, lodowatego lęku. Nie mam pojęcia, co tu się dzieje.

– Cześć, J. – szepcze Delia łagodnie.

Wiatr owiewa moją twarz, czuję, jakbym leciała w kosmosie, pikowała w kierunku ziemi.

– O mój Boże – powtarzam. Czy ja oszalałam? Czy zobaczyłam ducha? A może to sen? Moje oczy napełniają się łzami, które po chwili spływają mi po policzkach.

Przez chwilę Delia po prostu na mnie patrzy. A potem wyciąga do mnie ramiona, a ja w nie wpadam, zatapiam się w jej uścisku. Trzęsę się na całym ciele. Delia przytula mnie mocniej. Czuję, jak moje serce otwiera się na oścież.

– Zawsze wyciągasz błędne wnioski – mruczy mi do ucha Delia.

Z moich ust wydobywa się jakiś bulgoczący dźwięk. Sama już nie wiem, czy właśnie śmieję się, czy płaczę.

– Hej – mówi cichutko. – *Ćśśś*, Junie, już wszystko dobrze. – Jej głos brzmi tak jak kiedyś, znowu słyszę głos mojej najlepszej przyjaciółki.

Zamykam oczy. Ale po sekundzie Delia wypuszcza mnie z objęć. Odsuwa się i patrzy w inną stronę. Słońce chyli się ku zachodowi. Za chwilę zrobi się zbyt ciemno, żebym ją mogła dostrzec.

– No więc widzisz już chyba, że nikt mnie nie zamordował – mówi teraz zupełnie innym tonem. – Możesz wracać do swojego życia.

Swojego życia. Mam wrażenie, że wszystko poza tą jedną chwilą jest moim wymysłem. Że tylko ten moment jest prawdziwy.

– Ale co z tobą?

Spoglądam na dwie zamaskowane postaci, które nadal nas obserwują. Chcę ją spytać, czy wszystko w porządku, ale są zbyt blisko, usłyszą nas.

Ale nagle wiem już, co zrobić. Przykładam mały palec do ust i przejeżdżam koniuszkiem po dolnej wardze. To był przez całe lata nasz tajny znak, znak, którego używałyśmy na imprezach, kiedy jedna z nas gadała zbyt długo z jakimś przypadkowym kolesiem. *Czy mam cię ratować?* Czuję iskierkę porozumienia, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Też to pamięta.

Ale nie odpowiada według ustalonego kodu, nie drapie się w ucho ani nie przygryza wargi. Zamiast tego stwierdza:

– Nie, nie musisz. – A potem dodaje: – Ktoś inny już to zrobił.

Jej odpowiedź wcale mnie nie uspokaja. Czasem ludzie, którzy najbardziej potrzebują ratunku, nie wiedzą nawet, że potrzebują pomocy.

Potrząsa głową, jakby czytała w moich myślach. Potem bierze mnie za rękę.

– Naprawdę, Junie, wracaj do domu – mówi – i zapomnij o mnie.

Sama sugestia, że mogłabym to zrobić, jest kompletnie niedorzeczna. Choć może nie do końca, skoro przez pewien czas rzeczywiście bardzo starałam się zapomnieć.

– Co się dzieje? Muszę mieć pewność, że wszystko z tobą w porządku. – Nagle czuję się tak, jakby cofnął się czas, jakby miniony rok w ogóle się nie wydarzył.

Delia przekrzywia głowę, a wyraz jej twarzy zmienia się, staje się bardziej surowy.

– Jakoś przez wiele miesięcy się tym nie interesowałam. Dlaczego nagle tak bardzo się o mnie troszczysz?

– To nieprawda. Byłam... – Ale tak naprawdę nie mam dobrej odpowiedzi. – Tak strasznie mi przykro.

Podnoszę na nią wzrok. Przez dłuższą chwilę patrzymy sobie w oczy. Czuję, że wszystko rozumie. Tak jak zawsze rozumiała. Zapomniałam już, jak to jest czuć taką silną więź.

– Nie wiem, w jakie kłopoty się wpakowałaś, ale chcę ci pomóc. Pozwól mi, proszę.

– Jesteś pewna? – Wyraźnie stara się ukryć nadzieję dosłyszalną jednak w jej głosie. – Kiedy już wszystkiego się dowiesz, kiedy już wszystko zrozumiesz, nie będziesz w stanie o tym zapomnieć i... – wpatruje się we mnie intensywnie – nie będzie już odwrotu...

– Jestem pewna – mówię.

Usta Delii rozciągają się w pięknym, promiennym uśmiechu. Zwraca się do dwójki stojącej za nią.

– Ona idzie z nami – stwierdza. – Możecie już zdjąć maski.

Pierwszy z moich porywaczy, ten niższy, zdejmuje maskę. Patrzę na twarz – regularne rysy, ogromne oczy, fryzura pixie. Jest piękna.

– Ashling?

– Cześć, dziewczyno – mówi.

– Zaraz – mówię – ty...

Wiedziałaś o wszystkim od początku, kłamałaś, pomogłaś jej, nadal jesteś jej najlepszą przyjaciółką...

Ashling bierze powolny wdech.

– Oczywiście – zapewnia. Potem obejmuje ramieniem Delię, przyciąga ją blisko do siebie i całuje w usta. To nie jest przyjacielski pocałunek. Zanim jednak to do mnie dociera, czuję czyjąś dłoń na ramieniu.

Odwracam się. Słońce już prawie zaszło, ale nadal jestem w stanie dostrzec rysy twarzy drugiego z moich porywaczy, ciemne brwi, mocny nos, szerokie usta. Jest mniej więcej w moim wieku, może parę lat starszy.

– Przepraszam za tanto – mówi niskim, łagodnym głosem. – Namawiałem Ash, żebyśmy po prostu zaprosili cię do furgonetki, ale ona się uparła.

Patrzę w stronę Ashling, która wzrusza ramionami. Zwracam się z powrotem do chłopaka.

– Nie... – Nie wiem, co powiedzieć. Gapię się tylko na niego. Powietrze jest lodowate, ale moje ciało jest rozgrzane. – Nie ma sprawy.

Pochyla się w moją stronę – przez ułamek sekundy odnoszę wrażenie, że chce mnie pocałować, ale zamiast tego szepcze mi do ucha, tak cicho, że tylko ja mogę go usłyszeć:

– Jesteś pewna, że wiesz, w co się pakujesz?

Bacznie mnie obserwuje. Serce wali mi mocno, niesamowicie mocno.

– Wiem, że już nigdy więcej jej nie opuszczę, choćby nie wiem co. – Po raz pierwszy od bardzo dawna coś jest dla mnie tak oczywiste. – To wystarczy.

Robi krok wstecz. Nie widzę już jego twarzy.

– Cóż, w takim razie ruszajmy – mówi.

Rusza w stronę furgonetki. Ashling i Delia już tam na nas czekają. Waham się przez ułamek sekundy, potem jednak odwracam się i idę w ich kierunku.

Rozdział 28

Delia

Ogień to głodna, żarłoczna bestia, pochłaniająca wszystko na swojej drodze. W jakiś sposób dostał się do mojego wnętrza i dusi mnie od środka. Przez większość czasu oddycham z największym trudem.

Nie pamiętam już, kiedy ostatnio nie czułam w środku tego wibrującego gorąca i nudności. Ani Ashling, ani pozostali nie są w stanie go ugasić. Ale teraz ten palący ogień w moim brzuchu gaśnie. Jeśli otworzę usta, wreszcie nie buchną z nich płomienie. Ona tu jest, ona tu jest, ona tu jest. Z jednej strony jestem zaskoczona, ale z drugiej chyba od początku wiedziałam, że tak będzie. W głębi duszy musiałam wiedzieć. W końcu wiem, co zrobiłam.

Czułam się wspaniale, zapalając wtedy tamtą zapałkę. Tamta impreza, spotkanie z nimi, obmyślenie całego planu – to wszystko było zajebiste. Ale to jest zupełnie co innego.

Mam ochotę śmiać się, kręcić w kółko do upadłego, a potem wstać i zrobić to samo od nowa. Czuję się jak nowo narodzona, jestem rześka i szczęśliwa. Wiem, że to tylko część tego, co się teraz dzieje: jedna z wielu warstw. Nie mogę zachowywać się jak dziecko, bo to ja jestem tutaj dorosła, więc muszę udawać spokojną i zachować nieruchomy wyraz twarzy. Czuję na sobie wzrok Ashling, która zastanawia się, co sobie teraz myślę. Robię więc to, co zazwyczaj pomaga, kiedy czuję, że za głęboko wpełza mi do głowy, i muszę ją powstrzymać – odwracam się do niej i całuję ją w usta. Jej wargi są miękkie, a ona sama pachnie cudownie. Ta dziewczyna zawsze dobrze pachnie. Nawet z nieumytymi zębami, nawet wtedy, kiedy nie myłyśmy się przez dwa dni, kiedy alkohol parował z niej wszystkimi porami. Próbuje wsunąć mi język do ust, ale nie mam na to ochoty.

W każdym razie nie teraz.

Odwracam się, żeby zobaczyć, co robi June, upewnić się, że nadal chce z nami iść. Waha się, czuję to. Nikt inny by tego nie zauważył, ale ja ją znam, dlatego wiem, co to znaczy.

Na sekundę zamykam oczy, z ogniem w żołądku. Całe moje ciało wibruje. Nie zniosę tego.

Boże, do kurwy nędzy, proszę cię, niech pójdzie z nami, niech pójdzie ze mną. Po tym wszystkim, co się wydarzyło. Proszę.

Otwieram oczy. Idzie teraz w naszą stronę, w stronę furgonetki. A moje serce zaczyna bić wolniej, przyspiesza i z powrotem zwalnia. Ogień wygasa, wypuszczając wąskie strużki szarego dymu.

Zaczęło się.

Rozdział 29

June

To naprawdę dziwne, jak szybko wszystko się zmienia, a jednocześnie jak łatwo jest wrócić do tego, co było kiedyś, i mieć wrażenie, że tak było zawsze. Czuję się tak, jakbym była tu od zawsze, ściśnięta tuż obok Delii na przednim siedzeniu furgonetki. Jakbym od zawsze była wystraszona i zdezorientowana, a jednocześnie obłądnie, niewymownie szczęśliwa. To wszystko wygląda na totalne szaleństwo, ale jeśli ktokolwiek miałby zrobić w swoim życiu coś takiego, z pewnością byłaby to Delia. Jej nie dotyczą żadne zasady, normy społeczne i prawa nauki.

– Musimy jeszcze zatrzymać się po drodze w jednej sprawie – mówi, zwróciwszy się w moją stronę. Czuję ciepło jej dłoni na moim ramieniu. – Okej, Junie?

„Gdzie się zatrzymać? Po drodze dokąd?” – mam ochotę zapytać, ale zamiast tego tylko kiwam głową, bo tak naprawdę nie ma to znaczenia. Poszłabym za nią dokądkolwiek. Wiem, że niedługo moja głowa zapełni się nieskończoną liczbą innych pytań. Ale na razie jedyne, co czuję, to musujące szczęście, poczucie, że ktoś trzyma mnie mocno, blisko i zapełnia moją wewnętrzną pustkę.

Nie ujeżdżamy daleko, kiedy uświadamiam sobie, że wiem, gdzie jesteśmy. Opuszczone, industrialne budynki, płaskie, puste przestrzenie. Jesteśmy w Macktin, nad wodą. Jedziemy do Tiga.

Zatrzymujemy się na skraju parkingu. Chłopak wysiada bez słowa. Zostajemy we trzy. Delia odwraca się do mnie.

– Przedstawiłabym ci moją dziewczynę, ale coś mi się zdaje, że już się znacie – mówi lekkim tonem, jakbyśmy po prostu wpadły na siebie w jakiś zupełnie

zwykły dzień.

– Taaak... – zaczynam.

Moja dziewczyna. Delia nigdy nie miała dziewczyny, a w każdym razie nie wtedy, kiedy się przyjaźniłyśmy. I nigdy nie interesowała się żadnymi innymi dziewczynami poza mną, nawet w sensie przyjacielskim. Zastanawiam się, kiedy to się zmieniło i czy od początku wiedziała to o sobie. Albo może to w tej konkretnej dziewczynie było coś wyjątkowego.

Delia obserwuje mnie z uśmiechem, jakby wiedziała, o czym teraz myślę.

– Nie bądź na nią zła, okej? Nie byliśmy pewne, czy możemy ci ufać. Musiałyśmy mieć pewność, że będziesz w stanie... dotrzymać tajemnicy. I innych tajemnic.

Czuję ucisk w żołądku. *My.*

– Rozumiem – mówię. Mimo że, oczywiście, nie rozumiem absolutnie nic. Ale nagle coś sobie uświadamiam. Zwracam się do Ashling: – Kiedy mówiłaś, że Jeremiah jest idiotą, bo nie ma pojęcia, że Delia z kimś go zdradza...

Nie kończę zdania. Nie muszę. Tym kimś była ona sama.

Ashling patrzy na mnie i przekrzywia głowę.

– Powiedz, co myślisz o mojej grze aktorskiej? Tylko szczerze. Byłam wiarygodna? Przerysowana?

– Naprawdę dobrze wychodzi ci płakanie – mówię.

Ashling szczerzy zęby w zadowoleniu.

– To moja specjalność.

A potem zapada między nami cisza. Niezręczna. Biorę oddech.

– Jak się w ogóle poznałyście? – zagaduję. Normalne pytanie w tak nienormalnej sytuacji brzmi niemal absurdalnie.

– Na imprezie – odpowiada Delia. Ashling wskazuje na budynek Tiga.

– Na jednej z jego imprez. Wiem, że ty pewnie nie bawiłaś się tam najlepiej, ale przysięgam ci, zazwyczaj jest u niego zajebiście.

W mojej głowie pojawia się obraz – mieszkanie Tiga, wysoka dziewczyna z krótkimi ciemnymi włosami, machająca do mnie, jakby mnie znała.

– To byłaś ty – mówię powoli. A potem nagle przypominam sobie jeszcze jedno: kiedy wypytywałam ludzi tamtej nocy nad jeziorem, jedyną osobą, która zaczęła mi odpowiadać, była jakaś dziewczyna z południowym akcentem... – I wtedy, na stypie...

– Tak jest. – Kiwa głową Ashling. – Musiałam się upewnić, że wszystko idzie zgodnie z planem, że nikomu nie będą przychodzić do głowy jakieś... – zawiesza głos – niedobre pomysły.

– Czy Tig wie? – pytam, mając przed oczami jego nieprzytomne, otepiałe spojrzenie, jego buzującą energię.

Delia kręci głową.

– Nie, w życiu. Temu człowiekowi nie można ufać za grosz.

– A mimo to pieprzyłaś się z nim – mówi Ashling. Próbuje obrócić to w żart, ale w jej głosie słychać zazdrość.

– Tak, musiałam być wystarczająco blisko, żeby dostać to, czego potrzebowałam – mówi Delia. Widać, że nie po raz pierwszy odbywają tę rozmowę. Zerkam na Delię. Czego od niego potrzebowała? Czegoś, co sprzedaje? Czy to coś, co mu ukradła? Tylko co właściwie mu ukradła?

Ashling zbliża się do Delii i całuje ją ponownie. Widzę, jak jej język wsuwa się między wargi Delii. Nie jestem w stanie oderwać wzroku. Nie dlatego, że Ashling jest dziewczyną, nie to jest w tym wszystkim niezwykle. Niezwykłe jest to, że Ashling zdaje się kochać Delię prawdziwie i szczerze. Widać to po tym, jak podtrzymuje głowę Delii, jak uśmiecha się podczas pocałunku. Miłość aż z niej emanuje. Ale Delia... Nie jestem pewna, czy odwzajemnia to uczucie.

Drzwi się otwierają. Dziewczyny odrywają się od siebie.

Chłopak wsiada z powrotem do samochodu z brązową papierową torbą w rękę. Bez słowa rzuca ją na kolana Delii.

– Do domu? – pyta Ashling.

– Do domu – odpowiada Delia. I Ashling rusza.

Dom, który wyrasta przed nami, jest niewielki i nowoczesny, a z jego dużych

okien sączy się ciepłe pomarańczowe światło. Za budynkiem rozciąga się płaska przestrzeń i szare niebo. Ashling wyłącza silnik.

Kiedy wysiadam, czuję, że trzęsą mi się nogi. Wchodzimy do środka.

Jest tu naprawdę pięknie – wszystko jest nowe i czyste, jakby wycięte z czasopisma wnętrzarskiego. Już od drzwi widzę wielką przestrzeń salonu połączonego z kuchnią. Ściany z jasnego drewna, wielka kanapa w kształcie litery „L”. Jedną ścianę stanowią praktycznie same okna, z widokiem na trawę, drzewa i rzekę.

Zastanawiam się, czyj to właściwie dom.

Wszyscy są teraz w ruchu, jak zespół, w którym każdy zna swoją funkcję i swoje miejsce. Jak rodzina. Chłopak chowa nasze kurtki do szafy. Delia podchodzi do kredensu i wyciąga kubki.

– Ev! – woła Ashling w stronę drugiego pomieszczenia. – Jesteśmy!

Chwilę później zjawia się chłopak.

– Ona tu jest! – mówi. Krzyżuje ręce na piersi i taksuje mnie wzrokiem od góry do dołu. Robię to samo. Jest niewysoki – kilka centymetrów niższy ode mnie. Ma ciemne włosy, ubrany jest w czarne dżinsy i jaskrawoczerwoną koszulkę z nadrukowanymi czarnymi zerami i jedynkami. System binarny. Ma krótkie ramiona i duże dłonie, jak niewyrośnięty szczeniak. Na jednym z nadgarstków nosi skórzaną bransoletkę.

– Jestem Evan – mówi. Wyciąga do mnie dłoń w nieco niezgrabny, ale uroczy sposób. Jego uścisk jest stanowczy i ciepły. – Wiem już o tobie wszystko.

Zastanawiam się, co właściwie o mnie wie. Ale chyba głównie dobre rzeczy, bo kiedy nasze spojrzenia się spotykają, jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

Stoimy przez dłuższą chwilę. Nikt nic nie mówi. Zdaję sobie sprawę, że to z mojego powodu. O czym by rozmawiali, gdyby mnie tu nie było? Co by robili? Skąd Delia ich zna? Czy pomogli jej w tym czymś, co zrobiła? Mam milion pytań, ale kiedy spoglądam na Delię, stojącą trochę z boku, na jej twarz, jej uśmiech, czuję, że wystarczy mi na razie za odpowiedź samo to, że ona jest

na tej planecie.

Podchodzi do mnie i bierze mnie za rękę.

– Mamy chyba sporo do nadrobienia – mówi. Kiedy wyprowadza mnie z pokoju, czuję na sobie spojrzenia wszystkich, tego wysokiego chłopaka, Evana, a przede wszystkim Ashling.

Jesteśmy teraz w sypialni, całej w białym drewnie, z olbrzymim, niskim łóżkiem przykrytym wymiętą pościelą w ciepłym kolorze brzoskwini. Cały pokój pachnie Delią, ale też kimś jeszcze. Zapewne Ashling. Po jednej stronie łóżka stoją dwie szklanki wody, a po drugiej puszka dietetycznej coli. Na komodzie leżą dzinsy i stanik, a koło drzwi stoi para szarych tramppek.

Podnoszę wzrok. Delia patrzy na mnie.

– Oto jestem – mówi w końcu. – Całkiem nieźle, jak na trupa, co? – Uśmiecha się.

Próbuję odwzajemnić uśmiech. To wszystko wydaje mi się tak kruche, moja obecność tutaj, to, że zostałam dopuszczona do tajemnicy. Nie chcę tego zepsuć, ale głowa znowu zaczyna mi buzować od nadmiaru pytań.

Delia mnie obserwuje.

– Dalej, pytaj – mówi. – Teraz możesz.

Wpatruję się w nią. Moje usta rozchylają się. Pada z nich tylko jedno słowo:

– Dlaczego?

Delia kiwa głową, a potem bierze głęboki oddech.

– Nie mogłam już dalej tak żyć – odpowiada po prostu.

– Czyli jak? – Czuję wstyd, że nie wiem. Gdybym była przy niej przez ten cały czas, już bym o wszystkim wiedziała.

– Mój ojczym – wyrzuca z siebie. Czuję ucisk w żołądku. Zawsze, kiedy o nim mówiła, nazywała go inaczej: William, Willy, gnój, kutas. – On... nie był zbyt dobry dla mojej mamy. Pamiętasz zresztą, jak to z nim było. A potem zrobiło się jeszcze gorzej. Pojawiły się siniaki. – Delia zaciska zęby. – Słyszałam w nocy różne rzeczy. Nienawidziłam go za to, co jej robił, nienawidziłam jej

za to, że mu na to pozwala. – Potrząsa głową. – Moja matka jest w ciąży.

Podnoszę rękę do ust. Przypominam sobie te noce spędzane u Delii, odgłosy awantur. Przypominam sobie prostokąt z dwoma różowymi kreskami.

– Myślałam, że to twoje – mówię.

– Co moje? – pyta cicho Delia, wyraźnie zdezorientowana.

I wtedy mówię jej o wszystkim. Nie mogę się teraz wycofać. Zresztą nie wiedziałabym nawet, jak to zrobić.

– Ja... zakradłam się do twojego domu. Szukałam odpowiedzi. Znalazłam test w śmietniku. Myślałam, że to ty jesteś w ciąży.

Uśmiecha się leciutko.

– Czy ktoś cię tam widział?

Kręcę głową.

– To dobrze – mówi. – Kocham cię za to, że to dla mnie zrobiłaś. – Po chwili opuszcza wzrok. – Ale prawda nie jest ukryta w tamtym domu, między nimi. Nigdy nie była. – Milknie na chwilę. – Chciałabym potraktować ciążę mojej matki jako usprawiedliwienie. Że wiesz, hormony namieszały jej w głowie, nie była w stanie myśleć normalnie i to przez nie mi nie uwierzyła. Wydaje mi się, że tak jednak nie było.

– Że w co nie uwierzyła?

Uśmiecha się krzywo.

– Pamiętasz, jak milion lat temu mówiłam czasem, że chciałabym, żeby mój ojczym mnie zgwałcił, bo wtedy matka wreszcie by go zostawiła? – Uśmiech znika z jej twarzy. – Widzisz, okazuje się, że jednak nieco przeceniałam moją matkę.

Czuję pulsowanie wewnątrz oczu. Robi mi się potwornie niedobrze.

– O mój Boże.

Delia zamyka powieki, a z jej ust pospiesznie wypływają słowa:

– Przyszedł do mojego pokoju przed Bożym Narodzeniem, żeby „porozmawiać”. Myślałam, że chce mnie ochrzanić za to, że tak późno wracam do domu i że moja matka się o mnie zamartwia. – Serce podchodzi mi do gardła.

Czuję, jakbym była teraz poza swoim ciałem. – Usiadł na moim łóżku. Przysunął się tak blisko, że czułam jego zapach i jego obrzydliwy oddech, jakby wypił całą whisky świata, wyrzygał ją i wypił znowu. Był tak blisko, że widziałam wszystkie pory na jego nosie, wszystkie małe włoski. Zaczął opowiadać o tym, jak mu przykro, że nigdy tak naprawdę nie udało nam się do siebie zbliżyć, ale że teraz, kiedy pojawi się dziecko, nareszcie będziemy prawdziwą rodziną. Najgorsze jest to, że na początku naprawdę... – Delia zaciska szczęki. – Na początku naprawdę myślałam, że jest dla mnie miły. Mimo że robiło mi się niedobrze od jego oddechu i nie chciałam, żeby siedział na moim łóżku, pomyślałam, że może naprawdę po raz pierwszy w życiu przyszedł po to, żeby się jakoś dogadać, naprawić relacje między nami. Sama nie wiem. Ale potem pojawiło się to dziwne uczucie w żołądku, jakby zaraz miało wydarzyć się coś złego. No i okazało się, że miałam rację...

– *Nie* – słyszę wydobywający się z moich ust szept, maleńki obłoczek, który nic nie robi, nic nie znaczy. Czuję się tak bezużyteczna jak ten obłoczek. Tak samo nie jak on nie mogę pomóc Delii.

– Zanim spostrzegłam, co się dzieje, już na mnie leżał. Był taki ciężki. Próbowałam go odepchnąć, ale nie byłam w stanie. Brakowało mi powietrza. Czułam jego fiuta, J. – Bierze głęboki oddech. Uspokaja się. – Czułam go przez jego spodnie, przyciskał go do mojej nogi. Oddychał ciężko, prosto w moją twarz i coś szeptał. – Mówiąc to, Delia zamyka oczy, zaciska mocno pięści. – Był taki ciężki. Zaczął rozpinać koszulę i zadarł do góry moją koszulę nocną. Powtarzał ciągle „chcę tylko dotknąć twojej skóry, tylko tyle, tylko tyle”. A ja starałam się go za wszelką cenę odepchnąć, tego tłustego gnoja... – Jej twarz jest czerwona. Chwytam ją za rękę. Ścisną ją mocno, bardzo mocno.

– Ale wyrwałam mu się. *Wgryzłam się* w jego tors. Ciągłe jeszcze czuję ten smak, słony jak mięso. I to uczucie, jakbym wgryzała się w coś skórzanego. – Potrząsa głową. – Junie, on jęknął, kiedy go ugryzłam. Jęknął, jakby mu się to podobało. Ale ja nie puszczałam, zaciskałam szczęki jak pitbul. *Gryzłam, dopóki nie poczułam w ustach smaku krwi.* – Delia patrzy teraz prosto na mnie,

jej oczy lśnią. – I wtedy zaczął się wycofywać. Wstał i odsunął się chwiejnym krokiem, spojrzał na mnie, a potem, nie zapomnę tego do końca życia, potem *uśmiechnął się*, jakby to był jakiś cholerny *flirt*, jakby uważał, że jest czarujący. „Lubisz się ostro zabawić? Ja też. Następnym razem”. Tak powiedział, „następnym razem”. A potem wyszedł z pokoju.

Stoję tak, pozbawiona umiejętności formułowania zdań. Dosłownie odebrało mi mowę. W moim brzuchu kotłuje się coś gorącego, bulgoczącego, jakby miało zaraz wykipieć.

– Z początku czułam się tak, jakby to nie wydarzyło się naprawdę. Byłam odrętwiała, nic nie czułam, ale kiedy popatrzyłam na swoje ręce, zobaczyłam, jak się trzęsą.

– Gdzie była wtedy twoja mama? – pytam wreszcie szeptem.

– Spała. Od kiedy zaszła w ciążę, śpi praktycznie cały czas. Nie chciałam jej budzić, zresztą i tak nie sądziłam, że mi uwierzy. Nie wiem. Zupełnie nie wiedziałam, co robić... Więc po prostu wstałam i wyszłam. Przez całą noc jeździłam po okolicy. Spałam w samochodzie.

– D., nie... – Tak bardzo chciałabym cofnąć się w czasie, wyciągnąć ją z tego samochodu, zabrać ze sobą w jakieś bezpieczne miejsce, mieć ją przy sobie. Pójść do jej domu i zatłuc na śmierć tego gnoja Williama.

– Wróciłam nad ranem... Nie miałam pojęcia, co powiedzieć ani co zrobić. Myślałam o tym, żeby uciec od nich na zawsze, ale nie miałam pieniędzy ani pomysłu, jak je zdobyć. Pomyślałam, że najlepiej będzie porozmawiać z mamą, dlatego wróciłam. Wchodzę i wyobraż sobie, że w całym domu pachnie omletami. Bo, patrzcie państwo, człowiek rzeczywiście każdego dnia dowiaduje się czegoś nowego. A tamtego dnia dowiedziałam się, że ten pieprzony niedoszły gwałciciel jest, kurwa, mistrzem w ubijaniu jajek. – Delia spogląda na mnie i kręci głową. – Moja matka siedziała przy stole, taaaka dumna, jakby wygrała w totka, bo jej mąż dupek, który generalnie, odkąd zamieszkaliśmy razem, ani razu nie zrobił nam śniadania, postanowił wrzucić parę jajek na patelnię. Wchodzę do domu, a ona siedzi z wyszczerzonymi w uśmiechu

zębami. „Patrz, skarbie, William robi śniadanie, czy to nie fajnie?” Nigdy nie słyszałam czegoś równie żalnego. Jakby to była najfantastyczniejsza rzecz, jaka jej się przydarzyła w całym jej pieprzonym życiu. „Przecież uwielbiasz omlety”, dodaje z nadzieją w głosie. Jakbym była jakimś dzieciakiem, któremu trzeba przypominać, co lubi. Jakbyśmy mieli usiąść zaraz do rodzinnego śniadanka. Początkowo miałam zamiar wejść i od razu powiedzieć jej, co jej główniany mąż chciał ze mną zrobić, ale kiedy ją tam zobaczyłam, siedzącą przy stole, po prostu nie byłam w stanie zebrać się w sobie. Pomyślałam sobie, że trudno, poczekam, aż zje, dam jej ten moment, niech przez chwilę myśli sobie, że wszystko jest super, zanim powiem jej, że absolutnie nic nie jest super. – Delia podnosi na mnie wzrok. – To dziwne uczucie, kiedy zaraz masz powiedzieć komuś coś, co zmieni wszystko. Cholernie źle jest człowiekowi ze świadomością posiadanej władzy. Czułam na sobie spojrzenie Williama. Nie odzywał się ani słowem, ale czułam jego wzrok, jakby mnie nim macał, przypominałam sobie, jak czułam przez spodnie jego twardego fiuta, i zrobiło mi się niedobrze. Nie wiem, jakim cudem moja mama przesiedziała całe śniadanie niczego nieświadoma, zupełnie jakby to był dzień jak każdy inny. – Bierze głęboki wdech. Nie mam pojęcia, jak to ogarnąć umysłem, jak ktokolwiek byłby w stanie to ogarnąć. Delia spuszcza wzrok. Milczy przez dłuższy czas, a kiedy znowu podnosi głowę, widzę łzy w jej oczach. – Po śniadaniu William poszedł na górę. Pomyślałam, że jest strasznym idiotą, skoro zostawia mnie sam na sam z matką. Usiadłam z nią przy stole i opowiedziałam jej o wszystkim, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Kiedy skończyłam, przez moment byłam pewna, że mi uwierzyła. Wydawało mi się, że widzę to w jej oczach. Że mi wierzy. I może z początku rzeczywiście tak było. W końcu jest moją matką... – Głos jej się załamuje, łzy zaczynają płynąć. – Powinna mi wierzyć, prawda? Ale albo mi nie uwierzyła, albo nie chciała dopuścić do siebie myśli, że mówię prawdę. Po chwili wyraz jej twarzy się zmienił. Wyglądała początkowo na zdezorientowaną, potem jakby była zła, a zaraz znowu zdezorientowana. „Delio, dlaczego *kłaaamiesz?*” – Delia

przeciąga ostatnie słowo, mówiąc chropowatym, piskliwym głosem. – Powiedziała, że William wyjawiał jej całą prawdę. Powiedział jej, że byłam naćpana i że zachowywałam się jak wariatka, a on próbował mnie powstrzymać przed wyjściem z domu, żebym nie siadła za kierownicę. Powiedziała, że nie mogę się tak więcej zachowywać, bo inaczej poważnie zastanowią się nad *odesłaniem mnie*. Dokładnie tak powiedziała, jakby mieli wysłać mnie na obóz dyscyplinujący dla nieletnich przestępców. – Delia powoli kręci głową. – Po rozmowie poszłam na górę. William czekał na korytarzu. *Uśmiechnął się* i stwierdził, że słyszał, jak zmyślam jakieś historyjki. I ostrzegł, żebym tego więcej nie robiła, bo inaczej spotka mnie coś nieprzyjemnego. A po chwili milczenia dorzucił: „Chociaż w sumie może ci się spodoba”. I wtedy wiedziałam. Wiedziałam, że muszę stamtąd uciec.

Gapię się na nią, chłonąc to, co przed chwilą usłyszałam. Jestem jakby w gęstej mgle, może w szoku. Nie wiem, co powiedzieć, nie wiem, co czuć, nie wiem nic. Przyciągam ją do siebie, a ona obejmuje mnie mocno. Czuję ciepło jej ciała przez cienką koszulkę. Delia opiera policzek na moim ramieniu.

– O mój Boże – mówię. – Tak mi... Ja... Chciałabym... – urywam. Mam ochotę powiedzieć jej, że żałuję, że tamtej nocy nie zadzwoniła do mnie, zamiast jeździć samotnie po ciemku. Mam ochotę powiedzieć jej, że przyjechałabym do niej, zabrałabym ją stamtąd. Ale w tym momencie nie ma to najmniejszego znaczenia. Wspominanie o tym byłoby wręcz egoistyczne z mojej strony.

Tyle tylko, że kiedy odsuwamy się od siebie, a nasze oczy się spotykają, uświadamiam sobie, że Delia znowu czyta mi w myślach.

– Myślałam o tym, czy do ciebie nie zadzwonić – mówi. – To była pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Ale potem zawahałam się, czy... – urywa. Nie musi nawet kończyć zdania. Niedopowiedziane słowa są jak cios prosto w brzuch.

– Przepraszam cię, tak strasznie cię przepraszam – mówię. Jestem beznadziejna. Jestem niczym. – Byłaś z tym na policji?

Delia kręci głową.

– A dowody? Jak myślisz, komu by uwierzyli? Powszechnie szanowanemu chirurgowi czy jego popapranej pasierbicy? Potem ostrzegł, że jeśli komukolwiek o tym powiem, doprowadzi do tego, że aresztują mnie za narkotyki. Wiem, że mógłby to załatwić. Zna wszystkich w tym mieście.

– Naprawdę nie było nikogo, kto mógłby ci pomóc? Twój znajomi, Jeremiah albo... – desperacko próbuję zmienić bieg przeszłości, którego nie da się już zmienić. Nie miała nikogo. Choć przecież mogła mieć mnie.

Delia znowu kręci głową.

– Jeremiah był słodki i beznadziejnie głupi. A moi znajomi... Widziałaś przecież, co to za ludzie. Uważali mnie za niezłą imprezowniczkę i tyle. Podobało im się, że potrafię dużo wypić, że jestem zabawną wariatką. Tak naprawdę nic ich nie obchodziłam. – Patrzy na mnie. – Tak naprawdę jesteś jedyną osobą, której kiedykolwiek na mnie zależało.

Czuję taki wstyd, taki straszny wstyd. Przez to, co zrobiłam. Przez to, że ją zostawiłam.

– A oni? – pytam, wskazując ruchem głowy pokój obok, skąd dobiegają ciche głosy.

– No tak, teraz oni też.

– Czy oni wiedzą?

– Oczywiście. To dzięki nim tutaj jestem.

– Pomogli ci to zrobić...

– Tak, wszystko zorganizowali.

– I robili to już wcześniej?

Delia nie odpowiada. Wzrusza ramionami, jednocześnie uśmiechając się leciutko. A ja wiem, co to oznacza: tak, robili to już wcześniej.

Zamykam oczy. Tak bardzo pragnę powiedzieć jej, jak strasznie jest mi przykro, jak bardzo jestem zdruzgotana i że nie mogę uwierzyć, że wszystko to działo się w czasie, kiedy ja, nieświadoma niczego, siedziałam w domu Ryana i patrzyłam, jak on zajada się drogimi burritos. Tak bardzo pragnę powiedzieć jej, że nigdy nie wybaczę sobie tego, że nie pojawiłam się, kiedy mnie

potrzebowała. Ale wszystkie te słowa zbijają się w wielki supeł w moim gardle. Zamiast tego mówię tylko:

– Nie mogę uwierzyć, że to wszystko ujdzie mu na sucho.

– O to nie musisz się martwić – odpowiada Delia, a jej twarz przybiera dobrze mi znany wyraz, na którego widok coś w środku ciągnie mnie do góry. Ciemne, przerażone zakamarki mojego wnętrza wypełniają się światłem. Miliony razy widziałam, jak Delia robiła tę minę w momentach, kiedy życie było szare i bezbarwne. Ta mina oznaczała, że Delia ma plan. – Uwierz mi, nie ujdzie mu to na sucho.

Rozdział 30

Delia

Na ekranie Dastorio dotarł właśnie do zamku i ma zamiar zaczarować księżniczkę lizakiem z LSD. Ten film jest dokładnie tak durny, jak wynika to z opisu, a jednak odkąd umarłam, oglądam go dwa razy dziennie. Nie wiem dlaczego. Mamy laptopy, mamy internet. Ale jakoś dziwnie jest łączyć się teraz ze światem zewnętrznym, istniejącym poza tym, który stworzyłam sama. A może po prostu nie chcę tego robić. I nikt mnie do tego nie zmusi.

Zresztą w tej chwili i tak nie nadążam za fabułą. Skrawki informacji fruujących po tym pokoju uderzają mnie z różnych stron – zapachy, obrazy, dźwięki: migoczące światło wielkiego telewizora, świst wiatru smagającego drzewa za oknem, trzask gałęzi, zapach ciał, ktoś ciepły i dobrze znajomy, kogo nie było z nami wcześniej, ale teraz jest.

Siedzimy wszyscy w rzędzie na kanapie. Ashling koniuszkami palców muska wnętrze mojego przedramienia. Gramy w grę z naszego dzieciństwa, tę, w której zamykasz oczy i próbujesz zatrzymać drugą osobę w takim momencie, kiedy jest jak najbliżej twojego łokcia.

– Stop – szepczę, kiedy czuję jej palce dokładnie w tym miejscu, w którym skóra jest najcieńsza. Przyciska je do moich żył, płynącej w nich krwi, wbija paznokcie. A potem, jak zwykle, wcale nie przestaje. I to też jest część tej gry.

Pamiętam wszystkie te gry, pozbawione celu, związane tylko z desperackim pragnieniem fizycznego kontaktu z drugim człowiekiem. Pożądaniem, którego nawet nie jesteśmy wtedy świadomi. Nikt cię jeszcze nie pieprzył, nie wiesz, jak to smakuje, po prostu chcesz, żeby ktoś, ktokolwiek, cię dotknął. Prośenie o to, czego się potrzebuje, jest tak trudne. Ujawnianie własnych potrzeb jest tak

cholernie krępujące. Ale z Ashling to wszystko jest takie proste. Ona ofiarowuje mi siebie, daje, daje, daje, a ja biorę, biorę, biorę. Ona daje w nieskończoność, a ja mogę chłonąć bez końca. Gdybym chciała ogryzać ją, kawałek po kawałku, przeżuwać i połykać, pozwoliłaby mi na to. Czasami, kiedy jesteśmy w łóżku i gładzę jej skórę, przepełnia mnie to gwałtowne, niezrozumiałe uczucie. Coś jak złość, ale nie do końca, bardziej głód niż pożądanie. Mam ochotę zostawić na niej ślad, zatopić zęby w jej miękkiej, idealnej skórze i ją zniszczyć. Raz prawie to zrobiłam, z boku, na wysokości talii. Zdołałam się powstrzymać, zanim ugryzłam ją do krwi, ale ostatkiem sił.

A jej się to podobało. Chce, żebym była jak dzikie zwierzę, żebym ją rozszarpywała. Nie wie nawet, z jaką łatwością by mi to przyszło. Po tym wszystkim próbowała zatrzymać mnie przy sobie, owinęła mnie tymi swoimi chudymi ramionami i przyciągnęła do piersi. Chyba myślała, że to przez to, co zrobił mój ojczym. Ale ja wiem, że jest w błędzie.

Teraz, na kanapie, udaję, że jestem pochłonięta oglądaniem filmu. Zerkam w stronę Ashling, a ona uśmiecha się do mnie tym rozanielonym, rozmarzonym wzrokiem. Czuję na nas spojrzenie June. Zastanawiam się, czy ma pojęcie, jak niewiele znaczy dla mnie ta oszałamiająca istota, która siedzi tuż obok mnie? Jak niewiele znaczy cała reszta?

Evan zwraca się do June, wskazując na ekran:

– Widziałaś jakiegokolwiek inne filmy tego reżysera?

June kręci głową.

– Są naprawdę dobre – stwierdza. – Mogą ci się spodobać.

Słyszę pragnienie w jego głosie. June zaczyna mu się podobać. To słodkie i żalodne jednocześnie. Czuję ukłucie zazdrości, ale to tylko głupi odruch.

Odchylam się, sadowię się wygodniej, patrzę tępo przed siebie, pozwalam, żeby czas płynął powoli. Film prawie się skończył.

June nie czuje się komfortowo – jej dyskomfort draży moje ciało. Zastanawia się, co teraz będzie, co się będzie działo potem, kim są ci ludzie. Mnóstwo pytań fruwa w jej słodkiej główce. Muszę oddalić jej niepokój. Muszę sprawić, żeby

nabrała przekonania, że wszystko jest w porządku. Sama muszę być tego pewna, dla niej, mimo że jestem przerażona.

To, co wygląda na niezniszczalne, jest tak naprawdę wykonane z najcieńszego szkła. To, co wydaje się trwałe, może w każdym momencie trzasnąć, runąć, obrócić się w pył. Ciężko żyje się z tą świadomością, ale to prawda. Lepiej jest okłamywać samą siebie, ale ja nie potrafię. Wiem, jak łatwo można coś utracić i jak trudno jest to odzyskać. Musisz zaciskać szczęki mocno, aż poczujesz ból prawie nie do zniesienia, chrząścić piaskiem między zaciśniętymi zębami, z płomieniami w ustach. Czekasz, aż piasek się roztopi, wypluwasz szkło. Budujesz wszystko od nowa.

Delia, oddychaj, do kurwy nędzy.

Muszę pamiętać, że to ja mam władzę. Muszę przestać się bać. Niedługo będę musiała ją o coś poprosić. To będzie następny krok. Ale nie mogę powiedzieć o tym teraz, jeszcze nie.

Film dobiega końca. Sebastian wstaje i idzie po pudełko ciasteczek, jak zawsze. Każdego dnia zjada całe opakowanie ciastek, wciskając je sobie do gardła, żeby zapełnić ziejącą pustkę, którą ma w sobie, jak my wszyscy. Nieustanny głód. Czego tak naprawdę chce? Karmi się cukrem, ale zamiast tyć, cały czas tylko rośnie, coraz wyżej w stronę nieba, mimo że już teraz jest wysoki jak jakiś cholerny wieżowiec i ma już osiemnaście lat, w każdym razie tak wynika z informacji w dowodzie. Ale dowód osobisty każdego z nich zawiera rozmaite dane, z których żadne nie są prawdziwe. Niedługo ja też będę miała swój dowód. Tymczasem nie mam nic. Jestem nikim. Podoba mi się to.

Evan kruszy liście mięty, miesza je z miodem i robi każdemu z nas kubek słodkiej herbaty. Mam ogromną ochotę na drinka, na ostry smak tequili na języku, spływający dalej palącym strumieniem. Ale nie będę pić. Nie teraz, nie przy niej. Napijemy się później we dwie z Ashling, kiedy będziemy same w naszym pokoju. Trzyma tam butelkę dobrego ginu. Wlewa mi go prosto do gardła, po jednej lufce. Nie lubię drogich alkoholi. Są zbyt łagodne. Wolę, kiedy trochę boli. „Następnym razem kup jakąś gównianą flaszkę”,

powiedziała jej. A ona wyglądała na urażoną. Pomyślałaby kto, że zapłaciła za ten gin.

Tak naprawdę gwizdnęła go zza baru w jakimś pubie, do którego weszliśmy kiedyś, żeby skorzystać z łazienki. Ashling kradnie różne rzeczy. Takie, które chce mieć, i takie, których nie chce. Jedwabny szalik przywiązany do torebki jakiejś kobiety, wyciągnięta ze środka szminka, którą wyrzuciła bez oglądania. Telefony komórkowe, kolczyki. To jest jej głód – pragnie wszystkiego, co tak naprawdę do niej nie należy. Może właśnie dlatego tak bardzo mnie lubi.

Na razie dzieją się same przyjemne, niewinne rzeczy. Wiem, że June się to podoba. Ale jej spojrzenie jest rozbiegane, rozgląda się wokół jak zawsze, kiedy jest zdenerwowana, szuka oznak zagrożenia, nawet jeśli sama nie jest tego świadoma. Przez większość czasu jest tak przerażona, że chyba nie wie już nawet, jak to jest nie czuć strachu. Seb przygląda się jej. Ona nie ma o tym zielonego pojęcia, co jest dość śmieszne. June dostrzega wszystko tymi swoimi wielkimi, okrągłymi oczami królika. Wszystko, poza jednym: jest kompletnie nieświadoma tego, jak często jest obserwowana przez innych. Wydaje jej się, że jest niewidzialna, że wymyka się radarom, ale to nieprawda, nigdy tak nie było. Zauważał ją każdy, którego uwaga była cokolwiek warta. A June nigdy by tego nie dostrzegła, gdyby przy niej nie było kogoś, kto by jej to uświadomił. Gdyby nie było mnie. Ashling z Evanem rozmawiają o filmie. Ich głosy dudnią donośnie w mojej głowie, w moim sercu. Muszę zamknąć oczy, spowolnić to, co się dzieje w moim ciele, zablokować to, co na zewnątrz, żeby w ogóle ich usłyszeć.

June trzyma w obu dłoniach kubek, uspokaja się. Obserwuje ich z uśmiechem. Evan z całych sił stara się jej zaimponować, opowiada o tym, jak bardzo lubi pozostałe adaptacje filmowe tego reżysera, ich symbolikę i wykorzystanie kolorów. Ashling nabija się z tego, że mówi „adaptacje filmowe”, a nie „ekranizacje”, a Evan udaje poirytowanego.

– Ekranizacje to anachronizm. Wiesz chociaż, skąd się wzięło to określenie? Ekranizacje to absolutnie wierne pod względem treści i formy przeniesienie

na ekran filmowy widowiska scenicznego, inaczej niż adaptacje, które zakładają twórcze przystosowanie utworu do utrwalenia w postaci filmowej.

– Ach, anachronizm? Co ty powiesz, Evie? Naprawdę? – Ashling szturcha go w bok. A on wywraca oczami, jakby gadała głupoty. Ale ja wiem, że Evan uwielbia, kiedy Ashling się z nim droczy, uwielbia, kiedy jakakolwiek dziewczyna się z nim droczy. Każde z nas pragnie czegoś innego. W przypadku Evana tym czymś jest skupienie na sobie uwagi każdej przedstawicielki płci przeciwnej, a w szczególności Ashling. Bo prawda jest taka, że dziesięć miesięcy temu, zanim jeszcze ich poznałam, Ashling przespaa się z Evanem, tak z sympatii. Mimo że jest zadeklarowaną lesbijką. Ale cóż, spała z o wiele gorszymi facetami z o wiele gorszych powodów. Evan był prawiczkim, w głębokiej depresji, staczającym się w otchłań bez dna. Wtedy był też totalnym kujonem, zarówno z charakteru (i nadal nim jest), jak i z wyglądu (co się zmieniło). Zrobiła to w ramach przysługi, bo było jej go strasznie żal i uznała, że takie jednorazowe bzykanko mogłoby mu pomóc. Pomogło.

Teraz Evan powtarza, że Ashling jest dla niego niczym starsza siostra, co zakrawa na perwersję, jeśli się weźmie pod uwagę, że nadal chętnie by ją przeleciał. Ale on mówi tak tylko po to, żeby nie dać po sobie poznać, że jest w niej szaleńczo zakochany, mimo że wszyscy doskonale o tym wiemy.

June obserwuje ich, uśmiecha się, ostrożnie włączając się do rozmowy, jak mały króliczek wychylający się spod kanapy.

– No weź, J. – zwraca się do niej Evan. – Po czyjej jesteś stronie, co?

A June zerka to na niego, to na Ashling.

– Wybacz, kolego – mówi – ale w tej kwestii trzymam stronę pięknej damy.

June uśmiecha się szeroko. Odwzajemniam uśmiech. Wiem, że mówi w taki sposób tylko w mojej obecności. Seb obserwuje wszystko w milczeniu, jak zwykle. Ale tym razem nie ma tego obojętnego wyrazu twarzy. Jego wzrok z zainteresowaniem ślizga się po jej skórze. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby patrzył na kogoś w taki sposób. Widziałam, jak naprawdę boskie, oszałamiająco piękne egzemplarze rodzaju ludzkiego, obydwu płci, w każdym

rozmiarze, wręcz rzucają się na niego, gdziekolwiek się pojawi, a on jest totalnie niewzruszony, ma na to totalnie wywalone. Nigdy się z nikim nie pieprzy. Nigdy się nie uśmiecha. Teraz też się nie uśmiecha. Ale po raz pierwszy widzę, jak patrzy na kogoś w taki sposób.

Aha, myślę sobie, coś tu jest na rzeczy...

A June jak zwykle nic nie zauważa. Zawsze tak było, nic nie kumała, dopóki ja nie zwróciłam jej na to uwagi. Tak naprawdę to ja pierwsza pokazałam jej Ryana, który obserwował nas, kiedy szłyśmy razem, żeby spotkać się z jakimś kolesiem, którego imienia już nie pamiętam, który miał odebrać nas ze szkoły i zabrać cholera wie gdzie. Ryan gapił się na nas, na nią, śledził każdy jej ruch. Wyciągnęłam wtedy rękę i klepnęłam ją w tyłek. „A to za co?“, spytała. Wskazałam głową w kierunku, gdzie Ryan stał, ciągle się gapiąc, z szeroko otwartymi ustami. „Zrobiłam tylko to, co on chciałby zrobić“, odpowiedziałam. Myślałam, że to będzie po prostu nasz wspólny żarcik. Niemożliwe, żeby się jej podobał. Był nikim. Mięśny manekin, człekokształtna rzeźba z wołowiny. Ale nagle usłyszałam, jak bierze głośny wdech, który szczerze mówiąc, cholernie mnie zaskoczył. „Coś ty, masz na myśli Ryana Fiskego?“, spytała, rumieniąc się leciutko. Potem przez długi czas myślałam o tej chwili, bo na tamtym etapie naszej przyjaźni wydawało mi się, że wiem już o niej wszystko i nie może niczym mnie zaskoczyć. A jednak ludzie mają to do siebie, że zawsze mogą nas zaskoczyć, bez względu na to, kim są. A wszystko, co wydarzyło się później między nami, również było dla mnie szokiem.

Kiedy myślę o nim teraz – o jego zadowolonej, kartoflanej gębie, przystojnej w taki totalnie mdły sposób, mimo że w ogóle nie zasługuje na to, żeby być przystojnym – o tym, co zrobiłam, z bardzo złych pobudek, o tym, że prawie nas zniszczył, moje dłonie mimowolnie zaciskają się w pięści. Tak jakby moje ręce były niczym torby ze ściąganyymi uszami, które ktoś właśnie zaciska, tak mocno, że paznokcie wbijają mi się we wnętrze dłoni i czuję ból. Nie mogę przestać. Wiem, co muszę teraz zrobić, jak to naprawić, co musi się stać.

– Ej, Junie? – mówię. Podnosi wzrok, uśmiecha się. – Chodź ze mną

do kuchni.

Wstaje pospiesznie. Jak łatwo jest znowu wcielić się w dawne role, ja i ona przeciwko całemu światu. Czuję na sobie wzrok Ashling. Jest zazdrosna, ale stara się to ukryć.

– Znowu jakieś sekretne pogaduszki? – mówi, starając się, żeby brzmiało to swobodnie i żartobliwie. Czuję wzrok Seba na June, czuję go tak, jakby jej skóra była moją skórą. I po raz pierwszy, chyba po raz pierwszy w życiu, nie zdradzam się z tym, że to zauważyłam.

Rozdział 31

June

– Przykro mi, że okazał się takim dupkiem – zwraca się do mnie Delia, kiedy jesteśmy już w kuchni. A kiedy zauważa moją zdezorientowaną minę, wybucha tym swoim gromkim śmiechem, który zawsze sprawiał, że czułam się niewymownie dumna z tego, co zrobiłam, nawet jeśli tym, co zrobiłam, było stanie w bezruchu i kompletne niezrozumienie sytuacji.

– Rozumiem, że zdążyłaś już zapomnieć? – mówi. – Biedny Ochłapek.

I w tym momencie wiem już, że ma na myśli Ryana, mimo że nie nazywała go tak od czasu, kiedy to wszystko się wydarzyło, od kiedy on przestał być dla mnie nikim, a ona przestała być wszystkim. Kiedyś nazywała go Ochłapką i to przydomko w jakiś sposób pasowało do niego, zanim lepiej go poznałam. Przyjęło się na tyle, że nadal nazywałyśmy go tak, kiedy byłyśmy tylko we dwie, kiedy „my” oznaczało przede wszystkim mnie i ją, kiedy to „my” było najważniejsze, o wiele, wiele ważniejsze niż „my” oznaczające mnie i Ryana.

Wmawiam sobie, że już o nim zapomniałam, bo to wszystko wokół liczy się o wiele bardziej niż on. I rzeczywiście tak jest. Ale prawdą jest też, że wszystkie uczucia związane z Ryanem zepchnęłam głęboko w kąt. Czasem wydaje mi się, że umiejętność ignorowania tego, co chciałabym, żeby nie było prawdą, przynajmniej na jakiś czas, jest pewnego rodzaju darem... o ile rzeczywiście można nazwać to darem.

– Spadaj, Ochłapku – mówię. Zmuszam się do wypowiedzenia tych słów. Staram się z całych sił, żeby brzmiały swobodnie. Ale jednocześnie czuję, jak w mojej piersi zaczyna wić się wąż, oplata moje serce, zaciska się na nim. Pieprzyć Ryana.

Delia przygląda mi się i delikatnie przykłada ciepłe dłonie do moich policzków.

– Powinnam była powiedzieć ci wcześniej, jaki z niego dupek.

Myślę o Ryanie, o chłopaku, którego wydawało mi się, że znam. Myślę o naszym związku, o który cały czas się martwiłam, może za dużo. Powtarzałam sobie, że to przez moje własne problemy tak się zamartwiam. Dawało mi to pewnego rodzaju ukojenie, bo oznaczało, że nie muszę brać na poważnie swoich własnych przeczuć i podejrzeń. Może jednak powinnam była.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie... – zaczynam.

Ale potem urywam. Potrząsam głową. Przecież znam odpowiedź. Wybrałam jego. Nie zasłużyłam na to, żeby wiedzieć.

– Kiedy wiedziałam już, że będę się stamtąd zmywać, spróbowałam po raz ostatni. Wiedziałam, że to moja ostatnia szansa – wyjaśnia Delia.

Kiwam głową.

Czuję jednocześnie wstyd i wdzięczność. A potem myślę o Ryanie i jego pięknej twarzy. O tym, jak się czułam, kiedy mnie obejmował. Nagle uderza mnie szokująca świadomość, że to wszystko, co wydawało mi się, że nas łączy, być może ani przez chwilę nie było prawdą. Podnoszę wzrok na Delię. Wpatruje się we mnie intensywnie tymi swoimi błyszczącymi, pięknymi oczami.

– On na to nie zasługuje – mówi, a potem kciukami podciąga do góry kąciki moich ust. – Nie smuć się przez jakiś dupkowaty kawał mięcha.

Ale wciąż jeszcze coś mnie uwiera. Słowa wypadają z moich ust, zanim udaje mi się je powstrzymać.

– Tamtego wieczoru, kiedy zrobiło się... dziwnie – mówię. – U niego w domu, w trakcie tej gry i tak dalej... – Potrząsam głową. Jak to możliwe, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, mam jeszcze czelność o to pytać? Wydaje się, jakby to było tysiąc lat temu, jakby to była historia o kompletnie obcych ludziach. – Przepraszam, nieważne.

– Nie, w porządku – mówi Delia. – Chcesz wiedzieć, co się wydarzyło, kiedy wyszłaś wtedy z pokoju.

Orientuję się, że kiwnęłam głową. Myślałam o tym tyle razy, wyobrażałam to sobie tyle razy, całkiem wbrew sobie. Czasem, kiedy tęskniłam za nią, a czasem, kiedy tęskniłam za nim. Myślałam o tym, bo nie potrafiłam o tym nie myśleć. Sądziłam, że nigdy nie poznam prawdy.

W oczach Delii widzę coś, czego nie widziałam nigdy przedtem.

– Tylko tyle – mówi. – To wszystko.

Wygląda... Sama nie wiem... Czy naprawdę wygląda na przerażoną? Jej dłonie znowu są na moich policzkach. Mam wrażenie, że czuję jej puls. A może to mój puls. W słabym świetle jej źrenice są ogromne. A ona pochyła się w moją stronę, powoli. Pochyla się, żeby powiedzieć mi, co się wtedy stało, co zrobił Ryan, jak ona zareagowała.

I wtedy Delia składa na moich ustach pocałunek.

Nigdy wcześniej tego nie robiła. A może robiła to miliony razy, miliardy razy, odkąd się poznałyśmy. Ale nie, ten jest pierwszy. Trzyma mnie blisko, nasze wargi są złączone, jej usta są ciepłe i tak bardzo, bardzo miękkie. Nasze serca biją mocno i głośno, nie jestem w stanie ich rozróżnić, czuję jej dłonie na mojej twarzy, jej usta na moich, jej serce w mojej piersi.

– Ja byłam tutaj Ryanem – szepcze. – A ty byłaś mną. – To mówiąc, odsuwa się. – Więc sama widzisz – mówi, nie spuszczając ze mnie wzroku – nic wielkiego się nie stało.

Nie jestem w stanie wydusić słowa, nie jestem w stanie się ruszyć. A ona uśmiecha się, najpierw delikatnie, potem coraz szerzej. Znowu nachyla się do mnie i cmoka mnie w policzek.

– Naprawdę, Junie, nic takiego się nie stało. – Odwraca się i powolnym krokiem zmierza do salonu. A ja stoję w miejscu, nogi mi się trzęsą, serce łomocze i mija kilka długich minut, zanim z powrotem mogę złapać oddech, zanim udaje mi się poruszyć.

Rozdział 32

Delia

Zakończenia nerwowe wypalają dziury w mózgu i wgryzają się w przestrzeń, w czas. Tu. I tu. I tu. Ogień. Ogień. Ogień. Ogień. Ogień. Wyciągam swoją listę, dopisuję na końcu jej imię, drę listę na tysiąc kawałeczków. Czasem zaskakuję nawet samą siebie.

Rozdział 33

June

Przez ułamek sekundy jestem niczym, nikim, tylko rozpalonymi, otwartymi ustami i wściekłym pragnieniem. Budzę się z twarzą przyciśniętą do miękkiej poduszki.

I nagle wszystko wraca do mnie wzburzoną falą – przypominam sobie, kim jestem, gdzie jestem, jak się tu dostałam. *Z kim tutaj jestem:* z Delią, która kiedyś była moja, potem już nie była, potem umarła, a teraz żyje, żyje, żyje. A ja leżę na kanapie w domu, do którego mnie przyprowadziła. Gdzie wydarzyło się tak wiele rzeczy, o których nie wiem nawet, co myśleć.

Podnoszę się i siadam.

Z miejsca na kanapie, na którym leżę, widzę kuchnię, oświetloną niewielką czerwoną lampką. Idę w jej stronę. Dom pogrążony jest w ciszy. Przeszukuję szafki w poszukiwaniu naczyń, odkręcam kran i wypijam duszkiem lodowatą wodę, kubek za kubkiem, aż przestaję odczuwać pragnienie. I nagle jestem kompletnie rozbudzona.

Nagle znowu dopada mnie wściekły głód, chociaż nie wiem nawet, jak to możliwe. Zeszłego wieczoru tak wiele się wydarzyło. I nic jednocześnie. Było tyle pytań, które chciałam zadać, ale miałam poczucie, że nie powinnam. Więc najzwyczajniej w świecie oglądaliśmy filmy, żartowaliśmy. *Potem rozmawiałam z Delią w kuchni.* I tego nie jestem w stanie, nie potrafię jeszcze objąć rozumem.

Potem ten miły chłopak, Evan, zrobił wielki garnek spaghetti, a ja uświadomiłam sobie nagle, jak bardzo jestem głodna. Siadłam więc razem z nimi przy wielkim, drewnianym stole. Pochłaniałam jedzenie jak wygłodniałe zwierzę. Nie mogłam się powstrzymać. W pewnym momencie podniosłam

wzrok i zobaczyłam, że gapi się na mnie ten wysoki chłopak, Sebastian, z tym swoim obojętnym wyrazem twarzy – jak już zdążyłam zauważyć, jego twarz zawsze ma taki wyraz. Sebastian nigdy się nie uśmiecha. Zaczęłam się wtedy zastanawiać, co kryje się pod tym jego nie-uśmiechem i poczułam wstyd.

Około dziewiątej napisałam mamie SMS-a, że będę nocować u Ryana. Było to jedyne miejsce, jakie przychodziło mi do głowy, o którym mogłabym jej napisać. Kłamałam, że nocuję u chłopaka, żeby być ze swoją najlepszą przyjaciółką... Trudno było nie dostrzec ironii całej sytuacji. Na ironię zakrawało także to, że to właśnie Delia kazała mi następnego dnia pójść do szkoły. „Przecież zorientują się, że cię nie ma. Zaczną się zastanawiać, zaczną cię szukać...” – argumentowała.

Powiedziałam, że na pewno nie po jednym dniu nieobecności. Moja mama też nie będzie się martwić. Ale Delia pokręciła głową: „Nie tylko o to chodzi. Musisz wygrzebać ziarna, które posiałaś, powyrywać korzenie, które puściły...”. Wiedziała, że próbowałam dowiedzieć się, co tak naprawdę się stało, kto mógł zrobić jej coś złego. Ashling była wszędzie tam, gdzie ja, plus jeszcze w kilku innych miejscach, gdzie mnie nie było. Delia wyjaśniła, że przez to ludzie zaczynają nabierać podejrzeń. „A nie powinno tak być”, dodała.

Obiecałam, że to naprawię.

A teraz jest środek nocy, ja zaś stoję w kuchni, głodna i rozbudzona. Podchodzę do lodówki i łapię za uchwyt, ale zamieram, kiedy tuż obok na blacie zauważam tę dużą torbę, którą odebrali od Tiga.

Myślę o tych wszystkich pytaniach, których nie zadałam, których nie byłam w stanie zadać.

Kim są ci ludzie? Co tu robią? Skąd mają pieniądze? Kiedy byliśmy tu wszyscy razem, nikt nie spał, Delia nie spała, łatwiej było zdusić w sobie te wszystkie pytania. Ale teraz, kiedy jestem sama, oszałamiające poczucie szczęścia słabnie i schodzi na drugi plan. Potrzebuję odpowiedzi.

A może w tej torbie jest... Zanim się orientuję, sięgam po nią, chwytam, podnoszę. Wiem, że nie powinnam tego robić – od teraz wszystko, czego

dowiaduję się o Delii, powinno pochodzić od niej, powinna chcieć, żebym o tym wiedziała, powinna sama mi to powiedzieć – ale nie przestaję. Torba jest lekka. Papier szeleści jak opadłe liście, kiedy ją rozwijam. Zaglądam do środka i moim oczom ukazuje się stos malutkich plastikowych torebek. Są ich dziesiątki, każda z rysunkiem różowej babeczki na wierzchu. W środku są żółtawe kryształki. Serce zaczyna mi bić mocniej.

Wiem, co to jest.

Pamiętam, jak pod koniec naszej przyjaźni, kiedy zaczynało się między nami psuć, Delia czasem brała to na imprezach, rozdrabniała i wciągała przez przeciętą słomkę do napojów. Potem przez długie godziny nie była w stanie zasnąć, przecpana, zaciskała szczęki. „Gównno, nie zabawa”, mówiła. Potem była zmęczona, napastliwa, nieszczęśliwa. W takim razie po co im to teraz? I to w takich ilościach?

Stoję bez ruchu, z walącym sercem, niepewna, co robić, co myśleć.

I wtedy słyszę ten dźwięk – niski, gardłowy, jakby zwierzęcy. Jest tak dziwny, że z początku nie jestem pewna, czy go sobie nie wyobraziłam. Ale chwilę później rozlega się znowu. Nie zwierzęcy, zdecydowanie ludzki odgłos. Odkładam papierową torbę na miejsce i ruszam korytarzem w stronę źródła tych odgłosów. I przysięgam, z początku mam wrażenie, że komuś dzieje się krzywda, że ktoś może potrzebować mojej pomocy. Dopiero, kiedy stoję przy drzwiach sypialni, dociera do mnie, co tak naprawdę słyszę. Nie ból. A w każdym razie nie tylko ból. I nie jedną osobę, tylko dwie. *To Ashling i Delia.*

Czuję bolesne ukłucie samotności, które otwiera w moim sercu wielką, ziejącą dziurę. Są drzwi, przez które nie mogę wejść. Jestem na zewnątrz. Jestem sama.

Słyszę szepty, ale nie potrafię rozróżnić słów.

Po chwili zwierzęce odgłosy przybierają na sile. Czuję na twarzy gorąco. Próbuję się poruszyć. Nie jestem w stanie. Zamieram w bezruchu, roztapiam się, zaczynam płonąć. Zamykam oczy, czuję krew napływającą do policzków, do każdego zakamarka ciała.

Przez chwilę czuję się tak, jakbym ja też była z nimi w tym pokoju. Widzę

ściśnięte w pocałunku usta, skórę ocierającą się o skórę, włosy Ashling trzymane w mocnym uścisku, język Delii.

Przykładam palce do ust. Zamykam oczy. Przypominam sobie tamto uczucie.

Przestań.

Zapada cisza. Po chwili słyszę wybuch śmiechu, którego nie rozpoznaję. Potem ten drugi, który znam doskonale. Mocny i krótki, głośny. *Pyk-pyk-pyk.* Dziki, zuchwały, rozpryskujący się jak odłamki szkła. Słyszę przytłumione głosy. Potem kroki w stronę drzwi. Drzwi, przed którymi właśnie stoję.

Pędem biegnę przez korytarz, rzucam się na kanapę, okrywam kocem. Obracam. Kulę się. Zamykam oczy.

Do pokoju wchodzi Delia. Słyszę miękkie kroki bosych stóp na podłodze. Znam ten odgłos doskonale, jak bicie własnego serca, którego, mam nadzieję, ona teraz nie słyszy.

Próbuję leżeć kompletnie nieruchomo. Otwierają się drzwiczki szafki, słyszę stukot szklanek, odgłos odkręcanego kranu. Lodówka otwiera się i zamyka. Znowu kroki, coraz bliżej. Staje tuż nade mną. Przez chwilę wokół panuje kompletna cisza. Powieki drgają mi niekontrolowanie.

Delia pochyla się. Z jej ust wydobywa się ostry zapach, chyba ginu.

– Wystarczyło zapytać – mówi łagodnie. Czuję, jak na moją twarz znowu wypływa rumieniec. Zapytać o co? O to, czy mogę podsłuchiwać ją i Ashling? Czyli wie, że tam stałam. A ja nie mam pojęcia, jak się wytłumaczyć, jak zacząć. – I przestań udawać, że śpisz – dodaje, szturchając mnie w bok. Otwieram oczy. Jej nos jest w odległości kilku centymetrów od mojego. – Cokolwiek sobie wyobrażasz, to nie jest do tego.

Uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, o czym Delia do mnie mówi. To znaczy, nie mam pojęcia, dopóki nie zerkam w dół i nie dostrzegam tego, co trzyma w ręku – torby od Tiga.

– Junie, jeśli masz zamiar węszyć, na przyszłość przynajmniej składaj torebkę tak, jak była.

– Przepraszam – zaczynam. – Nie powinnam...

Ale ona wyciąga rękę i kładzie palec na moich ustach. Ćśśś.

– Ludzie mówią, że każdy dostanie to, na co zasłużył. Problem polega na tym, że to *nieprawda*. Świat nie jest sprawiedliwy – jej twarz jest teraz blisko, tak blisko mojej – chyba że mu w tym pomożesz. Musisz mi zaufać. Wydaje mi się, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, zasługuję przynajmniej na to. Chcemy naprawić krzywdy. *Dlatego* potrzebujemy zawartości tej torebki. A ty możesz nam pomóc. – Urywa na chwilę i odchyła się trochę, żeby lepiej mi się przyjrzeć. – Wchodzisz w to, J.?

Mam tak wiele pytań. Ale kiedy tak jedno po drugim pojawiają się w mojej głowie, uświadamiam sobie, że żadne z nich nie ma znaczenia. Poza „tym” czeka mnie tylko samotność, samotność i bezwolne unoszenie się w przestrzeni, bez żadnego punktu zaczepienia.

A „to” jest tutaj, w tym domu.

– Wchodzisz w to, J.?

Na zewnątrz jest mrok i nic nie jest prawdziwe. To, co na zewnątrz, już nawet nie istnieje.

„To” jest tutaj, z Delią.

Delia wpatruje się we mnie, przygryzając dolną wargę. Mam wrażenie, że wstrzymuje oddech.

Wchodzisz w to, J.?

Pyta, jakbym naprawdę miała jakiś wybór.

Czuję, jak moja głowa zaczyna się mimowolnie poruszać. W górę. W dół. W górę. W dół. Cokolwiek jest nam dane, cokolwiek się wydarzy po tej chwili, cokolwiek nas czeka.

Wchodzę w to.

Rozdział 34

Delia

Ja pieprzę, dobry Boże, ależ pięknie dziś świeci słońce. Jasne, gorące promienie wpadają do środka przez delikatne firanki. Budzi mnie w ten sposób, odkąd tu mieszkam, świecąc pod tym dziwnym, zimowym kątem prosto w oczy. Z początku czułam wściekłość, jakby ten słoneczny potwór próbował zerznąć moją twarz. Ale dziś czuję, jakbym miała włączone zasilanie energią słoneczną, jakbym była naładowana światłem. *Raz raz raz raz raz.*

Wyskakuję z łóżka. Otwieram okno. Powietrze jest świeże i czyste.

– Wstawaj – szepczę do ucha Ashling. – Wstawaj, wstawaj, wstawaj.

A potem, mimo że Ashling nadal śpi, a bardzo nie lubi budzić się w pustym łóżku, wybiegam na korytarz.

June siedzi przy kuchennym blacie i pije sok. Jeszcze mnie nie widzi. Staję i obserwuję ją przez chwilę.

Wydaje się zdenerwowana, a ja wiem, że to z powodu tego, co musi zrobić, kiedy pójdzie do szkoły. To nie z powodu tego, co będzie później, o tym nawet jej jeszcze nie powiedziałam. Nie, nie, najpierw szkoła. Tam musi zrobić to, co jej kazałam, żeby zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo.

Kończy sok, rozgląda się wokoło. Napotyka moje spojrzenie i uśmiecha się do mnie. I przysięgam, jej uśmiech jest promienny jak to cholerne słońce.

Przypominam sobie, jak to było wcześniej, kiedy przetrwanie każdego dnia wymagało nadludzkiego wysiłku, było walką, a godziny wlekły się niemiłosiernie. Teraz po prostu fruną.

Rozdział 35

June

Mam wrażenie, jakby miniona noc była tysiące lat temu. Albo jakbym ją po prostu wymyśliła albo wyśniła. A teraz, wchodząc do szkoły, czuję w brzuchu supeł, którego nie potrafię rozplątać. Nawet nie wiem, jak zacząć. Jestem tu od dziesięciu minut i już najchętniej bym uciekła, z powrotem do domu. *Do domu*, czyli do Delii. Nie chcę znowu tego spieprzyć, to jest teraz dla mnie najważniejsze na świecie.

Sięgam do kieszeni i dotykam schowanego w niej listu. Jest tam, bezpiecznie ukryty, składany i rozkładany milion razy, tak, jak bym to robiła, gdyby był prawdziwy.

Teraz, kiedy już znam prawdę, cały świat wygląda inaczej. I mimo ogarniającego mnie przerażenia muszę jednocześnie upominać samą siebie, żeby się nie uśmiechać. Zapach śmierci Delii wciąż unosi się w powietrzu, sunie korytarzami, osiada na wszystkim. Czuję się kompletnie poza tym. Delia jest martwa, a jednak żyje. Ja jestem tutaj, a jednocześnie mnie nie ma.

Ludzie wokół są tak nieznaczący. Zauważam Layę, dwie dziewczyny z drugiej klasy, Hanny'ego, jeszcze jednego kolegę Ryana z imprezy. Mijam ich po kolei, z lewej, z prawej, z lewej, z prawej. Patrzę na nich z myślą: „Żadne z was nie wie”. Patrzę na nich z myślą: „Mam was wszystkich w dupie”. A potem uśmiecham się, bo uświadamiam sobie, że to myśl Delii, którą przekierowała prosto do mojej głowy.

Zapomniałam już, jakie to proste, myśleć tak jak ona, kiedy się jest z nią blisko. Jakie to było przyjemne uczucie. Jest.

Przywołuję się do porządku. W końcu przyszedłam tu z misją, specjalną misją

od Delii. „Musisz to zrobić, Junie”, powiedziała mi. A potem wyjaśniła jak.

Wchodzę do klasy. Krista już tam na mnie czeka. Na ławce leży jej wielka pomarańczowa torba. Siadam obok niej i staram się kontrolować wyraz twarzy. Odwracam się powoli w jej stronę.

Krista mruży oczy i patrzy na mnie podejrzliwie.

– Wczoraj miałaś na sobie to samo – mówi. To prawda, te same džinsy, szara podkoszulka, zielony sweter. Nawet w nich spałam. – I wyglądasz gównianie. – Wzruszam ramionami. – Ale jesteś tutaj, przynajmniej tyle.

– Dostałam pocztą list – mówię. – Od Delii, napisany w dniu jej śmierci.

Nie muszę jej niczego wyjaśniać. Jest dla nas kompletnie nieistotna, ale chcę poćwiczyć na niej swoje umiejętności aktorskie.

– Nie gadaj – mówi Krista. – I co w nim jest? – Nie próbuje nawet ukryć podekscytowania.

– Że mnie przeprasza, że mnie kocha.

– List pożegnalny? – pyta Krista. Przytakuję. – O w mordę! – Kręci głową. – Cóż, w takim razie wszystko jasne. – Wzrusza ramionami. – Chcesz wpaść do nas po szkole? W sensie, ze mną do Radera. Obiecuję, że tym razem nie będę próbowała cię z nikim swatać.

Patrzę na Kristę, która przesuwa językiem po swoich żółtych zębach i zbyt odsłoniętych dziąsłach i nagle uświadamiam sobie, że jej nie lubię. Ani trochę. Myślę o mieszkaniu Radera, unoszącym się w nim dymie, o tamtej smętnej imprezie. Myślę o tym, że gdybym nie wiedziała, że Delia żyje, pewnie zgodziłabym się pójść z Kristą. Zgodziłabym się, bo nie miałabym wyboru.

– Nie, dzięki – odpowiadam.

– „Nie, dzięki”? – powtarza Krista, przyglądając mi się. – Masz jakieś inne plany czy co?

Wstaję. Godzina wychowawcza jeszcze się nie skończyła, ale to nie ma żadnego znaczenia. Idę w stronę drzwi. Nawet się nie odwracam, kiedy słyszę za sobą wołanie Kristy.

Ryan wychodzi ze swojej klasy jako pierwszy, kiedy tylko rozlega się dzwonek na koniec wychowawczej. Ma opuchniętą wargę i fioletowe oko, ale nawet tak poobijany nadal jest przystojny. I wkurza mnie to, że w ogóle takie rzeczy zauważam. Na mój widok uśmiecha się trochę nieśmiało. A potem jak jakiś idiota wyciąga do mnie ramiona, jakby się spodziewał, że pozwolę mu się objąć. Że kiedykolwiek jeszcze pozwolę mu się dotknąć.

– Tak się cieszę, że cię widzę – mówi.

Mija nas jakaś drugoklasistka z koleżanką. Szepczą coś do siebie i oglądają się na nas. Stojąc przed Ryanem, nie czuję się już taka silna jak wcześniej. Chcę mieć to za sobą.

– Nie miałam racji – mówię. – Delia na pewno popełniła samobójstwo.

Wyciągam złożony list. A on po prostu na niego patrzy.

– Czytaj śmiało. W tym nawet o tobie nie wspomina.

Wzdryga się na te słowa. I dobrze. Zasłużył sobie na to. Jego oczy szybko biegają po kartce.

– To jakieś szaleństwo... to wszystko. To znaczy... Ja nie...

– Nic nie mów. Cokolwiek powiesz, i tak ci nie uwierzę – mówię i czuję nagle, delikatne ukłucie. Poczucie winy. Bo ja wiem, że ona nadal żyje. Ja ją odzyskałam. A on nie. I już nigdy jej nie odzyska.

– Ale, przecież... ręka Jeremiaha – mówi Ryan. – Wydaje mi się, że jest poparzona. Zachowywał się jak wariat i... naprawdę nieźle mnie pobił. Wydaje mi się, że powinniśmy... To znaczy, sam już nie wiem.

Próbuję zachować kamienną twarz.

– Zostaw go w spokoju – mówię stanowczo. To ja tu dowodzę. – Jeremiah przeszedł przez piekło. Próbowaleś przelecieć jego dziewczynę. Wystarczająco dużo złego narobiłeś.

Ryan znowu patrzy na list. Czuję w żyłach buzującą, gorącą adrenalinę.

– Okej – mówi cicho. Jest pokonany. Będzie robił to, co mu każę.

Pieprzyć poczucie winy, to mi się podoba.

Ryan ściąga usta.

– Cóż, w takim razie to chyba tyle. – Oddaje mi list z wyraźnym wahaniem. Ale nie podnosi na mnie wzroku. Natychmiast pojmuję dlaczego: bo w oczach ma łzy. I wtedy coś do mnie dociera – jemu naprawdę na niej zależało. Może nawet bardziej, niż byłby w stanie przyznać sam przed sobą. Może nawet ją *kochał*. Teraz wydaje się to takie oczywiste.

– Tak jest, to tyle – mówię.

– Ja... – zaczyna. Stary, dobry Ochłapek. Potrząsam głową.

– Żegnaj – mówię.

– Junie... Poczekał... – woła błagalnym tonem. Odwracam się i patrzę na niego po raz ostatni.

A kiedy odchodzę, uświadamiam sobie, że być może część tych łez w jego oczach przeznaczona była dla mnie.

Przez resztę dnia próbuję znaleźć Jeremiaha. Mój wyszkolony wzrok skanuje korytarz w poszukiwaniu jego zgarbionych pleców i wielkiej, kwadratowej głowy. Zauważam go na samym końcu. Idzie powoli. To będzie najtrudniejsza część.

– Jeremiah! – wołam za nim.

Wygląda na potwornie zmęczonego.

– Jak się miewasz? – pytam. Czuję ukłucie w sercu. Jeremiah nic nie odpowiada, tylko kręci głową. Trudno mi sobie wyobrazić, że kiedykolwiek mogłam podejrzewać go o cokolwiek poza tym, że pokochał kogoś zupełnie dla siebie nieodpowiedniego, dziewczynę, której nigdy nie mógł mieć. Widzę to teraz tak wyraźnie, widzę ból, który go wypełnia i który sprawia, że cały świat wokół wydaje się nierzeczywisty. Ten sam ból wypełniał mnie aż do wczoraj, zanim ustąpił miejsca zaskoczeniu, najczystszej radości, nowym możliwościom. Przez ułamek sekundy czuję silną chęć powiedzenia mu prawdy, żeby mógł poczuć ulgę, którą ja poczułam. Ale wiem, że to niemożliwe.

Wyjmuję z kieszeni list. Chcę mieć to za sobą.

– To list pożegnalny – mówię. – Wysłała mi go przed śmiercią. Dziś doszedł.

Wyciągam go przed siebie. Jeremiaś bierze kartkę prawą ręką, tę oparzoną chowa w kieszeni. Nie jestem w stanie patrzeć na jego twarz, kiedy czyta list.

Po skończeniu składa list z powrotem i mi go oddaje. Nawet nie zerkam na treść, znam już na pamięć słowa Delii, które napisała za nią Ashling. „Znam jej charakter pisma lepiej niż ona sama. Potrafię podrobić każde pismo”, mówiła z uśmiechem Ashling.

Junie, przepraszam, że tak się to musiało skończyć. Proszę, nie czuj się winna. Nikt nie mógł mi pomóc. Kocham Cię. Byłam szczęściarą, że Cię znałam, i tak właśnie chcę o Tobie myśleć. Proszę, znajdź Jeremiaha i powiedz mu, że go kocham i że wiem, jak bardzo mnie kochał. Pożegnaj go ode mnie.

Jeremiaś wpatruje się we mnie. Biorę od niego list. Wokół nas uczniowie rozchodzą się do swoich klas.

– Bardzo się myliłem – mówi. Jego głos jest twardy i zachrypnięty, jakby od dłuższego czasu nic nie mówił. – W wielu kwestiach. Dużo rozmyślałem o tym wszystkim, praktycznie bez przerwy. Nie robiłem nic, tylko rozmyślałem, rozmyślałem, rozmyślałem – mówi coraz szybciej. – Nie mogę spać, więc całymi nocami tylko leżę i myślę. I wreszcie zaczynam dochodzić do różnych wniosków. Na przykład: gdybyś była jej prawdziwą przyjaciółką, nigdy nie przestałabyś nią być – wypala, patrząc mi prosto w oczy. Chyba czeka, aż zaprzeczę, ale tego nie robię. Ciągnie dalej: – Wiesz, że zawsze opowiadała o tobie w taki sposób, jakbyście nadal były bliskimi przyjaciółkami? Przez dłuższy czas nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego jeszcze cię nie poznałem, dlaczego nigdy nie chciała przedstawić mnie tej swojej podobno *najlepszej przyjaciółce*. A potem zrozumiałem, że to dlatego, że tak naprawdę nigdy nią nie byłaś.

Nie sądziłam, że będzie w stanie powiedzieć mi jeszcze cokolwiek, co byłoby w stanie mnie dotknąć, a jednak. Ale ona mi wybaczyła. Muszę o tym pamiętać. A to, co robię teraz, robię właśnie dla niej.

– Dlatego próbuję być jej przyjaciółką teraz – mówię. Staram się mówić cicho i łagodnie. – Dlatego chcę uczcić jej pamięć i zaakceptować to, co się stało.

A nie szukać tajemnic tam, gdzie ich nie ma.

Patrzy na mnie, potakując. Przez moment odnoszę wrażenie, że myślimy podobnie. Ale potem w jego oczach pojawia się złowieszczy błysk.

– No dobrze, to teraz powiedz, sama to napisałaś, czy on ci pomógł? – pyta, przechylając głowę na bok.

– O czym ty mówisz?

– Myślisz, że nie wiem, że są ludzie, którzy potrafią podrabiać cudzy charakter pisma? – Jeremiaś kręci głową. – Chryste, June. Naprawdę strasznie się starasz, żeby go kryć.

Czuję ucisk w żołądku.

– Kogo kryć? – pytam.

– Daj spokój. Ryana oczywiście.

Nagle robi mi się niedobrze. Tracę grunt pod nogami.

– Wcale nie. Ryan nic nie zrobił – mówię słabym głosem. I mimo że to prawda, jakimś cudem moje słowa nie brzmią przekonująco nawet dla mnie samej.

Jeremiaś wyciąga rękę z kieszeni i wskazuje na zabandażowane oparzenie, o którego istnieniu, jak mu się wydaje, nie mam pojęcia.

– Cóż, ktoś to zrobił. A ja wiem doskonale, jaki ból wtedy czuła.

Powinnam to odpuścić, ale nie potrafię.

– Co ci się stało w rękę?

– Podpaliłem ją – mówi z kamienną miną, a głos nawet mu nie drgnie. – Po tym, jak dowiedziałem się, jak umarła. Chciałem poczuć to, co ona czuła. I wiesz co? Boli jak skurwysyn.

Uśmiecha się. Wygląda na kompletnie niezrównoważonego.

A ja nagle coś rozumiem – przez cały ten czas *miałam rację*, że się go obawiałam. Tyle tylko, że obawiałam się go nie z tego powodu, co trzeba. Jego działania napędza siła jego bólu, jego rozpacz przeradza się w coś niebezpiecznego. I z każdą chwilą jest z nim coraz gorzej.

Jeremiaś przestaje się uśmiechać.

– Dowiem się, przez kogo tak cierpiała. I jeśli okaże się, że to był twój chłopak, przepraszam, twój eks... to uwierz mi, dostanie to, na co zasłużył.

To mówiąc, Jeremiaś odwraca się i odchodzi.

– Stój! Ryan niczego nie zrobił! – wołam za nim. – Delia sama to sobie zrobiła, to potworne, ale taka jest prawda... – Ale on jest już na drugim końcu korytarza, nie ogląda się za siebie. Kręci mi się w głowie i brakuje mi tchu. Wszystko wymyka się spod kontroli. A ja nie mam pojęcia, jak to naprawić.

Rozdział 36

June

Godzinę później lekcje się kończą, a ja wciąż jestem roztrzęsiona, jest mi niedobrze i nie znajduję się ani o krok bliżej celu. Idę w kierunku parkingu, analizując w myślach to, co się stało, w kółko i w kółko. Delia kazała mi naprawić to, co schrzaniłam. Powiedziała mi dokładnie, co zrobić, ale ja nie potrafiłam stanąć na wysokości zadania. Spieprzyłam po całości. I teraz nie wiem, jak to odkręcić.

– No daj spokój, nie mów, że jest aż tak źle?

Podnoszę wzrok. Sebastian czeka na parkingu, kilka metrów ode mnie.

– Minę masz taką, jakby ktoś umarł, wiesz? – Nie uśmiecha się, bo Sebastian nigdy się nie uśmiecha, ale w jego głosie słychać żartobliwą nutkę. Najwyraźniej to miał być dowcip. – Przysłano mnie tutaj, żeby cię uratował – mówi, wskazując samochód za swoimi plecami.

– Dzięki, mam swoje auto – mówię.

Sebastian wzrusza ramionami.

– Kazała mi po ciebie przyjechać, więc oto jestem. Nie pytałem dlaczego.

Ona. Delia.

Przyglądam mu się, jego rysom, owalowi twarzy, szerokim ramionom, dłoniom. On nie wie, dlaczego został przysłany tutaj, żeby mnie uratować, ale ja chyba wiem. I uśmiecham się na tę myśl, mimo wszystko.

Delia robi to, co zawsze robiła przez lata naszej przyjaźni, poczynając od tego dnia, kiedy po raz pierwszy całowałam się z chłopakiem. Sebastian jest moim prezentem od niej. „J., wiem lepiej od ciebie, jaki jest twój typ faceta”, słyszę w głowie jej głos. Coś mi się jednak wydaje, że Sebastian nie da się tak łatwo

sprezentować, w każdym razie nie mnie.

– Ach, więc to właśnie on – mówi teraz, zerkając na kogoś za moimi plecami i wskazując na niego uniesieniem podbródka. Odwracam się. To Ryan. Mija nas, obserwując mnie uważnie.

– Delia ci go pokazała?

– Nie, ale to oczywiste. Widać to po tym, jak na nas patrzy. To ty tak ładnie podbiłaś mu oko?

Nie jestem pewna, czy żartuje.

Kręcę przecząco głową. Ryan zauważa, że patrzę w jego stronę, i unosi rękę, żeby do mnie pomachać.

Odwracam się do niego plecami.

– Przystojny jegomość – mówi Sebastian, kiwając głową. – Ma rzeczywiście... świetny układ kostny twarzy.

– Ha, też zawsze tak uważałam. Mam nadzieję, że mordobicie tego nie zepsuło.

Sebastian kiwa głową z pełną powagą, ale po chwili na jego twarzy pojawia się najprawdziwszy uśmiech. Rozjaśnia ją zaledwie na ułamek sekundy i zaraz znika.

– Myślisz, że jest zazdrosny? – Sebastian nadal obserwuje Ryana, który nadal obserwuje nas.

Kręcę głową.

– Nie sędzę.

Sebastian robi krok do przodu.

– A chcesz, żeby był? – Ma teraz dziwną minę, której nie jestem w stanie rozszyfrować. Nie widziałam jej wcześniej: wyzywająca, szelmowska, trochę okrutna. I nagle, tak płynnie, że z początku nie wiem nawet, co się dzieje, obejmuje mnie jedną ręką w talii i przyciąga do siebie. Czuję mięśnie jego torsu przyciśnięte do moich piersi, jego twardy brzuch przy moim. Nie mam pojęcia, co się właściwie dzieje. Ale on pochyla się, jakby chciał mnie pocałować. Jest coraz bliżej i bliżej, nasze usta prawie się stykają. *Przypominam sobie jej*

oddech, jej usta. Czuję jego oddech na swoim policzku i łomotanie własnego serca.

– Nienawidzę takich ludzi – mówi Sebastian prosto w moje usta. – Cholernych kłamców, którzy mieszają ludziom w głowach i łamią im serca. – Zerka mi przez ramię i wypuszcza z objęć. – Powinniśmy już ruszać.

Robię krok w tył, chwieję się, prawie upadam. Ale jakimś cudem moim nogom udaje się utrzymać równowagę.

– Tak, jasne – mówię. Na chwilę zapominam o wszystkim, o całej reszcie życia, o tych wszystkich szalonych rzeczach, które się wydarzyły i które dopiero mogą się wydarzyć, o tym, jak strasznie spieprzyłam moją rozmowę z Jeremiahem i jak trudno będzie mi to naprawić. Jedyne, czego jestem świadoma, to uczucie, jakby ręce Sebastiana nadal były na moim ciele, jakby w tym miejscu, w którym mnie dotykał, zapłonął żywy, pulsujący ogień.

– Drzwi są otwarte – mówi.

Już w samochodzie Sebastian wyciąga rękę, włącza radio i przez chwilę skacze po stacjach. Ostatecznie wyłącza je zupełnie. Bierze głęboki oddech.

– Przykro mi, że twój chłopak okazał się dupkiem – mówi. – To zawsze boli, kiedy ktoś okazuje się zupełnie inny, niż się przypuszczało.

Wzruszam ramionami.

– To prawda – odpowiadam. – Ale teraz uświadamiam sobie, że być może wcale tak naprawdę go nie znałam.

Sebastian milczy przez chwilę.

– A czy on znał ciebie? – Coś w jego głosie sprawia, że zastygam, a moje serce przyspiesza. On nie pyta tylko po to, żeby gadać, on autentycznie pyta. Jakby naprawdę był ciekaw odpowiedzi.

– Nie, chyba nie. Ja nigdy... tak naprawdę nie byłam z nim szczerą w wielu kwestiach – przyznaję, myśląc o swoim życiu, o mamie, o tym, jak się czułam w związku z Delią, o wszystkim.

– O czym zazwyczaj rozmawialiście? – pyta Sebastian.

Kręcę głową.

– Głównie o królikach – mówię, zwracając się w jego stronę. Widzę jego pytająco uniesione brwi. – Lubiliśmy oglądać razem taki kanał z relacją na żywo. Wymyślaliśmy życiorysy takim dwóm królikom i... wtedy wydawało mi się to zabawne i urocze. Zresztą w sumie takie właśnie było. Ale to nie było dodatkiem do innych rozmów, tylko substytutem.

– Chodziło o to, żeby unikać rozmów o tym, co się naprawdę u was dzieje?

– Może, nie wiem. Zawsze, kiedy pojawiały się tematy związane z prawdziwym życiem i tak dalej, w pewnym sensie wygładzałam to, co było trudniejsze. Jego życie jest... trochę inne od mojego. – To dziwne uczucie, rozmawiać o tym wszystkim z kimś praktycznie nieznanym.

Sebastian kiwa głową, jakby doskonale rozumiał, co mam na myśli.

– Więc stosowałaś mc nuggetsowanie – mówi.

Patrzę na niego. Za oknem migają nagie drzewa.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Sam to wymyśliłem – stwierdza, a na jego twarzy pojawia się ledwo dostrzegalny uśmiech. – mc nuggetsowanie jest wtedy, kiedy sprzedajesz komuś totalnie sztuczną, przetworzoną wersję czegoś, tak żeby łatwiej było to przełknąć. Twój brat wstąpił do sekty i nie może rozmawiać z ludźmi spoza niej? Mówisz: „Akurat w tym momencie mam ograniczony kontakt z bratem”. Twój ojciec ćpun znów nie zapłacił czynszu i wywalają was z mieszkania? „Tak, myślimy o przeprowadzce w jakieś bardziej komfortowe miejsce”. Trzydziestoletni członek gangu próbował zgwałcić twoją dwunastoletnią siostrę, więc go zabijasz, a potem... Chyba już rozumiesz, jak to działa.

Kiwam głową. Przypominam sobie, co mówiłam Ryanowi o mamie. „W sumie nie jesteśmy zbyt zżyte, każda z nas po prostu zajmuje się swoimi sprawami”.

– Wmawiałam sobie, że tak będzie lepiej dla nas obojga, że nie ma sensu obciążać go dramatem mojego życia, tymi wszystkimi przygnębiającymi tematami. Ale częściowo było to z mojej strony samolubne: mogłam udawać kogoś innego. Dobrze się czułam, będąc inną osobą.

– Móc zdecydować o tym, kim się jest... – mówi Sebastian. – To wielkie szczęście.

Obserwuje mnie kątem oka.

Myślę o Ryanie, o tym, że nawet wtedy, kiedy wydawało mu się, że ma jakieś głębokie spostrzeżenia, zazwyczaj po prostu powtarzał to, co usłyszał gdzie indziej. Czerpał wiedzę z książek i filmów. Jego życie było tak banalnie proste. Do czasu „śmierci” Delii tak naprawdę nie przeprowadziliśmy ani jednej poważnej rozmowy. A kiedy parę razy wspominałam coś o mojej sytuacji rodzinnej, odnosiłam dziwne wrażenie, że podoba mu się to, że ma dziewczynę z taką „mroczną stroną”. Ale nigdy nie umiał nawet zapytać mnie o cokolwiek w odpowiedni sposób, a ja sama praktycznie o niczym mu nie mówiłam.

– No nic – rzuca Sebastian. Zaciska usta i dodaje zmienionym głosem: – No i jak poszło, w sensie to, czym miałaś zająć się w szkole. Jak ci się rozmawiało ze wszystkimi? – Mówi powoli, z rozmysłem.

Nie mam ochoty odpowiadać, ale nie ma też sensu niczego ukrywać, sprawa jest zbyt poważna. Dlatego mówię mu o Jeremiahu, jego oskarżeniach, o obłędzie w oczach, o wszystkim.

– I wydaje mi się, że on nie odpuści – stwierdzam na koniec. – Nadal będzie węszył, szukał, rozgrzebywał.

Wszystko, o czym tak usilnie starałam się zapomnieć, natychmiast do mnie wraca. Patrzę na Sebastiana, ale na jego twarzy nie widać absolutnie żadnych emocji.

– Nie martw się – mówi, a jego głos jest spokojny i zrównoważony. – Zawsze są jakieś drobne usterki.

Zawsze.

– Robiłeś to już wcześniej? – Paradoksalnie lęk dodaje mi odwagi do zadawania pytań. – Ile razy?

Sebastian bierze oddech i przez chwilę milczy, jakby nie był pewien, czy w ogóle się odezwać. Otwiera usta. Zamyka je. Znowu otwiera.

– Trzy – mówi wreszcie.

A do mnie nagle dociera sens jego słów. Delia nie jest jedyną, która umarła i wróciła do żywych. Ashling, Evan, Sebastian. Trzy.

– Wy wszyscy... – zaczynam. Oni wszyscy wiedli przedtem inne życie. I zostawili wszystko za sobą.

– Przestań – przerywa mi Sebastian. A potem dodaje już ciszej, niemal sam do siebie: – To niebezpieczne.

– Nigdy nikomu nie powiem – mówię. – Obiecuję.

Ale on tylko kręci głową. Odchylam się na swoim siedzeniu i zaczynam obserwować drzewa za oknem, a w mojej głowie kotłują się tysiące pytań, których nie mogę zadać. Kilka minut później zajeżdżamy pod dom.

Rozdział 37

Delia

Od razu wiem, że coś jest nie tak. Zanim jeszcze ją dostrzegam, po prostu czuję to w środku, to palące, obrzydliwe uczucie, sygnał ostrzegawczy tam głęboko we mnie, gdzie jest już tylko ciemność. Wyglądam przez okno, kiedy podjeżdżają pod dom. Wysiada z samochodu, porusza się szybko i nerwowo, jest rozdygotana jak przerażone zwierzątko. Moja pierwsza myśl jest taka, że ma to jakiś związek z Sebastianem, wysokim i szczupłym, z rękami w kieszeniach. *Czekaj no, myślę, jeśli cokolwiek jej zrobisz, zniszczę cię, zmiażdżę, wgniotę w ziemię.* Ale kiedy jest już wystarczająco blisko, czuję ten cierpki zapach strachu emanujący z jej słodkiej skóry. I dociera do mnie, że ona boi się mnie.

Chce mi się rzygać na tę myśl.

Wchodzi do środka, mówi, że musi mi coś powiedzieć, że to coś niedobrego, przygryza wargę, zakrywa drżące usteczka. A potem wydusza z siebie historię o Jeremiahu.

– Spieprzyłam sprawę – mówi. – Nie udało mi się go przekonać. Przepraszam, tak mi głupio. Nie mam pojęcia, co on może teraz zrobić.

A ja mam ochotę roześmiać się jej w twarz. Chce mi się śmiać na myśl o Jeremiahu i jego wielkiej, głupawej gębie. Pieprzony kiciuś w ciele buldoga. Nie był niczym więcej niż tylko ciepłą kluchą, przy której można było ogrzać się w zimowe dni. Zabaweczką. Kiedy teraz słucham o jego poparzonej dłoni, jego rozemocjonowanym przyrzeczeniu, że *pomści mnie, naprawi wyrządzone mi krzywdy...* Słyszac to wszystko, niemal, *niemal* coś do niego czuję, ale nie do końca. Jest łagodny, słodki, nieszkodliwy, a jednak *nawet nieszkodliwi mogą coś popsuć.* Mogą miotać się bez sensu w ciemności, przewracać wszystko

wokół, popełniać poważne błędy. Przez niego moja Junie jest smutna.

– Szkoda, że nie możemy napuścić go na Ryana, co? – mówię. – Albo Ryana na niego. Żeby się nawzajem powykańczali.

June patrzy na mnie ze słodko rozchylonymi ustami.

– Żartuję – zapewniam od razu. A ona spogląda na mnie tak, jakby wcale nie była tego taka pewna. Mądra dziewczynka.

Kolejne myśli eksplodują w mojej głowie jak ziarenka popcornu. Mam tysiące myśli, milion myśli, cały miliard myśli w tym jednym ułamku chwili, jaki upływa między momentem, w którym moja twarz poważnieje, a tym, w którym z otwartych ust padają słowa:

– Nie martw się, Junie. Obiecuję ci, że jakoś to załatwimy.

My? Błagam, dość już tego *my*. Widzę, że ona zaczyna się rozluźniać. Wie, że się tym zajmę. Że się nią zaopiekuję. I dobrze.

Staram się zachować spokojny wyraz twarzy. Ale prawda jest taka... że teraz to, kurwa, ja się boję.

Bo nadszedł wreszcie ten moment. Bardzo mi czegoś potrzeba. Naprawdę bardzo. A jeśli ona tego nie zrobi, nic, co ma się wydarzyć, nie dojdzie do skutku. *Wchodzisz w to, J.?* Powiedziała, że tak. Wiem, że tak jest. Ale muszę mieć pewność.

Otwieram więc usta i zadaję jej to pytanie.

Rozdział 38

June

Zgodziłam się.

Już zawsze będę się na wszystko zgadzać.

Od teraz, bez względu na to, o co mnie poprosi, będę odpowiadać TAK. To będzie moja odpowiedź.

Bo jak mogłoby być inaczej?

Poza tym zasłużył sobie na to. Zasłużył na jeszcze gorsze rzeczy.

Biorę ostatni wdech i zatrzymuję go na chwilę w płucach. Naciskam dzwonek. Jego dźwięk rozlega się wewnątrz domu i po chwili milknie, słyszę to przez drzwi. Przez chwilę ze środka nie słyhać zupełnie nic. „William nie operuje we wtorki – wyjaśniała mi Delia. – A moja mama pojechała na kilka dni do siostry. Będzie tam tylko on. Sam”. Jego samochód stoi na podjeździe. Może śpi. Może wcale się nie pojawi.

I wtedy słyszę jego głos.

– Już, już, chwileczkę!

5... 4... 3... 2... 1... To się naprawdę dzieje.

Drzwi otwierają się gwałtownie i staje w nich William, wielki, beczkowaty, w ciemnoczerwonej koszuli. Jego mięsiste usta są suche i blade. Delia mówiła mi kiedyś, że bardzo dużo osób uważa go za przystojnego. „Jego pacjentki zawsze próbują go przelecieć. To chyba przez tego raka tak im odbija”.

– Tak? – pyta. Pociera szklisto niebieskie oczy, przesuwa dłonią po twarzy. – W czym mogę ci pomóc?

Przypominam sobie słowa Delii, jej drżący głos. Kiedy mi o tym wszystkim opowiadała, nawet nie brzmiała jak ona. „William zasługuje na więzienie, ale

po tym, co się stało, nie odpowie za to, co zrobił...”.

Ogarnia mnie palący gniew. Mam ochotę sięgnąć po jedną z ozdobnych donic stojących na schodach i tłuc nią jego czaszkę raz, drugi, kolejny, dopóki nie wypadną mu wszystkie zęby, twarz nie zamieni się w miazgę, aż wreszcie z jego głowy nie zostanie nic poza odłamkami kości.

Zamiast tego uśmiecham się, dzielnie i smutno.

– Dzień dobry, panie Grosswell – mówię. – Jestem June. Jestem przyjaciółką Delii. To znaczy byłam. Kiedyś często tu bywałam.

Muszę się uspokoić. Słysząc, że jestem zdenerwowana. „Ja byłam jedynym dowodem – powiedziała – a teraz już mnie nie ma”.

William mruga, wyraźnie zdezorientowany, jakby nie miał pojęcia, kim jestem ani nawet kim jest Delia. Jego wyraz twarzy zmienia się powoli. Chyba nie jest w stanie przetwarzać informacji w normalnym tempie.

– Ach, tak – mówi wreszcie. – Ależ tak, oczywiście.

– Jestem tutaj, bo... – urywam. – Bo długo nie widziałam się z Delią, dlatego tym trudniej jest mi pogodzić się z tym wszystkim, co się stało i... – Powtarzałam wszystko wiele razy, kiedy ćwiczyłyśmy tę scenę. Musi uwierzyć, że nie mam pojęcia, co się wydarzyło, co próbował zrobić. Musi poczuć się pewnie, uwierzyć, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Ale tak samo jak wtedy, kiedy Delii wydawało się, że jest bezpieczna w swoim własnym pokoju, w swoim własnym domu, tak teraz on jest w cholernym błędzie.

– Szykujemy w szkole taką kolekcję jej różnych zdjęć – mówię dalej. – I tak się zastanawiałam... czy nie mają państwo może jakichś starych albumów ze zdjęciami, które mogłabym przejrzeć i może pożyczyć? Wie pan, z czasów, kiedy była młodsza.

– Wydaje mi się, że cię pamiętam. Kiedyś przychodziłaś do nas non stop – urywa i zamyka oczy. Po chwili je otwiera. – Ale przestałaś.

Przytakuję. Serce wali mi jak oszałałe.

– Rzeczywiście, nasze drogi się rozeszły. Żałuję, że nie byłam dla niej lepszą przyjaciółką.

Czy na jego twarzy naprawdę maluje się ulga?

– Nie możesz mieć do siebie pretensji. Przechodziła trudny okres, szczególnie pod koniec – mówi, kręcąc głową. *Przez ciebie. To wszystko przez ciebie, ty gnoju.* – Proszę, wejdź.

Wchodzę do środka. Zamyka za mną drzwi.

Prowadzi mnie przez kuchnię do salonu. Stąpamy po miękkim beżowym dywanie.

– Jej matka schowała tutaj kilka albumów.

Muszę trzymać dłonie w kieszeniach, żeby powstrzymać się od zaciskania ich w pięści, od wyciągnięcia ich w jego stronę, od przywalenia mu w twarz. William otwiera dużą, drewnianą szafkę. Na samym dole leżą albumy ze sztucznej skóry w kolorze burgunda.

Wyciąga je i kładzie na stoliku kawowym.

– Jej matka ma je wszystkie w komputerze, więc myślę, że nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyś zabrała niektóre z nich. Będzie szczęśliwa, że... – Zaciska usta i z trudem przełyka ślinę. – Sądzę, że ucieszy się na wiadomość o tym, że organizujecie w szkole upamiętniającą ją uroczystość. Chciała, żeby na pogrzebie była tylko rodzina. I powiedziała, że przez jakiś czas sama nie będzie w stanie tego zrobić, więc... – Przez chwilę stoi nade mną, po czym rusza w kierunku drzwi. *Nie, nie, nie.* Miał zostać tutaj ze mną, obserwować mnie, jak przeglądam zdjęcia. Umożliwić mi zrobienie tego, po co tu przyszedłam.

– Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować – mówi. – Ja będę tam. – Wskazuje kuchnię.

Co teraz?

Przyciągam do siebie album, kładę go sobie na kolanach. Na jednym ze zdjęć widzę Delię, ma jakieś siedem albo osiem lat, nie ma przednich zębów i stoi na rowerze. A tu Delia jedząca lody. Delia z zółwkiem. Delia, kiedy miała nie więcej niż kilka godzin, zanim jeszcze nawet otworzyła oczy – to zdjęcie widziałam już wielokrotnie. „Patrz, jaka byłam malutka, uwierzysz?”, zwykle powtarzała Delia, zawsze tak samo zaskoczona, tak jakby nie do końca wierzyła,

że to naprawdę mogła być ona, że każdy człowiek na ziemi był kiedyś niemowlęciem.

Wyciągam kilka zdjęć i idę z nimi do kuchni.

„Jesteś naszą nadzieją, Junie. Będzie cię pamiętał. Wpuści cię do domu”.

Siedzi przy stole, z czasopismem „World Journal of Surgical Oncology” w lewej ręce i ogromnym niebieskim kubkiem w prawej.

„Jego dietetyczna cola. Pije jej całe galony, z kubka po kawie, bo wydaje mu się, że tak jest bardziej męsko. Wsyp to tam, a nic nie zauważ”.

Sięgam do kieszeni, wyczuwam pod palcami małą torebkę. Ashling kazała mi to powtarzać setki razy. Jest w tym mistrzynią – potrafi sprawiać, że przedmioty znikają w jej dłoni, a potem pojawiają się z powrotem, kiedy tylko chce. „Prawdziwa z ciebie czarodziejka”, powiedziałam jej. „Mam w tym wprawę”, odpowiedziała, a potem uśmiechnęła się do Delii w taki sposób, że bym zorientowała się, że nie wiem wszystkiego.

William podnosi wzrok.

– Znalazłaś to, czego chciałaś?

– Hm... jest tu kilka całkiem dobrych fotografii – mówię, wyciągając rękę z wybranymi zdjęciami.

Wpatruję się w jego kubek z ciemnoniebieskiej emalii w zielone groszki, wypełniony brązową bąbelkową cieczą i kostkami lodu. Pięć sekund, tylko tyle mi potrzeba. Czterech, jeśli będę wystarczająco szybka.

– Mogłabym prosić o szklankę wody?

– Tak, oczywiście, przepraszam. Powinienem być sam coś zaproponować.

Wstaje i idzie po szklankę dla mnie. Nadchodzi moja chwila. Czuję ogień w piersi.

Podchodzę do stołu, udając zainteresowanie jego czasopismem. Moja ręka jest nad kubkiem, torebka ukryta w dłoni. Ale przez to, że tak strasznie się denerwuję, jestem cała spocona i czuję nagle, jak torebka wyślizguje mi się z ręki i łąduje w jego coli, rysunkiem babeczki do góry.

Cholera.

– Z lodem? – pyta William, stojąc przed lodówką, plecami do mnie.

Trzęsą mi się ręce.

– Tak, poproszę – mówię, a głos też mi się trzęsie.

Zorientuje się. Zaraz się odwróci i zobaczy, co robię. I co wtedy?

William wrzuca do szklanki kilka kostek. Sięgam do wnętrza kubka, wyławiam torebeczkę i wsadzam ją z powrotem do kieszeni. Kostki lodu brzęczą. William podchodzi z moją wodą. Na stole widać kropelki dietetycznej coli. Wycieram je brzegiem rękawa.

Stoi teraz tuż obok. Czuję, że się czerwienię. Wpatruje się we mnie, z grubą dłonią zaciśniętą na oszronionej szklance. O Boże, zauważył to. Powinnam odwrócić się na pięcie i wiać.

– Wiesz co – mówi powoli. – Wydaje mi się, że w piwnicy jest jeszcze parę starszych albumów. Może chciałabyś przejrzeć także je?

Jestem bezpieczna. Na razie.

Pamiętam, jak kiedyś Delia powiedziała mi, że William nie pozwolił jej matce na rozpakowanie większości jej dawnych rzeczy w jego domu. Delia powiedziała, że słyszała kiedyś, jak mówił jej: „To twoje stare życie. Nie powinnaś więcej o tym myśleć”. Dla Delii najgorsze było to, że jej matka nie protestowała, nawet nie próbowała się bronić. Po prostu się z nim zgodziła.

William odwraca się i posyła mi przyjazny, ciepły uśmiech. Aż mnie skręca.

– To chodźmy.

Podnosi kubek i bierze łyk. A ja nagle czuję całą sobą, że bardzo nie chcę iść z nim w dół po tych schodach, do tej cholernej piwnicy. Może próbować ze mną tego samego, co próbował zrobić z Delią. Czy moje zęby są tak ostre jak jej? Czy moje ręce będą wystarczająco szybkie? Ale to nie ma znaczenia. Bo jeśli z nim tam nie pójdę, nie odpowie za to, co jej zrobił. A tego nie chcę jeszcze bardziej.

– Dobry pomysł – mówię.

Otwiera drzwi i zaprasza mnie gestem dłoni.

– Panie przodem.

Jest mało miejsca. Kiedy go mijam, ocieramy się o siebie. Znalazłszy się na dole, zapala światło. Nie ma tu żadnych okien. Ściany przesłonięte są tanimi regałami, jest też mała skórzana kanapa, duży telewizor, który wygląda na całkiem nowy, a w rogu – sterta kartonów. Pachnie nowo kupionym dywanem i ziemią.

– Wydaje mi się, że albumy są w którymś z pudeł, tam w rogu – mówi. – Śmiało, rozejrzyj się.

Macha ręką w geście „no już, dalej”. Więc schylam się, świadoma jego spojrzenia na moim tyłku. Robi mi się niedobrze. Muszę to zrobić, chcę mieć to już za sobą. Ale jak to zrobić? Sięgam po pudło. Jest ciężkie. Nie na tyle, żebym nie mogła go unieść, ale... Nagle wpada mi do głowy pewien pomysł. Udaję, że zbieram się w sobie i wydaję z siebie pełne wysiłku sapnięcie. Przerywam, po chwili udaję, że znowu próbuję podnieść karton.

Zwracam się do niego z nieśmiałym spojrzeniem.

– Uch, trochę mi głupio, ale to dla mnie chyba za ciężkie. Może pan mógłby...

– Ależ tak, oczywiście – mówi, rzuca obrzydliwie pobłażliwy uśmiezek i wyciąga przed siebie kubek. – Mogłabyś tylko mi to potrzymać?

Delia przekonywała mnie, że William nigdy nie zorientuje się, że maczałam w tym wszystkim palce. „Ma wystarczająco wielu wrogów”, powiedziała mi. Wszyscy stażyści, których pozwalniał, członkowie szpitalnego personelu, których wkurzał. Każdy z nich mógł to zrobić. Ale przez chwilę niemal chciałam, żeby domyślił się, że to ja. Chciałam, żeby wrócił potem myślami do tej chwili, przypomniał sobie, jak się do mnie uśmiechał, i poczuł się jak ostatni idiota.

Biorę od niego kubek. *Oczywiście, Williamie, mogłabym.*

Tylko nie wiem, czy na pewno tego chcesz.

Podnosi pierwsze pudło. Wyławiam z kieszeni lepką torebkę, otwieram ją i wsypuję żółtawe kryształki do jego napoju. Mieszam palcem, aż wszystkie się rozpuszczą.

W tym czasie William zdążył przesunąć już trzy pudła, potem cztery. Stęka, trochę się poci.

– Aha! – mówi nagle. Pochyla się i wyciąga jakieś pudło stojące z tyłu. Na wierzchu widnieje zielony napis ALBUMY. Odwraca się w moją stronę, twarz mu błyszczy. Uśmiecha się do mnie, cały zadowolony z siebie. Zadowolony, że udało mu się przepchnąć parę pudeł, podczas gdy jego pasierbica nie żyje. Chce mi się rzygać. Mam ochotę przywalić mu w ten jego durny łeb.

– Znalazłem – oznajmia. Stawia pudło na kanapie. – Są tutaj.

– Dziękuję – odpowiadam. I z uśmiechem oddaję mu kubek.

Otwieram karton i wyciągam pierwszy album z brzegu. Potem patrzę, jak podnosi kubek do ust i bierze pierwszy łyk.

„Zanim podrzucimy mu towar od Tiga – wytłumaczyła mi wcześniej Delia – trochę proszku musi znaleźć się w jego organizmie...”.

Wskazuje gestem niewielką kanapę.

– Usiądź sobie, jeśli masz ochotę – mówi i bierze kolejny łyk.

Moje wnętrzości płoną, czuję nagle wariackie uderzenie ciepła, zupełnie jakbym to ja wypijała właśnie napój pełen amfy.

William stoi nade mną, obserwuje mnie. Staram się nie uśmiechać, kiedy kilkoma dużymi łykami wypija całą zawartość kubka i odstawia go na oparcie sofy. Potem przechodzi do kolejnego, niewielkiego pomieszczenia, usytuowanego z boku. Pstryka włącznik i w ostrym, żółtym świetle żarówki ukazuje się biała lodówka, wyglądająca na całkiem nową. Wyciąga z niej dwie brązowe butelki. Wraca, siada obok na kanapie i wyciąga jedną z butelek w moją stronę.

– Teoretycznie nie powinienem w ogóle pić piwa z powodu cukrzycy. Ale w sumie ty też nie powinnaś – mówi. – Prawda? – I dorzuca: – Nikomu nie powiem, jeśli ty nie powiesz.

Znowu ten uśmiech. Mam ochotę złapać butelkę i roztrzaskać ją na jego nosie. Wyobrażam sobie ten łomot, trzask kości, krew zalewającą jego grube, suche

usta.

– Dzięki – mówię. Kiedy podaje mi piwo, jego palce delikatnie muskają moje.

Czuję ciężar albumu na kolanach. Czuję zimno butelki w dłoni. Czuję jego oddech. Jest teraz bardzo blisko mnie. Zastanawiam się, jak długo powinnam tu siedzieć. Wpatruję się w zdjęcie Delii, na którym ma jakieś pięć, sześć lat. Jej włosy są ciemne i kręcone, uśmiech szeroki, a ramiona rozpostarte w powietrzu, jakby chciała krzyknąć „ta-daaa!”.

William zagląda mi przez ramię.

– Boże drogi, człowiek widzi takie zdjęcie i... To potworne, że wszystko tak się skończyło.

W jego głosie czuć tak autentyczny smutek, taki straszny ból, że przez sekundę mogłabym nawet udawać, że jest prawdziwym człowiekiem, z prawdziwymi uczuciami.

– Ciągle się zastanawiam, co się, do cholery, stało?

Dobrze wiesz, co się stało, gnoju jeden.

– Nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliscy. Sądzę, że w pewnym sensie nienawidziła mnie za to, że byłem z jej matką, że zająłem miejsce jej ojca...

Albo, kurwa, za to, że próbowałeś ją zgwałcić.

– Nie zgadzaliśmy się w wielu kwestiach, to prawda. Ale zawsze mimo wszystko czułem, że jest dla mnie jak córka, nawet jeśli ona uważała inaczej. Była członkiem mojej rodziny...

Nie wiem, kogo właściwie próbuje przekonać, mnie czy siebie samego, ale nie mogę tego słuchać. I wtedy nagle moja pamięć przywołuje wspomnienie, które dawno już zdążyłam zapomnieć: to było gdzieś w połowie ósmej klasy, nocowałam wtedy u Delii. Zeszłam na dół do kuchni w środku nocy, po szklanek wody, i William też tam był. Miałam na sobie tylko koszulkę nocną, pożyczoną od Delii – jasnoczerwoną w czarne gwiazdki. Miałam gołe nogi i mimo że koszula była dłuższa niż spódniczki noszone przez niektóre dziewczyny z naszej szkoły, nagle poczułam się kompletnie naga. Był to pierwszy raz, kiedy byłam z nim sam na sam w jednym pomieszczeniu. Pamiętam, jak uśmiechnął się

na mój widok i powiedział „co za spotkanie”, czy coś w tym stylu. Pamiętam, jak zaśmiałam się zakłopotana. „Przyszłam tylko po wodę”, rzuciłam w odpowiedzi.

A wtedy on wzruszył ramionami, a potem, z jakiegoś powodu, mrugnął do mnie. A ja pomyślałam w tamtej chwili, że to miłe z jego strony, że tak naprawdę jest chyba jednak fajniejszy, niż przedstawiała go Delia. Ale jednocześnie czułam coś na dnie żołądka, jakby mały, twardy kamień.

Szklanki stały u nich zawsze na wyższej półce. Czułam, jak koszula nocna podjeżdża mi do góry, kiedy sięgałam po jedną. Zarumieniłam się i starałam się obciągnąć ją tak, żeby zasłaniała mi pupę. A potem podeszłam do zlewu i odkręciłam kran. Czułam ciarki na całym ciele. Kiedy się odwróciłam, William opierał się o blat, patrząc prosto na mnie, z rękami w kieszeniach. Miałam w planach małą przekąskę, ale nagle poczułam, że zupełnie nie jestem głodna. Chciałam jak najszybciej stamtąd uciec. Tak samo jak chciałabym uciec stąd teraz.

– Wydaje mi się, że mam już wystarczająco dużo zdjęć – mówię i wstaję. Mrugam, jakbym chciała odgonić napływające łzy.

– Nie chcesz wybrać nic z tych tutaj? – pyta.

– Nie – odpowiadam szybko. – Wydaje mi się, że fotografie z tamtych albumów z góry nam jednak wystarczą.

– Mogę ci pokazać jeszcze inne przedmioty, które do niej należały – mówi. – Pozbywamy się jej rzeczy, ubrań i innych takich. Jej matka prosiła, żebym się tym zajął, bo dla niej przeglądanie tego wszystkiego byłoby zbyt trudne. Wszystko leży w garażu, może chciałabyś wziąć jakieś pamiątki albo...

Słysząc desperację w jego głosie. Nie chce, żebym szła. Żona wyjechała, pasierbica nie żyje. A ten chory zbok chce, żebym została z nim na wspominki i piwko.

– Nie – odpowiadam. – Dziękuję. Będę... – Wskazuję na schody. Ledwo jestem w stanie na niego patrzeć. – Będę lecieć.

– Miło z twojej strony, że wpadłaś – mówi, a jego głos jest dziwnie

przytłumiony, zupełnie jakby miał się zaraz popłakać, ale nie jestem na tyle blisko, żeby dostrzec wyraz jego twarzy.

Idę powoli, aż docieram do szczytu schodów. Odwracam się. Album ze zdjęciami leży teraz na jego kolanach. Wpatruje się w nie i, przysięgam na Boga, gładzi jedną z fotografii.

Odstawiam butelkę na stół i jak najszybciej wychodzę z tego domu. Oddycham głęboko chłodnym, czystym powietrzem, szczęśliwa, że jestem już daleko od Williama.

Wyobrażam go sobie, jak siedzi w piwnicy z tymi wszystkimi zdjęciami, robiąc z nimi cholera wie co, podczas gdy narkotyki rozprzestrzeniają się po jego organizmie.

Zasługuje na więzienie za to, co zrobił Delii. I niedługo może tam wyląduje.

Rozdział 39

Delia

Krążę nerwowo pod drzwiami, rozpalona do białości. Podskakuję na palcach, kopię nogami w powietrzu, biegam w miejscu. Spalam się.

– Kochanie, usiądź koło mnie – mówi Ashling.

Podchodzi do mnie od tyłu, kładzie ręce na moich ramionach i zaczyna mnie masować. Odsuwam się od niej, a z ust mimo woli wyrywa mi się zniecierpliwione warknięcie. Ashling robi się zawsze strasznie zaborcza, kiedy jest zazdrosna – klei się do mnie jak lep. To naprawdę obrzydliwe.

Przerywa, wraca na kanapę i wsuwa pod pupę swoje długie nogi. Jej policzki są zaróżowione. Zraniłam jej uczucia, ale ona próbuje udawać, że wcale tak nie jest. „Nie boję się ciebie – oznajmiła mi, kiedy się poznałyśmy. Wcale nie jesteś dla mnie zbyt popieprzona”. Powiedziała to niemal z dumą. Pozwoliłam, żeby uwierzyła, że tak naprawdę jest.

– Czym się jeszcze martwisz? Przecież Seb SMS-ował. Wróciła do samochodu. Wszystko poszło gładko. Zaczęło się. Lont już się pali...

Zaczęło się.

Podchodzę do niej i całuję ją tak, jakbym naprawdę miała na to ochotę.

– Przepraszam, kochanie – mówię, chociaż tak naprawdę wcale nie jest mi przykro. Ale tak jest łatwiej. Potrafi jej nieźle odwalić, kiedy jest zazdrosna albo czuje się niepewnie. Już nieraz widziałam ją w akcji. Nie mam teraz głowy do tego, żeby się z nią męczyć.

Opiera się przez krótką chwilę, a potem obejmuje moją szyję tymi swoimi chudymi ramionami i tuli się do mnie. A ja zmuszam się do tego, żeby siedzieć nieruchomo, mimo że odczuwam przy tym fizyczny ból.

Upominam samą siebie, że przecież dużo jej zawdzięczam. Już zawsze będę miała wobec niej dług. Pamiętam tamtą imprezę u Tiga. Byłam totalnie naćpana cholera wie czym, kiedy zobaczyłam jej twarz. Była jak falująca bez końca ciecz. Jej oczy przypominały drżącą rękę, przelewającą się to w jedną, to w drugą stronę. Słowa same wyturlały się z moich ust. Słyszałam je, zaskoczona, że nadal potrafię mówić zdaniami, które ktokolwiek z zewnątrz jest w stanie zrozumieć. „Mój pieprzony ojczym”, powiedziałam. „Zrobił mi to”. Myślałam, że to będzie dla niej wstrząsające. Chciałam, żeby było. Ale ona nie zachłysnęła się, zszokowana. Wcale nie opadła jej szczeka. Pokiwała tylko głową, jakby rozumiała. I mimo że byłam wtedy kurewsko naćpana, dotarło do mnie, że te wielkie, cudowne oczy widziały naprawdę koszmarnie rzeczy.

I wtedy odpowiedziała: „Być może będę mogła ci pomóc”. Ale wtedy nie powiedziała nic więcej. Myślałam, że chodzi jej o tamtą noc, że po prostu przyniesie mi wodę i więcej tych pigułek, które wcześniej zjadłam. Nie byłam jeszcze gotowa na zjazd.

Wtedy nie mogłam choćby przeczuwać, co naprawdę miała na myśli. Nawet później, kiedy już wszystko mi wyjaśniła, nie do końca pojmowałam sytuację. Ona dała mi wszystko, muszę cały czas sobie o tym przypominać. Nie mogę nigdy o tym zapomnieć.

Dlatego teraz siedzę z nią na kanapie, mimo że jedyne, na co mam ochotę, to stać pod drzwiami i czekać na moją Junie, i zmuszam się do przyłgnięcia wargami do warg Ashling.

Ashling jest jak złota rybka albo mały szczeniaczek. Pamięta tylko to, co zrobię jako ostatnie. Teraz liczy się tylko ten pocałunek. Ale pod jej skórą kryje się cała plątanina rozgrzanych elektrycznych kabli. Lepiej z nią nie zadzierać. Z nikim z tej trójki.

Gładzę ją po plecach, przytulam się do niej. Zamykam oczy i czuję, jak buzuje we mnie adrenalina, dopóki nie słyszę podjeżdżających pod dom samochodów. Niemal skaczę pod sam sufit, jak balon wypełniony czarnym dymem. *PUFFF!*

– Przyjechali! – krzyczy Evan. I wbiega do salonu. On też jest

podekscytowany, ale z innego powodu. Jest dumny z tego, co zrobił.

Kilka sekund później wchodzi do środka. Sebastian tylko bez słowa kiwa głową. Oczy June lśnią jaśniej niż zwykle. Jej twarz jest zarumieniona.

– Jest obrzydliwy – wyrzuca z siebie. – Ledwo wytrzymałam siedzenie z nim w jednym pomieszczeniu. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym jak... Miałam ochotę go zabić.

„Miałam ochotę go zabić”.

Wdech, wydech, czas staje w miejscu. Zachowuję kamienną twarz. Wdech, wydech, wdech, wydech. Ufff. Czas znowu zaczyna płynąć.

Czuję przypływ ulgi i radości, i iskierkę czegoś jeszcze.

– Dziękuję, Junie – mówię. – Dzięki, dzięki, dzięki.

Kręci głową.

– Ja... Mój Boże. – W ręku trzyma kilka zdjęć. – Wzięłam je dla ciebie, gdybyś chciała. To znaczy w sumie to musiałam je wziąć, ale jeśli chcesz je zachować...

Zerkam na swoje zdjęcia z czasów, kiedy byłam małym dzieckiem. Ja i mama, nasz stary dom, wszystko z mojego poprzedniego życia. Nie czuję zupełnie nic. Mimo wszystko po nie sięgam, a potem kładę je na stole.

Jestem już gotowa na to, co nastąpi. Bo teraz nadszedł czas, żeby powiedzieć jej o prezencie. Czuję się strasznie podekscytowana.

Sebastian znowu rzuca June krótkie spojrzenie, inne od tych, które widziałam u niego wcześniej.

– Mogę jej powiedzieć? – pyta Evan. Kiwa głową i szczyrzy zęby w uśmiechu. – Proszę, pozwólcie mi powiedzieć.

Właśnie Evan to wymyślił. Kiedy go poznałam, wydał mi się taki słodki i niewinny. Szybko zorientowałam się jednak, że to tylko pozory. Bo wnętrze Evana składa się z całego zła, którego sam doświadczył – zbierał to wszystko i chował w sobie. Trzymał to za zaciśniętymi szczękami, pozwolił, żeby zgęstniało i stwardniało. Za jego słodkim uśmiechem kryje się demon. I chociaż wcale się go nie boję, są momenty, w których zastanawiam się, czy przypadkiem

jednak nie powinnam.

Tak się składa, że Evan jest również geniuszem komputerowym, specem od hakowania, pikseli, komputerów, wszystkich tych rzeczy, o których nie mam zielonego pojęcia i które gównu mnie obchodzą, ale które zdecydowanie przydają się, jeśli twoim głównym życiowym celem jest sianie fermentu i zamętu, jak dzieje się w przypadku Evana. To był jego pomysł. Wykonanie zresztą też należało do niego. Ale to ja powiedziałam, że powinniśmy zrobić coś dla niej, i to ja wybrałam naszą ofiarę. I to jest właśnie prezent dla niej, ozdobiony wielką złotą kokardą. Prezent dla niej, dla mnie. Dla nas.

– Jasne, mów – zgadzam się. Bo w sumie tak naprawdę wobec niego też mam dług.

– Podczas gdy ty zajmowałaś się rozpierdzielaniem życia Williama, my rozpierdzielaliśmy czyjeś inne życie. I to specjalnie dla ciebie – oznajmia.

June robi śmieszoną minę.

– O kim mówicie?

– O Ryaniu.

Jej usta układają się w malutkie „O”.

– Musimy dbać o siebie nawzajem – oznajmia Evan i jest to tekst, który idealnie pasuje do tej chwili, nawet jeśli on sam o tym nie wie. – A poza tym dobrze się przy tym bawimy.

Rozumiem moją Junie. Wiem, jak rozpaczliwie zawsze chciała być częścią jakiegoś „my”. Nawet gdy byłyśmy tylko we dwie, ja i ona. A teraz jest nas więcej. *Możesz być częścią „nas”*, myślę, ale nie mówię tego na głos.

– No to co zrobiliście? – pyta.

– Kojarzysz pewnie, że Ryana zawsze podniecało zoofilskie porno, szczególnie ze zwierzętami gospodarskimi, różne naprawdę pokręcone rzeczy, ale bardzo się tego wstydził i nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział? – odzywam się.

– Zaraz, co takiego? – June jest tak zdezorientowana, że to aż urocze. – O czym ty mówisz? To nieprawda.

– Ach tak? – wtrąca Evan. – Ale czy na pewno?

Unosi jedną brew, włochatą jak gąsienica. Na jej końcu czai się wielki pryszcz.

June kręci głową. Nadal nic nie rozumie. Ekscytacja Evana niemal wibruje w powietrzu. Biedak zaraz eksploduje, jest już na granicy wytrzymałości. Zerka na mnie, a ja kiwam głową. *Dalej, gadaj, ty mały szalony potworze.*

Jego głos brzmi dziwnie piskliwie, a między słowami nie ma przerw. Gada, gada, gada, jakby był naspidowany. W zasadzie jest – dowalanie ludziom to dla niego pewnego rodzaju narkotyk.

– No to w takim razie jakim cudem przypadkowo wrzucił na Twittera link do swojego profilu użytkownika na pewnym tajnym forum internetowym, na którym to forum, notabene, postował przez ostatnie dwa lata, a które specjalizuje się w zdjęciach ukazujących, jakby to ująć, *wielką zażyłość ze zwierzętami*, jeśli wiesz, co mam na myśli, którego to linka skasował godzinę później, po tym, jak już te wszystkie plotkarskie sucze, które wcześniej z chęcią by mu obciągnęły, zobaczyły to i wyrzygały swoje niezjedzone obiady? I jakim cudem, na wypadek gdyby ktokolwiek wątpił jeszcze, że RyRy99 to w rzeczywistości Ryan Fiske, całkiem niedawno zapostował bardzo, bardzo zbereżne zdjęcie, na którym dokładnie widać nie tylko jego twarz, lecz także inne części jego ciała, hmmm? Jak myślisz, Junie?

Oczy Evana płoną intensywnością demona, który w nim żyje. Mam ochotę powiedzieć „przestań, nie przestrasz jej, ty mały gnojku”.

June na przemian zamyka i otwiera swoje słodkie usta, jak złota rybka. Mam ochotę wpakować jej palce do gardła, zanurzyć rękę tak głęboko, aż dosięgnę jej serca. Biorę głęboki oddech i opieram ręce na bokach.

– Nic z tego nie rozumiem. Czy to prawda? – odzywa się wreszcie. – Naprawdę zrobił te wszystkie rzeczy?

– Zdefiniuj słowo „prawda” – odpowiada Evan. – Bo aktualnie jest to prawda, i to jak cholera.

– Ale jak udało ci się sprawić, żeby wyglądało na to, że pisze tam od dwóch

lat? I to zdjęcie...

– O Boże, daj spokój, to było banalne. Nawet dzieciak by to potrafił.

Ale widzę doskonale, że konsternacja June strasznie go jara. Cóż, czasem niemożliwe staje się możliwe. Umieramy, obracamy się w popiół, wracamy do życia. Podróżujemy w czasie, sprawiamy, że twarda stal przeszłości roztapia się, żebyśmy mogli ją nagiąć.

– O mój Boże – mówi June. Ale wcale nie wygląda na zadowoloną. Chcę, żeby się uśmiechnęła. *Oczekiwałam*, że zobaczę na jej twarzy uśmiech. W końcu to naprawdę śmieszne. Mija kilka sekund, a potem jej usta układają się po kolei w każdy możliwy kształt, żeby na końcu zastygnąć w ledwo widocznym, nieprzekonanym uśmieszku. Ale ja znam ją lepiej niż ona sama i prawda jest taka, że jej się to podoba. Jest zachwycona. June jest kochana niemal do szpiku kości, ale jednak *niezupełnie*.

– To... to jest... Jak to w ogóle... – Kręci z niedowierzaniem głową. Ale ja wiem, że w głowie ma teraz obraz Ryana i jego mdłej, przystojnej twarzy, wykrzywionej ze wstydu i koszmarne zażenowania, dokładnie tak, jak na to zasłużył.

– Evan jest geniuszem, po prostu – mówię.

Evan wzrusza ramionami i uśmiecha się szeroko. Twarz June znowu wykrzywia grymas.

– Przyznaję, że to śmieszne, ale... czy on naprawdę na to zasługuje? W końcu nic takiego strasznego nie zrobił. Trochę cię popodrywał, to wszystko. No a w sumie... przecież trudno mu się dziwić, prawda?

Czuję w oku niekontrolowany tik. Zmuszam się do uspokojenia oddechu, wdech, wydech, wdech. Wcale jej się to nie podoba. Wcale tego nie rozumie. Byłam tym taka podekscytowana. Jest mi niedobrze. Czuję, że Ashling gapi się na nas. *Przestań się, kurwa, gapić*.

– On prawie nas rozdzielił, Junie – mówię. Próbuję zachować spokojny ton głosu, mimo że w moich wnętrznościach co i rusz następuje zwarcie, *bzzzt bzzzt bzzzt*. – Ma szczęście, mogliśmy go załatwić jeszcze gorzej.

– Poza tym – wtrąca Evan. – I tak jest już za późno. Kucyki niosące plotki wydostały się na wolność. Galopują coraz dalej i dalej. Już ich nie powstrzymam, nawet gdybym chciał.

Twarz June jest cała czerwona.

– Zasłużył na to – mówię. A w głowie dopowiadam sobie resztę, na co dokładnie zasłużył i dlaczego. A potem zmuszam się do uśmiechu, wyginając kąćki ust w grymasie zadowolenia, którego kompletnie w tym momencie nie czuję. – Nie myślmy już o tym więcej. Mamy jeszcze jednego eksa, którym musimy się zająć.

To mówiąc, pokazuję jej list do Jeremiaha. Ten rzeczywiście napisałam sama. Pełno w nim osobistych szczegółów, o których wiedział tylko on. Poniżej Ashling dopisała jeszcze krótki liścik, w którym wyjaśniała, że przesłałam to do niej i poprosiłam ją o przekazanie jemu.

– Dziś go nadamy, jutro do niego dojdzie. I sprawa załatwiona.

June wygląda na przytłoczoną, jakby działo się zbyt dużo rzeczy naraz. Potrzebuje mnie, żebym wyjaśniła jej, co ma myśleć. I to właśnie robię. Kiwam powoli głową. *Jest okej, wszystko w porządku*, mówi moja głowa. I wreszcie June też kiwa głową w odpowiedzi. Zachowuję niezmienny wyraz twarzy, chowam w środku swój szeroki, promienny uśmiech.

Oj, moja mała Junie, tylko poczekaj...

Rozdział 40

June

Czasami w głowie kotłuje się tyle myśli, że człowiek nie może się skoncentrować na żadnej z nich. Czasem jedyne, co można zrobić, to siedzieć i czekać. Więc czekamy.

Na co? Nie pytam. Może boję się spytać.

Sebastian siedzi przy kuchennym stole i pisze coś na laptopie. Evan i Ashling grają w Piotrusia. A ja i Delia siedzimy razem na kanapie. Ona bawi się moimi włosami, zaplatając i rozplatając warkocze, tak jak robiła to kiedyś. Mam zamknięte oczy. Tak dawno nikt nie bawił się w ten sposób moimi włosami, bo tylko Delia to robiła. To cudownie relaksujące uczucie, wprowadza mnie w swoisty trans, ten błogi stan tuż przed zaśnięciem. Delia szarpie mocno jednym z kosmyków.

– Zrobiłam ci supeł – szepcze mi do ucha, tak jak zwykle. A ja jak zwykle wiem, że nie ma tam żadnego supła.

Rozlega się cichy dźwięk, *biiip-biiip-biiip*. Delia gwałtownie wciąga powietrze. Otwieram oczy. Wszyscy podnoszą wzrok. I od razu wiem, że to właśnie na ten moment czekaliśmy. Evan bierze ze stołu telefon, jeden z trzech leżących przed nim. Stuka palcem w ekran, kiwa głową.

– Tak jest, mili państwo, Willy wyruszył w podróż – oznajmia. Wskazuje na ekran, gdzie widać małą czerwoną kropkę przemieszczającą się po mapie. Zerka na mnie, bo jestem jedyną osobą w pokoju, która nie wie, co się dzieje. – Chip RFID¹ – wyjaśnia. – Kiedy byłeś w środku, Seb przeczepił go do jego samochodu.

Patrzę w stronę Sebastiana, który wzrusza ramionami.

– Kieruje się na południowy wschód, na Ridgefield... – zwraca się do Delii. – Masz pomysł, dokąd może jechać?

– Chyba na siłownię – odpowiada.

Ashling szczyrzy zęby.

– Może nagle, nie wiadomo skąd, poczuł niesamowity przypływ energii i nie wie, co z tą energią zrobić... – Patrzy na mnie, a jej usta powoli rozciągają się w uśmiechu. – Ciekawe, co mogło się stać.

Odwzajemniam uśmiech.

– Zazwyczaj nie przesiaduje tam za długo – mówi Delia. – Zazwyczaj pewnie wali konia w saunie i tyle. – Jej głos jest twardy, ale pobrzmiwa w nim również nutka strachu.

Nagle jednak ogarnia mnie uczucie całkowitego uwolnienia od lęku. Czuję się wystarczająco silna za nas obydwie.

– No dobra – mówi Sebastian – w takim razie do dzieła.

Kilka minut później jesteśmy w furgonetce i wjeżdżamy na parking klubu Brentwood Fitness. Nikt się nie odzywa. Wszystkich przepelnia teraz jakaś nieugięta powaga. Jest w nas wszystkich.

Powoli robimy kółko.

– Tutaj. – Delia stuka kłykiem w szybę, wskazując srebrne audi, które ja też rozpoznaję. Samochód Williama. Ashling parkuje kilka miejsc dalej.

– My zostajemy tutaj – mówi do mnie Sebastian. – Stoimy na czatach, a jak będzie trzeba, odwracamy uwagę. Ale tym razem raczej nie będzie to potrzebne. To zajmie tylko chwilę.

Ashling schyla się i wyjmuję spod siedzenia cienki drut i łom. Delia naciąga szalik, tak żeby zasłaniał pół jej twarzy, i nasuwa kaptur prawie na same brwi. Potem wysiada razem z Evanem i Ashling. Parking jest praktycznie pusty, jeszcze za wcześnie na falę ludzi przyjeżdżających poćwiczyć po pracy. Serce mi łomocze. Po tym, co się stanie, nie będzie już możliwości odwrotu. Może nigdy jej nie było.

Obserwuję wszystko przez brudne szyby. Winyłowe siedzenie jest zimne, a mimo to pocą mi się dłonie i przyklejają do jego powierzchni.

Sebastian kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Spokojnie – mówi. Pochyla się do przodu między siedzeniami, uruchamia silnik, włącza ogrzewanie i radio. Przeskakuje kilka stacji, aż wreszcie natrafia na spokojną muzykę klasyczną, fortepianową. Rozsiada się wygodniej i zamyka oczy. – Po prostu słuchaj – mówi, a ja patrzę na niego, na jego szczękę, usta. Ujmuje moją dłoń, jakby to było zupełnie normalne, jakby robił to już wiele razy. Ściska ją. Odwzajemniam uścisk. Drugą ręką, nadal nie otwierając oczu, gra na niewidzialnych klawiszach na swojej nodze.

– Umiesz grać na pianinie? – pytam. Serce wali mi tak strasznie mocno.

Otwiera jedno oko i zerka na mnie.

– Miałaś słuchać z zamkniętymi oczami, ale tak, umiem. – Jego twarz jest spokojna i nieruchoma. Muzyka przybiera na sile. Znowu ściska moją dłoń. Czuję jego ciepło.

Patrzę, jak Ashling bierze drut i wsuwa go w szparę między oknem a drzwiami samochodu. Porusza nim chwilę na różne strony i już po chwili drzwi audi są otwarte. Nagle rozlega się przenikliwy jazgot – alarm samochodowy Williama. Ale Evan wstukuje coś w telefonie i po chwili dźwięk milknie.

Wtedy Delia otwiera drzwi od strony kierowcy. Wyjmuje z kieszeni płaszcz brązową papierową torbę i wsadza ją pod siedzenie. Zatrząskuje drzwi, zamyka samochód. Evan znów majstruje coś przy telefonie, może z powrotem aktywuje alarm.

Evan wyciąga łom najpierw w stronę Ashling, a potem Delii, która macha ręką, jakby chciała powiedzieć: „ależ proszę, nie krępuj się”. Evan uśmiecha się – słodkim, niemal frywolnym uśmiechem – bierze zamach swoim wątym ramieniem, niczym tuż przed uderzeniem piłki do softballa, i wali w grubą plastik tylnego światła, aż roztrzaskuje się na kawałki i spada na ziemię.

Ashling całuje Delię. Evan opiera koniec łomu o asfalt i wykonuje wokół

niego kółko. Potem cała trójka rusza z powrotem w naszą stronę. Ashling wyciąga telefon i dokądś dzwoni.

Sebastian gładzi kciukiem wierzch mojej dłoni.

– Nadal ich obserwujesz – mówi, nie otwierając oczu.

– Być może – odpowiadam. – Co oni robią? Z kim rozmawia Ashling?

– Pewnie z policją – wyjaśnia Sebastian. – Informuje ich o samochodzie z rozwalonym światłem i z czymś podejrzanym pod siedzeniem. Ale lepiej nie wiedzieć wszystkiego. Jeszcze się przekonasz...

Ashling rozłącza się i uśmiecha szeroko. Potem znowu całuje Delię. Wreszcie zamykam oczy. Chwilę później drzwi samochodu się otwierają. Sebastian wypuszcza moją dłoń. Ashling i Delia siadają z przodu, Evan wślizguje się na tylne siedzenie obok mnie. Przez moment nikt nic nie mówi. Ashling rusza. Delia odwraca się i patrzy na mnie. Uśmiecha się, wyciąga dłoń i ściska moje kolano, a ja wiem, co ten gest oznacza – oznacza „dziękuję”. Moje serce przepełnia wzruszenie.

Delia odchyła się na swoim siedzeniu.

– Pa, pa, Willy – mówi. Do nas, do siebie, do nikogo. A potem włącza radio.

1. RFID (ang. Radio-frequency identification) – system zdalnej identyfikacji radiowej. [\[wróć\]](#)

Rozdział 41

June

Dopiero po kilku sekundach mój mózg rozpoznaje ten dziwny dźwięk, coś jakby chrząkanie albo prychnanie. To rżenie. Adam Bergan i jego kumple rżą na widok Ryana.

Rozpoczął się nowy dzień, jestem w szkole i wszystko staje się rzeczywistością.

Przez cały okres, kiedy się spotykaliśmy, ani razu nie widziałam Ryana zakłopotanego, choćby odrobinę. Żeglował po spokojnych wodach od jednego miejsca do drugiego, od imprezy do imprezy, z tą totalną pewnością siebie, jaką daje człowiekowi bycie bogatym, wysokim, przystojnym, wysportowanym, a także posiadanie cudownej, kochającej rodziny. Z pewnością siebie, która wydaje się wręcz niestosowna, jeśli wziąć pod uwagę, jak niewielu osobom przypada w udziale taki pakiet. Ale teraz, w środowy poranek, stoję na szkolnym korytarzu i słyszę chór zwierzęcych odgłosów. A Ryan wygląda tak, jakby miał się zaraz zapaść pod ziemię ze wstydu.

Kilka pyskatek pierwszoklasistek macha w jego stronę językami. A potem słychać „iiiihaaa” i Chris McGimpsey, przemierzywszy galopem korytarz, zatrzymuje się tuż przed Ryanem.

– Prrrroszę, mój niegrzeczny farmerze, ujeżdżaj mnie, jak tylko ty potrafisz!

Jak szybko wszystko się zmienia. Jak szybko ludzie mogą się zmienić.

– Pierdolę cię – mówi Ryan tonem, który ma brzmieć lekko. A potem kręci głową w sposób, który ma wyglądać na swobodny. Ale widzę po nim, że wcale nie czuje się lekko i swobodnie. Wydaje mu się, że jeśli nie będzie się tłumaczył, nie doleje oliwy do ognia i uda mu się ten ogień stłumić. Tyle tylko, że niektóre

płomienie nie potrzebują niczego, żeby płonąć i płonąć, i płonąć bez końca.

– Pierdolisz mnie? E, nie, chyba nie – mówi Chris ze śmiertelną powagą. – W końcu ty wolisz czworonogi – wypala, a potem rusza galopem przed siebie.

Ryan wzrusza ramionami, jakby nic go to wszystko nie obchodziło, ale potem napotyka mój wzrok i w jego spojrzeniu widzę wszystko – strach, wstyd, konsternację, autentyczny ból. Przez chwilę skręca mnie z poczucia winy. Ale nic nie mogę zrobić. Nie prosiłam o to, a teraz nie mam jak tego zatrzymać. Poza tym, bez względu na to, czy Ryan zasłużył sobie na to, czy nie, o wiele gorsze rzeczy przydarzają się ludziom, którzy jeszcze mniej na to zasługują. Każdego dnia wydarzają się potworne rzeczy.

Na lekcji wychowawczej siadam sama. Krista próbuje przyciągnąć moją uwagę. Unikam jej spojrzenia, zakładam słuchawki, nie podnoszę wzroku.

Po wychowawczej czuję wibracje telefonu. MMS z numeru Ashling.

musiałam wysłać, to jest za dobre. Kasuj!!! Xo D

MMS przedstawia zrzut ekranu. Wiadomości na kanale siódmym. Zdjęcie Williama ze strony internetowej szpitala, w którym pracuje. Pod spodem, na pasku, informacja:

„Szanowany chirurg aresztowany za posiadanie metamfetaminy. Wypuszczony za kaucją po zawieszeniu prawa do wykonywania zawodu”.

Jasny gwint. Podziałało.

Przez następne kilka godzin unoszę się nad ziemią. Angielski, historia sztuki. Przerwa obiadowa. Mam ochotę wyjść ze szkoły już teraz, wrócić do nich. Jestem tutaj tylko dlatego, że zdaniem Delii to ważne, żebym zachowała pozory. Ale czy naprawdę byłoby to tak strasznie podejrzane, gdybym urwała się ze szkoły na jeden dzień? Wściekam się na samą myśl o tym, co mnie teraz omija. Chcę być tam z nimi, być częścią tego wszystkiego.

Bo przecież – mój żołądek ściska się na tę myśl – kto wie, jak długo tu jeszcze zostaną?

Pieprzyć to, wychodzę. Delia na pewno zrozumie.

Ruszam w stronę drzwi. Słyszę, jak ktoś woła moje imię. Odwracam się.
Jeremiah.

– Dlaczego ty i Delia przestałyście się przyjaźnić? – pyta. Jego oczy są przekrwione, wygląda tak, jakby nie kładł się od naszego ostatniego spotkania. – Mówiłaś, że jakiś czas temu przestałyście się przyjaźnić, ale nie powiedziałaś dlaczego.

Mając w pamięci naszą ostatnią rozmowę, przeczuwam podstęp. Odpowiadam ostrożnie:

– Po prostu nasze drogi się rozeszły.

– Zła odpowiedź! Próbuj dalej... – mówi. Mięsień na linii szczęki drga mu niekontrolowanie.

– Tak właśnie było.

Ale Jeremiah kręci głową.

– Przestałyście się przyjaźnić, bo przeleciała twojego chłopaka.

– Nie, to nieprawda.

– Ależ tak. Musiałaś się na nich nieźle wkurzyć, co? Twój chłopak posuwa najlepszą przyjaciółkę... Moje pytanie brzmi, kiedy się o tym dowiedziałaś.

– Nigdy – mówię. – Bo to nigdy nie nastąpiło.

– Nie udawaj głupiej – mówi. Biorę głęboki oddech. Muszę zachować spokój.

– Delia i Ryan sypiali ze sobą przez parę ładnych miesięcy, tuż przed tym, jak zacząłem się z nią spotykać. Sama mi o tym powiedziała. Zupełnie jakby była z tego dumna, gadała o tym i gadała, dopóki nie kazałem jej przestać.

– Powiedziała ci, że uprawiała seks z Ryanem?

– Powiedziała, że to jakiś pływak, bogaty i przystojny. Powiedziała mi o tym, kiedy była pijana, chyba chciała mnie podkurwić. Starłem się o tym nie myśleć i nie zastanawiać się, o kogo chodzi. Nie chciałem tego wiedzieć. Ale potem ty powiedziałaś mi o niej i Ryanie. I wszystko złożyło się w całość. To z nim sypiała. Problem polega na tym, że najwyraźniej wcale nie przestali, nawet kiedy była już ze mną...

– Nigdy nie zaczęli! Nie miałam racji. Opacznie zrozumiałam...

Kręcę głową, a tornado w moim żołądku wiruje coraz szybciej i szybciej. Jeremiaś nie przestaje mówić.

– Ja widzę to tak. Na początku wydawało mi się, że kryjesz Ryana. Może ona zaszła w ciążę, a on nie miał ochoty zostać tatusiem. Dostał szau, ale ty, jak ostatnia idiotka, nie chciałaś, żeby poszedł do więzienia, bo nadal go kochasz. Ta wersja prawie mi pasuje, *prawie*. Tylko że przecież Delia bez wahania zrobiłaby skrobankę. Więc zacząłem się dalej zastanawiać, myślałem o tym i myślałem, i w końcu uświadomiłem sobie, że... jest odwrotnie. – Jeremiaś przerywa. Lekko przekrzywia głowę. – Bo tak naprawdę to Ryan kryje ciebie.

Zachowuję kamienną twarz, ale w środku całe moje ciało wibruje. Jeremiaś czeka na moją reakcję. Znowu zaczyna mówić, tym razem wolniej, niemal łagodnie.

– Kiedy powiedziałaś mi o Ryaniu, liczyłaś na to, że go spiorę, prawda? Wykorzystałaś mnie, June. Jak tanią siłę roboczą. Teraz jest to dla mnie jasne. Nie wiedziałem tylko, dlaczego Ryan miałby cię kryć. W końcu nie zależało mu na tobie, inaczej nie zdradzałby cię z twoją przyjaciółką. Gównu go obchodzisz. Ale teraz już kumam. Krył cię, bo dowiedziałaś się o jego mrocznym sekrecie, o jego zboczonych farmerskich ciągotech. Szantażowałaś go, a potem wypuściłaś w świat tamtego linka, może żeby pokazać mu, że nie żartujesz. Zakładam, że jest tego więcej. Jesteś zbyt inteligentna, żeby odkrywać od razu wszystkie karty...

Wpatruję się w niego. Jasna cholera. On naprawdę wierzy w tę idiotyczną historię. On naprawdę w to wszystko wierzy.

– Nie, to zupełnie nie tak – mówię. – Mylisz się kompletnie, co do wszystkiego.

Mam ochotę powiedzieć mu o liście, który niebawem dostanie. Ale, rzecz jasna, nie mogę. Poza tym widzę teraz, że nawet list nie pomoże. Już nie. Jest już za późno.

– Powiesz wszystko policji – stwierdza Jeremiaś. – Jestem pewien, że chętnie z tobą o tym porozmawiają.

To mówiąc, wzrusza ramionami, odwraca się na pięcie i odchodzi. A ja stoję bez ruchu i czuję zżerające mnie od środka płomienie. Mam ochotę wrzeszczeć, krzyknąć mu, że się myli. Ale nic już nie mogę powiedzieć, nic już nie mogę zrobić. Niebawem wszystko rozleci się w drobny mak.

Rozdział 42

Delia

Dawno, dawno temu żył sobie chłopiec o imieniu Trevor. Trevor zrobił coś bardzo złego, ale z dobrych pobudek. Niestety, dla niewłaściwych ludzi te pobudki nie miały żadnego znaczenia, gównem ich obchodziło, dlaczego zrobił to, co zrobił. Zamiast więc siedzieć i czekać, aż go zabiją, Trevor postanowił rozpędzić się samochodem nad klifem i runąć do wody. Jego ciało utonęło w wodzie, tak głęboko, że nie dało się go odnaleźć.

Trevor kochał muzykę, grał na kilku instrumentach, był DJ-em. Przyjaciele puszczali na jego pogrzebie piosenki, występował kwartet smyczkowy, ktoś grał na gitarze elektrycznej. Urnę z jego imieniem wsadzono do dziury w ziemi. Ale to był symboliczny pogrzeb, bo w urnie nic nie było. „Jest tak samo pusta jak moje serce”, powiedziała jego matka.

Teraz ten chłopiec ma na imię Sebastian.

I dziś Sebastian zrobił na swoim laptopie świetny remiks.

Szanowany chirurg, sza-sza-szanowany chirurg. Met-met-metamfetaminy. Głos prezenterki został śmiesznie zmodyfikowany, a na zmontowanym klipie widać Williama, który raz po raz, w rytm muzyki, pochyla głowę, żeby uciec od kamery. Oglądamy to w kółko. Naprawdę wpada w ucho! Wszyscy mamy głupawkę. Ashling tańczy z rękami wysoko nad głową, kręci tym swoim idealnym tyłkiem. Pochylam się i daję jej klapsa. Ashling chichocze. Jesteśmy naćpani naszą władzą i poczuciem słuszności poczynań.

– To mi się chyba nigdy nie znudzi – zwracam się do wszystkich i do nikogo. Ale nie czekam na czyjąkolwiek odpowiedź. Teraz jest czas na zabawę. Ja martwię się tym, co nastąpi potem. *Ale najważniejsze jest uzasadnienie. Tylko*

to się liczy.

Nie musiałam się zbytnio wysilać, żeby przekonać ich, jaki musi być nasz następny krok. Ashling zgodziła się od razu – wręcz uznała to za swój własny pomysł. Evan też nie oponował. Z Sebastianem było trochę trudniej, ale ubrałam to w takie słowa, żeby zrozumiał. „A co, jeśli urodzi im się dziewczynka? – spytałam. – Co wtedy?” To wystarczyło.

Ale jak na razie nie myślimy o tym. Piosenka dobiega końca.

– JESZCZE RAZ! – woła Ashling. A Sebastian niemal się uśmiecha. Zerka w stronę drzwi. Wiem, że on też czeka na Junie. Cóż, koleś, lepiej ustaw się w kolejce. Stawaj w kolejce, do cholery.

I wtedy następuje ten moment. Czuję ją, zanim jeszcze się pojawia, jasne, błękitne światełko w mojej piersi, rozjaśniające mroczne zakamarki mojego wnętrza. Wchodzi do domu nieco przed czasem.

– Junie! – wołam. Mój głos jest donośny i ostry. Tak łatwo ją przytłoczyć, muszę na to uważać, nie mogę tego robić. Nie zarzucam jej ramion na szyję, mimo że mam na to wielką ochotę. Zresztą Ashling patrzy.

Ale kiedy Junie zwraca się w moją stronę, wyraz jej twarzy mówi wszystko, a ja czuję w środku mały, tłący się płomień, ale ten niedobry płomień, ten przerażający, który nie zawsze jestem w stanie kontrolować. Staje na środku pokoju, bierze głęboki wdech.

– Jeremiaś myśli... On myśli, że to ja cię zabiłam – mówi głucho, niskim, przerażonym głosem. A ja czuję zalewającą mnie ulgę. Myślałam, że stało się coś *naprawdę* złego. Jeremiaś to paproch, mucha na ścianie. Świeczka, którą łatwo zdmuchnąć.

– Wszystko w porządku... – uspokajam ją. Mam ochotę przyciągnąć ją do siebie i pogłaskać jak małego, słodkiego króliczka.

– Nie, ty nic nie rozumiesz – przerywa. Patrzy na mnie oczami wielkimi jak spodki. Jest totalnie spanikowana, jeszcze bardziej, niż mi się na początku wydawało. Czuję pod skórą jej emocje. – Powiedział, że pójdzie na policję.

Przyciągam ją do siebie. Cała się trzęsie. Jej ciało jest zimne. Pozwalam, żeby

rozgrzało ją ciepło mojego wewnętrznego ognia.

– Kompletnie mu odbiło. Powiedział mi... – urywa, jakby wcale nie chciała powiedzieć tego, co za chwilę powie.

– Co takiego? – pytam i teraz ja też się boję, boję się, że wiem, o co spyta, i boję się, że wcale nie wiem.

– Powiedział mi, że zanim zaczęłaś się z nim spotykać, sypiałaś z Ryanem. Powiedział, że sypiałaś z jakimś pływakiem, który był bogaty i przystojny, że tak mu kiedyś wyznałaś, a on założył, że to Ryan. Ale czy to prawda? Chodzi o tego pływaka?

Nieskładnie wypluwa z siebie słowa. Ale najgorsza jest jedna rzecz, i to właśnie ona mnie przeraża: June mówi, że Jeremiahowi odbiło, ale wcale tak nie uważa, w każdym razie niezupełnie. Boi się nie tylko policji i śledztwa. Boi się, że Jeremiah może mówić prawdę. Ogień w moim wnętrzu jest coraz większy, płonie coraz mocniej. Muszę przestać oddychać, tlen tylko pogorszy sprawę. Zamykam oczy. Czekam, aż krew zacznie pulsować mi w uszach, a ciało zacznie wrzeszczeć, błagając o powietrze. Zdarzało mi się już zemdleć, kiedy próbowałam stłumić ten swój wewnętrzny ogień. Czuję, jak słabnie, kurczy się. Widzę już przed oczami mgłę, więc wreszcie ponownie otwieram usta.

– On kłamie – mówię, a mój głos brzmi prawie jak normalny głos z normalnych ust. – Musisz mi uwierzyć. Skoro wydaje mu się, że to ty mnie zamordowałaś, może po prostu chce cię zdenerwować. Ma nadzieję, że się załamiesz i coś wygadasz. Ale *ja się tym zajmę*. Jeremiah nie może cię skrzywdzić.

Tym razem nawet nie mówię „my”. Ja. Ja to zrobię. Nikt inny, tylko ja sama. Zrobię to, co należy. Kładę dłonie na jej policzkach. Wewnętrzny ogień natychmiast rozpala się na nowo, wygłodniały i zachłanny. Dawno już nie czułam się tak potwornie.

– Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. *Obiecuję*. – Trzymam jej twarz w swoich dłoniach i patrzę jej głęboko w oczy, aż w końcu zaczyna do mnie wracać.

Kiwam powoli głową. Po chwili ona też zaczyna kiwać. Musimy stąd wyjść, zająć się czymś innym, pójść w jakieś normalne miejsce.

– Chodźmy dokądś – mówię. – Na zakupy. Potrzebuję nowych ciuchów – zwracam się do Ashling.

W szafie jest torba z gotówką, jest jej tam tyle, że wygląda jak zabawkowe banknoty. Któregoś razu Ashling wysypała je wszystkie na łóżko i poprosiła, żebyśmy się na nich pieprzyły. Było to tak absurdalne, że tarzając się na nich, chichotałyśmy cały czas. „Niejeden zbok zapłaciłby fortunę za nasze wideo – powiedziała. – Ale my, jak widać, wcale jej nie potrzebujemy”. I wpakowała sobie pięćdziesiątkę do ust, a potem, ponieważ była pijana i ponieważ mogła, połknęła ją.

Mają różne sposoby na jej zdobywanie. Szczególnie przydatne są w tym wypadku umiejętności Evana. Mamy tyle forsy, że kasa jest dla nas prawie bez znaczenia. Pieniądze są tak przydatne jak to, co możesz za nie kupić, a przez pewien czas nie wyobrażałam sobie nawet, że mogłabym chcieć coś mieć. Aż do teraz.

Musimy poudawać, że jesteśmy normalnymi ludźmi, żyjącymi zwykłym życiem, trochę tylko lepszym. Musimy jej pokazać, jak cudowne jest to wszystko, jak może być cudowne i dla niej. Jeśli nam się nie uda, stracę ją na zawsze.

Rozdział 43

June

Minęły trzy godziny od momentu, w którym wróciłam do nich do domu, chora ze strachu. Jesteśmy teraz w oddalonym o dwie godziny drogi luksusowym centrum handlowym i bawimy się w przebieranki. Jest to kompletnie szalone i nierzeczywiste, ale jakimś cudem to szaleństwo działa na mnie uspokajająco. Zupełnie jakby to było zwykłe popołudnie, z tą jednak różnicą, że mamy wielką torbę pełną gotówki niewiadomego pochodzenia, no i że musiałyśmy jechać kilka godzin, żeby znaleźć się w miejscu, gdzie nikt nie rozpozna Delii. Która teoretycznie przecież już nie istnieje.

Delia kiwa głową na widok odbicia Ashling.

– Bierz to – mówi po prostu. – Nie możesz tego nie kupić, to byłaby zbrodnia.

Ashling przymierza właśnie ciemnobrązową kurtkę z licowej skóry, dopasowaną w talii, z mosiężnymi suwakami po bokach i na piersiach. Wygląda w niej olśniewająco. Stoi przed lustrem, po czym robi mały piruet. Zerkam na metkę. Kurtka kosztuje tyle, co połowa mojego samochodu, na który oszczędzałam przez ponad rok.

– No to biorę – odpowiada Ashling. – Z pewnością nie chciałabym wyjść na *kryminalistkę*.

Wystawia język. Próbuje być zabawna i swobodna, ale coś w tym całym luzie wydaje się wymuszone. W ogóle to wszystko wydaje się wymuszone.

Przy nogach Delii stoi już pięć toreb. Dżinsy, koszule, sukienki, buty, staniki, wszystko. Wystarczająco dużo, żeby rozpocząć nowe życie. Delia zapłaciła za to gotówką, rzucając na ladę pliki banknotów, uśmiechając się przesadnie szeroko, przesadnie promiennie. Znam tę Delię, tę czarującą Delię, która chce się

przyjaźnić ze wszystkimi i mówi bardzo szybko. Tęskniłam za tą dziewczyną, ale jednocześnie się jej boję. Ona jest zdolna do wszystkiego. Zrobi, co zechce. Już robiła. Robi.

Przebieralnia jest zawalona stertami ciuchów. Delia naznosiła tutaj całe ich naręcza. Siedzę na ławeczce tuż obok lustra. Delia wyciąga z jednej sterty kremową kopertową sukienkę uszytą z ażurowej, swetrowej tkaniny. Ciska ją w moją stronę.

– Przymierz to – mówi.

– Nie, dzięki. – Kręcę głową.

– Tylko dla zabawy – namawia mnie, a na jej twarzy maluje się ten zalotny uśmiech, uśmiech, który mówi „no chodź, chodź się z nami pobawić”. I już wiem, że nie mam wyboru.

Zdejmuję przez głowę swój sweter i koszulkę, niespodziewanie skrępowana swoją półnagością, chociaż zupełnie nie wiem czemu. Sukienkę zakłada się jak szlafrok. Czuję na skórze dotyk cudownie miękkiej tkaniny. Tyle tylko, że nie do końca wiem, co zrobić z paskiem. Delia obserwuje mnie, nie przestaje się uśmiechać. Podchodzi do mnie, bierze dwa końce paska i przeciąga jeden przez małą dziurkę z boku sukienki. Potem oplata paskiem moją talię i ciasno zawiązuje kokardę na plecach. Ashling przygląda się nam uważnie. Czuję, że się rumienię.

– Wyglądasz jak mleczarka – mówi Delia. – Taka, na której widok ktoś taki jak Ryan może nawet przestałby bzykać krowy.

Skreca mnie w żołądku. Zmuszam się do śmiechu. Nie chcę teraz o tym myśleć, więc koncentruję się na sukience.

– No nie mam racji? – zwraca się do Ashling Delia. Ashling bezmyślnie przytakuje. – Tak jest – mówi Delia. – Bierzemy ją.

Kręcę głową.

– Przecież miałam tylko przymierzyć ją dla zabawy. Nie potrzebuję jej. To nie moje pieniądze, tylko wasze.

– To są niczyje pieniądze – naciska Delia. – Po prostu tak się składa, że to my

je mamy. I się nimi dzielimy. A ty jesteś z nami. Przynajmniej spójrz na siebie w lustrze.

Odwracam się powoli i moim oczom ukazuje się dziewczyna w kremowobiałej sukience, której skóra wygląda świeżo i promiennie, której krągłości są miękkie i przyjemne.

– Przecież ona już jest twoja – mówi Delia. – I nie kłóć się ze mną. Wiesz przecież, że i tak wygram.

Znowu potrząsam głową.

– Wyglądam zupełnie inaczej niż zwykle – mówię wreszcie.

– To pobądź przez chwilę kimś innym. – Usta Delii rozciągają się w szerokim uśmiechu. – Kto wie, może nawet ci się spodoba.

Nocą dom wygląda prześlicznie, rozświetlony od wewnątrz, złotopomarańczowy na tle ciemnego nieba. Wyciągamy z bagażnika wszystkie torby Delii, kurtkę Ashling i sukienkę, która teraz jest już chyba moją sukienką.

Wchodzimy do domu.

– Już jesteśmy, skarbenki! – woła Delia.

– Witajcie, kochane! – odkrzykuje z kuchni Evan. Gra muzyka, trąbki i pianino na tle perkusji. Światła są przygaszone. Na wyspie kuchennej stoją tace z jedzeniem. W powietrzu unosi się słodkawy, ciepły zapach masła, czosnku i czegoś jeszcze, czego nie potrafię określić. Zalewa mnie fala wdzięczności za to, że mogę tutaj być. Jakie to szczęście... A potem czuję w sercu ukłucie, bo chciałabym, żeby to się nigdy nie skończyło.

Ale przecież się skończy. I to niedługo. Oni znikną. To wszystko się skończy.

A ja znów będę sama.

I właśnie o tym tak bardzo nie chcę teraz myśleć – o tym i o wielu innych rzeczach: o Jeremiahu i o tym, co chce zrobić. O Rynie i o tym, co mu zrobili.

Ale jestem tu i teraz. I to na tym muszę się skoncentrować. A przynajmniej spróbować.

.....
Czas na kolację.

Stół jest pięknie nakryty – masywne białe talerze na szorstkim drewnie, kieliszki z grubego, pofalowanego szkła, z zamkniętymi wewnątrz bąbelkami powietrza. Na środku migoczą trzy smukłe świece. Mam na sobie nową sukienkę, bo Delia zmusiła mnie, żebym ją założyła. Bez butów, bez rajstop, bo przecież nie mam ich tutaj ze sobą. Na zewnątrz może być zimno, ale tutaj jest ciepło i przytulnie.

I kiedy wchodzę do kuchni skąpanej w żółtym świetle, ubrana w swoją kremową sukienkę, bosą i bez rajstop, a Sebastian patrzy na mnie, prześlizgując się po mnie wzrokiem i zatrzymuje się na twarzy, czuję łaskotanie w brzuchu i przypływ energii sunącej wzdłuż kręgosłupa.

Wiem, że to wszystko zaaranżowała Delia, zrobiła to dla mnie.

– Ślicznie wyglądasz – mówi Sebastian. A ja czuję, że się rumienię, i wstydzę się tego, że takie dwa słowa tak bardzo mnie cieszą. A potem próbuję się czymś zająć, bo wszyscy wokół mnie jak na komendę biorą się do pracy i nagle zupełnie nie wiem, co zrobić z rękami.

Evan i Delia przenoszą jedzenie na stół – pomarańczowe pieczone marchewki, chrupiące, zarumienione ziemniaki. Kremową zupę zabarwioną szafranem. Grillowanego łososia posypanego koperkiem. Ashling napełnia nasze kieliszki winem.

Sebastian wyciąga coś z piekarnika (ciasto napęczniałe od owoców) i stawia na blacie, żeby wystygło.

Działają jak dobrze naoliwiona maszyna, jak jeden organizm, a ja nie mam zupełnie nic do roboty, więc wyrównuję nerwowo srebrne sztucce do momentu, kiedy czas siadać do stołu.

– Stary, to wszystko wygląda wspaniale – mówi Evan.

– To prawda, dzięki – dorzuca Ashling.

I wtedy dociera do mnie, że to Sebastian przygotował całą tę ucztę. Patrzę na niego, na jego poważną twarz. Wzrusza tylko ramionami, ale wydaje mi się, że dostrzegam na jego twarzy cień uśmiechu.

Siedzimy teraz przy stole. Delia wznosi toast kieliszkiem wina.

– Za rodzinę – mówi. Patrzy mi prosto w oczy.

Wbijam widelec w kawałek ziemniaka. Biorę kęs – skórka jest chrupiąca, a wewnątrz idealnie miękkie. To najpyszniejsza rzecz, jaką jadłam w życiu. Podobnie jak łosoś, którego próbuję w następnej kolejności, i wszystkie inne potrawy.

Jem jak wygłodniałe zwierzę. Burczy mi w brzuchu. Nie chcę pobrudzić sukienki.

Biorę łyk wina tylko po to, żeby trochę zwolnić. Ale z zaskoczeniem odkrywam, że odpowiada mi jego smak, bogaty i aksamitny. Podnoszę wzrok i widzę, że Sebastian przygląda mi się uważnie.

Biorę więc kolejny łyk, potem następny. Czuję gorąco napływające do twarzy. Zaczynam się uśmiechać. Pozostali też się uśmiechają. Wszyscy się uśmiechamy. Jesteśmy razem i jesteśmy szczęśliwi. Świat zewnętrzny, to wszystko, o czym nie chcę myśleć, jest teraz bardzo, bardzo daleko stąd.

– No więc – zaczyna powoli Evan – ta rzecz, której się spodziewamy... – Coś w jego tonie podpowiada mi, że już od dawna chciał się odezwać, tylko czekał na odpowiedni moment. – Ta rzecz jest już prawie gotowa. Będzie tu najpóźniej w piątek.

Ashling uśmiecha się, a Delia zerka w moją stronę i kiwa głową.

Biorę jeszcze jeden łyk wina. Im więcej go piję, tym lepiej smakuje.

– Jaka rzecz? – pytam.

– Coś, na co czekaliśmy – mówi Ashling. Wzrusza ramionami. – Dla Delii.

Sebastian obserwuje Ashling. Nie wygląda na zadowolonego.

– Możemy zacząć się powoli zwijać – mówi Evan. – Ruszymy, jak tylko to dostaniemy.

Czuję przypływ paniki.

– I co dalej? – pytam możliwie lekkim tonem. Próbuję się uśmiechnąć.

Tak bardzo chciałabym zadać im więcej pytań, tych, których się nie odważyłam zadać, a które mam na końcu języka od momentu, w którym po raz

pierwszy przekroczyłam próg tego domu. Rozluźnione winem mogą niedługo zacząć wypływać z moich ust. Ale na razie zaciskam mocno wargi. Ta chwila jest zbyt doskonała, żeby ją psuć. Niebawem to wszystko się skończy, a oni ruszą gdzieś, nie wiadomo gdzie. A ja bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnę uchwycić ten moment, wypełnić nim serce. Żebym, kiedy ich już nie będzie i znowu będę sama, unoszona bezwolnie w powietrzu, mogła wracać do niego myślami. Przynajmniej ten jeden wieczór w mojej pamięci będzie łączył mnie z ziemią.

– Czy ktoś ma jeszcze ochotę na łososia? – pyta Sebastian. Próbuje zmienić temat. Nie chce, żebym zadawała więcej pytań, żebym wiedziała więcej.

Delia patrzy mi w oczy. Mruga do mnie.

Nieco później. Jesteśmy na dworze, na tyłach domu. Wiem, że jest zimno, bo widzę obłoczki unoszące się w powietrzu z każdym moim oddechem, ale zupełnie tego nie czuję. Jest mi ciepło, przyjemnie i bardzo niesamotnie. To najwspanialsze uczucie na świecie. Możliwe, że jestem pijana.

Evan pociera ręce, żeby je rozgrzać, podczas gdy Sebastian rozpala ognisko. Ashling podaje butelkę wina Evanowi, który bierze łyk i przekazuje ją Delii, która bierze łyk i przekazuje ją mnie.

– Nie mogę uwierzyć, że ta butelka starczyła nam na cały wieczór – mówię.

Ashling rzuca mi rozbawione spojrzenie i wesoło parska.

– June, pijemy jakąś piątą butelkę.

– Hmmm... to wiele wyjaśnia – mówię, po czym uśmiecham się i wybucham mimowolnym chichotem. Pociągam z gwinta. Wino smakuje jak wnętrze moich ust. Patrzę na pozostałych. Wszyscy mamy usta lekko zabarwione na fioletowo. Fioletowe usta Sebastiana wyglądają perfekcyjnie.

Stoi nad żelaznym paleniskiem, kładzie zwinięte gazety i dorzuca chrust. Odpala zapałkę i umieszcza ją na wierzchu. Rozlega się trzask, syk, a potem płomienie pełzną już do góry.

Zaczynam się zastanawiać, czy tak wyglądał pożar Delii. Zastanawiam się,

czy to Sebastian podpalił szopę.

Wokół ogniska rozstawione są krzesła, olbrzymie, zrobione z kłód drewna. Wygląda to dość osobliwie – drewniane krzesła wokół tak dużego ogniska. Zdaje się, że dość łatwo mogłyby się zapalić. Tyle jest łatwopalnych rzeczy! To aż zaskakujące, że cały świat non stop nie stoi w płomieniach, jeśli wziąć pod uwagę to, jak szybko ogień się rozprzestrzenia.

Wszyscy sadowimy się wygodnie wokół ogniska i rozkoszujemy się jego ciepłem. Delia zupełnie się nie boi. Siedzimy przy ognisku, i to naprawdę dużym, a ona nawet pochyła się w jego stronę.

Czuję, że unoszę się w powietrzu. Spoglądam na gwiazdy. Wyobrażam sobie, że wznoszę się do góry, wysoko, wysoko, w kosmos. Patrzę stamtąd na ludzi siedzących wokół mnie, rozgrzanych w tę zimną noc. Tutaj, w ciemnościach, czuję, że mogłabym powiedzieć wszystko. Czuję, że mogę wreszcie otworzyć usta i uwolnić wszystkie te pytania, które we mnie tkwią. Więc to robię.

– Jak to zrobiliście?

Wszyscy zwracają się w moją stronę.

– Jak co zrobiliśmy? – pyta Delia powoli. Patrzy na mnie, wpatrzoną w ognisko, i wiem, że doskonale wie, o co pytam.

– Kto spłonął tam, w stodole? – Nawet teraz, pod osłoną nocy, dymu i wina, dziwi mnie, że mój ton brzmi tak swobodnie, że wypowiadam te słowa jakby lekceważąco. Przez długą chwilę wszyscy milczą.

Wreszcie odzywa się Delia.

– Nigdy nie dowiedziałam się, jak się nazywała. – Wiatr wieje teraz silniej, ogień drży, ale nadal intensywnie płonie. – Była mniej więcej mojego wzrostu, mniej więcej w naszym wieku. Chyba miała raka. Miała zostać skremowana.

– Ale jak udało wam się zdobyć... – *To? Jq?*

– To było banalne – odpowiada Delia. Ale w jej głosie jest coś takiego, co budzi moje podejrzenia, że wcale takie nie było. – Kontakty w kostnicy, łapówka. Ach, no i dobre obciążanie. – Wydaje mi się, że z tym ostatnim żartuje, ale kiedy patrzę na jej twarz, nie potrafię tego odgadnąć. Jest lekko

uśmiechnięta. Potem uśmiech znika.

– Powiedz coś więcej, proszę.

– Naprawdę chcesz wiedzieć wszystko?

– Delia – wtrąca ostrzegawczo Sebastian, ale ona go ignoruje.

Kiwam głową.

– Przyjechaliśmy tam, gdzie nam kazano. Ciało zostało załadowane do furgonetki. Ciało dziewczyny. Ubraliśmy ją w moje ciuchy i biżuterię. Założyłam jej na szyję mój tytanowy naszyjnik, ten, który zawsze nosiłam, bo tytan nie roztapia się pod wpływem ciepła. Dotykałam jej skóry. Myślałam, że to będzie dziwne uczucie, dotykanie czyjegoś martwego ciała, ale nie czułam nic. Nic złego. Czułam tylko wdzięczność.

– I co było potem? – pytam. Mówię teraz szeptem.

– Potem było dużo benzyny, a ponieważ w szopie już wcześniej znajdowało się sporo drewna na opał, buchnął ogromny ogień... Kiedy go wreszcie ugaszono, nie zostało już z niej, ze mnie, wystarczająco dużo, żeby przeprowadzić autopsję.

– A co z odciskami zębów? Z DNA? – drążę. Wszystkie pytania, które kisiły się we mnie przez te kilka dni, wypadają teraz z moich ust prosto na zimne, nocne powietrze z płomieniami i z dymem. Nie do końca wiem nawet, o co chodzi z odciskami zębów, słyszałam o tym po prostu w telewizji.

Ale Delia kręci tylko głową.

– Nikt tego nie sprawdza, dopóki nie pojawią się wątpliwości – mówi. – A w moim wypadku nie mieli powodów, żeby coś podejrzewać. W końcu zostawiłam list...

Patrzę na ognisko, na płonące drewno, trzeszczące, spalające się powoli. Znad płomieni patrzą na mnie błyszczące oczy Evana. Oczy Ashling też błyszczą.

– I wy wszyscy zrobiliście coś takiego? – pytam. – Co było takiego strasznego w waszym życiu, że postanowiliście je porzucić i pozwoliliście, żeby wszyscy, których znaliście, uwierzyli, że nie żyjecie?

I teraz wiem, że posunęłam się za daleko.

– Robiliśmy... różne rzeczy – odzywa się ostrożnie Ashling. Potem milknie.

Evan bierze do ręki butelkę wina, którą trzymał między kolanami, podnosi ją do ust i upija długi łyk.

– Ja strzeliłem sobie w głowę... najprawdopodobniej.

Sebastian podnosi się.

– Przestańcie. Już wystarczy – mówi, a po chwili dorzuca: – To niebezpieczne, ona nie powinna wiedzieć za dużo.

Jestem pijana, ale nawet po pijaku czuję znów ten wstyd, ten ból. „Ona”, czyli ja. Nie jestem jedną z nich. Zwracam się z powrotem do Delii.

– Nadal nie rozumiem – mówię. Mój głos brzmi teraz jakoś śmiesznie. Jakbym się zmuszała do mówienia. – Dlaczego musiałaś to zrobić? Nie mogłaś po prostu uciec? – Jestem teraz zdesperowana i słowa wypływają ze mnie wartkim strumieniem. – Może mogłabyś wrócić, powiedzieć, że to był tylko taki żart. I wtedy... – Wiem jednak doskonale, że nie może. Że tego nie zrobi. Ale przez te piętnaście sekund, które mija od mojego pytania do jej odpowiedzi, pozwalam sobie wierzyć, że to możliwe. Że mogłaby zostać tu ze mną, że mogłaby zostać tu na zawsze. I już nigdy by mnie nie opuściła.

– I wtedy co? – pyta Delia i potrząsa głową. – Nie, nie. Kiedy uciekasz, nigdy nie przestają cię szukać. Nadal istniejesz, uwięziona w swoim życiu. Ale kiedy umierasz... – Jej głos jest słodki i cichy. Zwraca się w moją stronę z uśmiechem. – Wtedy, Junie, jesteś naprawdę wolna.

Rozdział 44

June

A już myślałam, że to ognisko nigdy się nie skończy, ale w pewnym momencie płomienie zaczęły się kurczyć, pojawiło się więcej dymu, aż wreszcie ogień zgasł. Jesteśmy z powrotem w domu i leżymy rozwaleni na kanapie: Sebastian, obok ja, dalej Delia i Ashling. Evan częściowo leży na nich. Jakiś czas temu – godzinę? Pół godziny? Sto lat? – Evan powiedział: „Pozwólcie, że skorzystam z okazji” i spróbował wcisnąć się między nie. I tam właśnie teraz leży, a oczy powoli mu się zamykają. Jest taki mały, wygląda jak dzieciak.

Siedzimy i oglądamy jakiś durny film na wielkim ekranie telewizora. Pijemy jeszcze więcej wina. Z taką łatwością spływa nam do gardeł. Sebastian siedzi tak, żeby między nami na kanapie pozostał pewien dystans. A ja nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedział wcześniej. *To niebezpieczne*. Jakbym była zagrożeniem, zagrożeniem dla nich. Odwracam się. Delia patrzy na mnie patrzącą na Sebastiana. Wydaje mi się, że też jest pijana.

– Możesz mieć, co tylko chcesz – mówi. – Z nami możesz mieć to wszystko.

Rozlega się cichutkie chrapanie. Odwracamy się. Evan śpi, zwinięty w kłębek, oparty o Ashling, która też zasnęła, obejmując Evana ramieniem.

Uśmiecham się na ten widok. Wyglądają przesłodko. A potem przenoszę wzrok na Delię i spodziewam się zobaczyć na jej twarzy uśmiech, ale jej twarz jest kompletnie bez wyrazu.

Wyciąga rękę i gładzi Ashling po głowie – śpiące włosy śpiącej Ashling. Ashling mruczy cichutko.

– Skarbie – mówi Delia. – Skarbie, czas iść do łóżka.

– Dzięki, kochanie – mówi Evan. Uśmiecha się i rumieni. Potem wstaje

i chwiejnym krokiem idzie korytarzem do sypialni. A ja wybucham śmiechem, Delia też. Znowu pochyła się w moją stronę.

– Co tylko chcesz – szepcze. Potem pomaga Ashling wstać. – Dobranoc, dzieciaki – mówi, tym razem głośniej. Wyprowadza zasną Ashling z pokoju, a ja siedzę bez ruchu, wpatrując się w nocne niebo za oknami. Sebastian nadal siedzi obok mnie na kanapie i patrzy prosto przed siebie.

Czuję dreszcze na całym ciele. Odwracam się w jego stronę i patrzę na jego profil, jego oczy, prosty nos, usta, które prawie nigdy się nie uśmiechają. Jego wargi są nieznośnie piękne. I nagle czuję złość, złość na niego za to, że sądzi, że mogłabym kiedykolwiek zranić kogokolwiek z nich. Kocham Delię nad życie, a co do reszty – ich też zaczynam powoli kochać. Ale czy naprawdę? Czy może to tylko wino szumiące w mojej głowie? Czy może to zniesione przez wino blokady, które istniały w moim mózgu? Mogłabym otworzyć teraz usta. Powiedzieć cokolwiek. Chcę mu powiedzieć, że może mi zaufać. Że chcę go poznać. Wiedzieć, jaki jest naprawdę.

Sebastian sięga po butelkę stojącą na stole i przykłada ją do swoich pięknych ust. Trzyma ją przechyloną przez długi czas. Potem podaje ją mnie. Nasze palce stykają się na chwilę. W pokoju robi się nagle strasznie gorąco. Opieram butelkę na kolanach.

Otwieram usta, biorę głęboki oddech. Sebastian patrzy przed siebie.

Wreszcie odwraca głowę i patrzy prosto na mnie.

Rozdział 45

Delia

Przecież chciałam, żeby do tego doszło. Sama to zaaranżowałam. Prezent dla mojej Junie, coś, czego chciała i potrzebowała, wiem o tym. Zamykam oczy. Przecież dobrze się stało. Tego właśnie chciałam. Dobrze się stało.

Tyle że teraz czuję w środku ten pieprzony ogień.

Zamykam oczy, ale wnętrza moich powiek są portalem do świata za zamkniętymi drzwiami.

Nie chcę tego oglądać. Proszę, pierdolony mózgu, nie każ mi tego oglądać.

Nie mogę tego zatrzymać.

Sebastian i June całują się, z początku powoli. Nawet pijani są dla siebie delikatni. Trochę nieśmiali, przez to, że tak bardzo tego pragnęli. Ona myśli sobie: „Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę”. On myśli po prostu: „O ja pierdołę”. Wargi muskają wargi, miękkie i słodkie, uruchamiając gadzie części mózgu, rozpalając obwody do czerwoności. Do tego właśnie jesteśmy stworzeni. Dzięki temu możemy przetrwać. Inaczej wszyscy dawno byśmy, kurwa, zdechli.

Któreś wydaje z siebie ciężkie westchnienie, cichutki jęk, ale żadne z nich nie wie które. Ten dźwięk jest jak małe zwierzątko uwięzione w wilgotnej przestrzeni między ich rozchylonymi ustami. Odbija się echem i niesie aż do ich trzewi. Szarpnięcie. Jego ramiona są silniejsze, niż przypuszczała. Jego dłonie wsuwają się pod jej sukienkę. Jej skóra jest rozpalona i cudownie miękka. Ona wtula się w jego szyję, wciąga głęboko powietrze. Zapach jego skóry jest jak narkotykowy strzał. Biologia, chemia, sztuka, magia, *bum-bum-bum!* Wszystko przyspiesza, ich serca, krew w ich żyłach, zęby i języki, splecione teraz ze sobą. Pragną siebie tak bardzo, że to aż boli, i nic nie może tego zatrzymać. Ich

ubrania zdają się topnieć. Ich ciała zderzają się ze sobą, dotykają w tych miękkich i w tych twardych miejscach. Światła są wyłączone, ale we wpadającej przez okna księżycowej poświacie ich skóra lśni. Lśnią cali, są niemal nieludscy, lewitują i suną w powietrzu do łóżka. Wokół nich rozpętuje się nawałnica, na samym środku pokoju. Chmury, grzmoty i pioruny! Ściany pokoju znikają, a oni unoszą się teraz w powietrzu, pędząc między gwiazdami prosto w nicość, splątani tylko ze sobą nawzajem. On leży na niej. Ona krzyczy z rozkoszy. Są jak wygłodniałe, pieprzące się bestie, które pragną pożreć się nawzajem. On ją pożre i wtedy *nie zostanie z niej już nic*.

Nie mogę oddychać, nie mogę tego znieść.

– Kochanie? – Głos Ashling wyrywa mnie z transu. Woła mnie cichutko przez otwarte drzwi naszej sypialni. Kiedy budzi się w nocy, jest jak wystraszone małe dziecko. A ja wstałam po to, żeby przynieść jej wodę. Idę na palcach do kuchni, biorę ze stołu szklankę, opłukuję, napełniam wodą z kranu. Wypijam duszkiem. Woda jest zimna i krystalicznie czysta. Ale nie pomaga. Nigdy w życiu nie byłam bardziej spragniona. Piję szklankę za szklanką, aż czuję, że brzuch mi prawie pęka. Dopiero wtedy mogę wrócić z powrotem do łóżka.

Rozdział 46

June

Jeszcze zanim zdołam otworzyć powieki, wspomnienia poprzedniej nocy uderzają we mnie wzburzoną falą – usta, dłonie, skóra, pot. Ale kiedy się odwracam, widzę, że łóżko jest puste. Jestem sama, czuję suchość w ustach i koszmarny ból głowy.

Wychodzę na korytarz. Nagle ogarnia mnie strach, sama nie wiem dlaczego.

– Seb? – szepczę. Nie nazywam go tak, to Delia go tak nazywa. Dziwnie się czuję, wypowiadając na głos jego imię.

Zegar na mikrofalówce wskazuje 4:06. Za oknem jak okiem sięgnąć rozciąga się czarny aksamit. Dostrzegam lunę z ekranu laptopa na niskim stoliku przy kanapie. Wygaszacz ekranu z kosmosem. Światło pada na twarz Sebastiana. Jego szczękę, te usta.

Leży skulony na boku. Siadam, opierając się plecami o jego brzuch, i kładę dłoń na ciepłej, nagiej skórze.

– Hej – szepczę. Ale on się nie porusza. Dlaczego tu jest? Co robił? Wyciągam rękę i dotykam touchpada, mimo że wiem dobrze, że nie powinnam. Może nadal jestem pijana. Może taka jest moja wymówka. Na ekranie pojawia się jakaś strona. Na samej górze widać cyfrowy kolaż zdjęć – rząd dzieciaków na jakimś obozie, chłopiec w kajaku, mama z dzieckiem i ... Sebastian? Ma półdługie włosy, zielone pasemka i deskorolkę. Jest kilka lat młodszy od siebie teraz. Stoi, obejmując ramieniem chudą dziewczynkę o opalonych nogach i szerokim uśmiechu. Jest do niego bardzo podobna.

Trevor, tęsknimy za Tobą – głosi zielony napis pod kolażem.

A pod spodem: Strona poświęcona pamięci Trevora Emersona.

21 maja świat stał się mroczniejszym miejscem, a niebo zyskało świetlistego anioła.

Reszta strony to wiadomości, które zostawili dla niego różni ludzie. Zaczynam przewijać w dół.

Tęsknię za tobą, ziom. Zawsze będę. – FM

Pamiętaj: tęczowe papucie.

Trev był po prostu najlepszy, wszyscy go uwielbiali. Był kochany, zabawny i dobry.

Tęsknię za tym dzieciakiem jak cholera, ale wiem, że jest tam, na górze. Pozdrów moją babcię, jeśli ją tam spotkasz.

Świat utracił sens.

Poznałam T. na imprezie, na której on był DJ-em, a ja pijaną dziewczyną flirtującą z DJ-em...

I tak dalej, i tak dalej, strona po stronie wypełnione wiadomościami. Muszą być ich setki.

Na samym dole są te najnowsze. W tym jedna z poprzedniej nocy.

To już prawie dwa lata, a nie ma ani jednego dnia, ani jednej minuty, żebyśmy o tobie nie myśleli. Kocham cię, Mama

Czuję ukłucie w sercu. Podnoszę dłoń do ust. Patrzę na jego uroczą twarz pogrążoną we śnie. Myślę o wszystkich ludziach, którzy za nim tęsknią. Niektórzy otrząsnęli się i żyją dalej swoim życiem. Niektórym nigdy się to nie uda.

Zamykam laptopa i wsuwam się w przestrzeń między Sebastianem a oparciem kanapy. Przyciskam policzek do jego pleców, obejmuję go mocno, jakby miał zaraz odlecieć. I dopiero wtedy zasypiam ponownie.

Rozdział 47

Delia

Każdego dnia umierają tysiące ludzi.

Niektórzy spodziewają się, że to koniec – są chorzy albo starzy, albo żyją niebezpiecznie. Inni nie mają o tym zielonego pojęcia.

Budzą się rano i nawet nie przyjdzie im do głowy, że to jest właśnie ten dzień, bo ten dzień jest dokładnie taki sam jak tysiące, które były przed nim, i jak tysiące, które, jak sądzą, nastąpią po nim.

Ale po tym dniu nic już nie następuje.

Iskry fruważą w powietrzu, zapalnik uruchomiony, lont coraz krótszy. A potem *bum*.

Nie jestem religijna. Nie jestem uduchowiona. Ale jest w tym coś przeszywająco pięknego. Jakby to coś znaczyło. Zamykam oczy i żegnam się z tymi wszystkimi, którzy wiedzą o nadchodzącej śmierci, a tym bardziej z tymi, którzy nie mają o niej pojęcia.

Muszę to zrobić. Myślałam, że będę przerażona, a zamiast tego czuję tylko ekscytację.

Czuję rękę Ashling na moim cycku.

– Buzi – mamrocze zaspana, z opuchniętymi, półotwartymi oczami. Ashling ma kaca. Przytula się do mnie.

Zamykam oczy, wyobrażając sobie różne rzeczy. Potem całuję ją mocno w usta.

– Później – mówię. Potem wtulam się w nią i szepczę w zgięcie jej szyi. Przypominam, co się niedługo wydarzy, co oznacza dzisiejszy dzień, co mamy do zrobienia. A Ashling nie ma nic przeciwko temu, zwłaszcza że o połowie

tych rzeczy wiemy tylko my dwie. Lubi to, chce mieć ze mną więcej sekretów. „Sekrety łączą na zawsze” powiedziała mi kiedyś, zupełnie jakby sądziła, że jeszcze tego nie wiem.

Rozdział 48

June

Znowu jestem sama, i to nie na kanapie, ale w łóżku. Na szafce nocnej stoi szklanka wody i opakowanie aspiryny. Ktoś zostawił je tutaj dla mnie. Kto? Sebastian.

Wczorajszy wieczór.

Wszystko wraca do mnie w jednej chwili, wspomnienia smagają mnie po twarzy – wlewanie w siebie wina, ognisko, *pożar*, rozmowa z Delią, Sebastian pochylający się nade mną. Potem ja sama w łóżku. Szukająca Sebastiana. Laptop. To, co zobaczyłam na ekranie. *On naprawdę ma na imię Trevor.*

Evan i Ashling też nazywali się kiedyś inaczej.

Niedługo Delia nie będzie już Delią.

Gonitwę myśli zastępują emocje, jedna po drugiej. Dziś rano czuję absolutnie wszystko.

Wstaję. Pokój zaczyna wirować. Siadam z powrotem. Oddycham, wdech, wydech. Mam na sobie czyjś T-shirt. Duży, szary, sięga mi do połowy ud.

Słyszę trzaśnięcie drzwi. Wychodzę na korytarz i idę do kuchni. Sebastian stoi przy palnikach i podrzuca pankejkę. Przyglądam mu się i czuję, jak rumieniec wypełza mi na twarz.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Zeszła noc... – zaczynam. Ale właściwie nie mam pojęcia, co chcę powiedzieć. – Była... – Jaka? Fajna? Podniecająca? Dziwna, przerażająca, niesamowita, czuła, niedorzeczna.

– Wydaje mi się, że była wszystkim po trochu – mówi. Co, jak sobie

uświadamiam, jest idealnym określeniem na nią. – Słuchaj – zaczyna przyciszonym głosem. – Muszę ci coś powiedzieć. Nie powinienem ci tego mówić, ale...

Otwierają się drzwi i do kuchni wchodzi Evan, rozczochrany i zaspany, w koszulce ze znakiem Supermana i czerwono-niebieskich piżamowych spodniach w kratę. Zerka na mnie, na Sebastiana, potem znowu na mnie.

– O Boże. Serio? Wy dwoje też? Jak rany! – Ale mówi to z uśmiechem. – A gdzie drugie gołąbeczki?

Gołąbeczki. Słowo Delii. Uśmiecham się.

– Wyszły coś załatwić – odpowiada Sebastian. Wzrusza ramionami i zdejmuje z patelni ostatniego pankejkę. Dzieli ogromną stertę na dwie części, jedna dla Evana, druga dla mnie.

– A dla ciebie nic? – pytam.

Sebastian kręci głową.

– Może później. O dziwo nie jestem głodny.

Przez jakiś czas jesteśmy tylko we trójkę. Ja i Evan pochłaniamy placuszki, Sebastian popija kawę. Jest tuż po jedenastej. Gdybym była teraz w szkole, siedziałabym właśnie na biologii. Siedziałabym na biologii, zamknięta w swojej bańce, sama. A tu jest mi cudownie błogo. Nic poza tym momentem nie ma znaczenia. Podnoszę wzrok i widzę, że Sebastian zerka na mnie. Uśmiecham się. A on odwzajemnia mój uśmiech.

Pod dom podjeżdża samochód.

Rozdział 49

Delia

Ashling parkuje i odwraca się w moją stronę.

– Na pewno wszystko w porządku? – pyta. – Nie rozmyślałaś się?

Potrząsam głową i łapię ją za rękę.

– Nie. Chronimy tych, których kochamy.

– To prawda – mówi. A potem kiwa głową. Widzę, że stara się powstrzymać uśmiech, nie pozwala, żeby rozświetlił jej twarz. Myśli, że wystraszę się tego, z jaką łatwością to zrobiła. Tyle tylko, że ja wcale nie czuję strachu. Jestem pod wrażeniem. *Zaimponowała mi.*

Siedzimy jeszcze przez minutę, wdech, wydech, oddychamy razem, powietrze z moich płuc, z jej płuc. Czuję, że próbuje mnie wessać, pochłonąć. A potem bierze moją dłoń, przykładając ją do ust i całuje.

– I jesteś pewna, że nie chcesz jej najpierw powiedzieć?

Miłość ulatuje w ułamku sekundy, ustępując miejsca nagłemu uderzeniu gorącego gniewu, głęboko w środku, błyskającemu jak ogień zapalniczki. Doskonale wie, jak brzmi odpowiedź. Pyta tylko dlatego, że jest zazdrosna. Pyta, bo chce, żebym powiedziała o wszystkim wcześniej, myśli, że Junie odmówi, spanikuje i nie pojedzie z nami. I wtedy Ashling będzie mnie miała tylko dla siebie.

Odwracam się w jej stronę. „Nawet nie próbuj”, mówi mój wzrok. „Nie próbuj, bo pożałujesz”. Ale moje usta mówią tylko:

– Jestem pewna, kochanie. – A potem dodaję: – Kocham cię. – Bo nigdy jej tego nie mówię i wiem, że dzięki temu zamknie się na dłużej.

Na jej twarzy pojawia się najszerszy uśmiech, jaki w życiu widziałam. Bola

mnie od niego oczy. Robi mi się od niego niedobrze.

– Kochanie – mówi – ja też cię kocham.

Dziesięć minut później jestem w środku i mówię June to, co planowałam jej powiedzieć, a ona mruga tylko tymi swoimi wielkimi oczami króliczka. Jest zdezorientowana. Jest wystraszona. To mnie stresuje.

– Ale po co? Myślałam, że zrobiliśmy to wszystko po to, żeby stało się to, co powinno się stać. Pójdzie do więzienia, tak jak na to zasłużył.

– Problem polega na tym... – zawieszam głos – że mamy powody podejrzewać, że nasz plan jednak nie wypali. Że uda mu się wymigać.

– Skąd wiesz?

Kręcę głową.

– Wierz mi na słowo. Mamy... informacje. Dlatego musimy zasygnalizować mu, że mamy go na oku, że ja mam go na oku. Że od teraz musi być grzecznym chłopcem, bo inaczej nie spodoba mu się to, co go spotka.

– Chcesz powiedzieć, że ty też chcesz do niego pójść?

Kiwam głową.

– Ale przecież wtedy dowie się, że żyjesz...

– Nie powie o tym nikomu. Mogę ci to zagwarantować.

June kręci głową i przygryza różową wargę. Jej białe ząbki wpijają się w miękką skórę.

– Nie rozumiem. Przecież będzie chciał powiedzieć o tym twojej matce. Jak mógłby to przed nią zataić?

Czuję, jak małe trybiki kręcą się, kręcą w jej mózgu. Bo w moim kręcą się tak samo. Mam ochotę objąć ją ramionami, utulić ją, przycisnąć do piersi jak małe dziecko.

– Przekonamy go, żeby siedział cicho – mówię.

– *Jak?*

Teraz jest moment, żeby powiedzieć jej resztę.

– Są różne inne sprawy, o których nie wiesz, rzeczy, które zrobił. – Patrzę

na nią znacząco. – Ma swoje sekrety, których nie chciałby nikomu zdradzać.

– Jak na przykład co? – pyta ledwo słyszalnym szeptem.

Kręcę głową. Na tym muszę skończyć.

– Nie chciałabyś wiedzieć. Nie będę cię tym obciążać. Ale to naprawdę okropne, nielegalne sprawy.

– W takim razie dlaczego nie możemy po prostu posłać go do więzienia?

– System sprawiedliwości jest popieprzony – mówię. – Nie, będzie dla niej najlepiej, jeśli to my będziemy mieć wszystko pod kontrolą. Ich dziecko, dziewczynka, będzie bezpieczna, kiedy on będzie wiedział, że go obserwujemy, że już zawsze będziemy. Chronimy tych, których kochamy. – Milknę na chwilę. Nadszedł ten moment. Musimy to zrobić. To teraz. – I znowu będzie nam potrzebna twoja pomoc.

June wpatruje się we mnie. Powoli kiwa głową. Rozumie.

– Okej – mówi.

Musimy to zrobić, zanim zmieni zdanie. Jest nam potrzebna.

– I musimy zrobić to dzisiaj...

Jej słodka twarzyczka robi się kredowobiała. June wygląda jak anioł. Jest aniołem. Przez ułamek sekundy czuję się źle z tym, co jej powiedziałam. Ale potem przypominam sobie, że kochać kogoś znaczy czasem nie mówić mu całej prawdy. Czasem najlepsze, co możesz zrobić dla drugiej osoby, to ochronić ją przed tym, co w żaden sposób jej nie pomoże. Podjąć decyzję samodzielnie i wziąć na siebie ciężar konsekwencji, dźwigać go, żeby ona nie musiała. Wiem, że mi wybaczy.

Rozdział 50

June

Stoimy w ciasnym kręgu, a nasze oddechy zbijają się na mroźnym powietrzu w gęstą mgiełkę.

– Gotowa? – pyta Evan.

– Gotowa – odpowiadam.

Delia zbliża się do mnie i mocno przytula. Jej włosy łaskoczą mnie w policzek.

– Kocham cię, Junie.

Kiedy się odwraca, czuję na plecach rękę Sebastiana. Pochyliła się blisko, tak żeby nikt poza mną go nie usłyszał.

– Nie musisz tego robić – szepcze. – Wiesz o tym, prawda?

Słońce zaczyna się powoli obniżać na tle szarego nieba. Słyszę w uszach swój puls. Ale już się nie boję.

– Wiem – mówię.

Kiedy cyferki na moim telefonie przesuwają się z 16:04 na 16:05, ruszam w stronę domu Delii, wchodzę po wyłożonych płytkami schodkach prowadzących do dużego szarego domu. Zmarzniętym palcem naciskam dzwonek. Rozlega się donośny dźwięk i po chwili drzwi się otwierają.

William wygląda, jakby nie spał od miesiąca.

– Dzień dobry – mówię. Zaciskam pięści w rękawach kurtki. – Przepraszam, że znowu zawracam panu głowę. Ale zastanawiałam się nad tymi zdjęciami. To znaczy nad tym, co pan powiedział. Że macie ich państwo więcej i że mogłabym je przejrzeć. Mam nadzieję, że to nadal aktualne. Powinnam była zrobić to wtedy, ale byłam... trochę przytłoczona tym wszystkim.

Oblizuje spierzchnięte usta suchym językiem.

– Znam to uczucie – mówi. – Być może słyszałaś już, co mi się przytrafiło.

Kiwam głową.

– Nie zrobiłem tego, o co mnie oskarżają – mówi wolno. Odnoszę wrażenie, że może być na jakichś lekach, może sam przepisał sobie coś na uspokojenie.

– Rozumiem – mówię.

Ale w myślach zastanawiam się, co tak naprawdę zrobił, czym zamierzają go zaszantażować. Mam swoje podejrzenia, wnioskując ze sposobu, w jaki mówiła o tym Delia.

William stoi bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń. Najwyraźniej odpłynął. Nagle się otrząsa.

– Ach tak, zdjęcia. Oczywiście. Proszę, wejdź.

Odsuwa się, wpuszczając mnie do środka. Przechodzę przez próg. Zamyka drzwi na zamek. Rusza pierwszy, zwrócony do mnie plecami. Wtedy wyciągam rękę i przekręcam zamek w drugą stronę.

Prowadzi mnie do piwnicy. Kilka albumów leży otwartych na kanapie. Chyba przeglądał je w samotności.

– Kiedy jest ta szkolna uroczystość? Może powinienem na nią pójść. Myślę, że jej mama chciałaby wiedzieć, jak na niej było.

– W przyszłym tygodniu – mówię. I siadam. Nie wiem, co mam dalej robić. Sięgam po pierwszy z brzegu album i powoli przewracam strony. Pocą mi się dłonie. Serce wali mi tak, jakby zaraz miało wyszarpnąć się z piersi. William ciężko opada na kanapę tuż obok mnie.

Mam nadzieję, że niebawem się pojawią.

Nie muszę czekać długo. Z góry docierają do nas dźwięki – głosy, kroki.

William wstaje.

– Słyszałaś to? – Zbliża się do schodów. – Halo? – Wchodzi na górę.

Zaczynam liczyć.

Raz, dwa, trzy.

Patrzę na zdjęcie trzyletniej Delii na trzykołowym rowerku. Już wtedy

przypominała sobie – coś w jej uśmiechu, coś w jej oczach...

Siedem, osiem, dziewięć.

Doliczam do pięćdziesięciu, wstaję i wchodzę po schodach. Nie wiem, co zobaczę, kiedy znajdę się na górze. Ale muszę być teraz dzielna.

Świat jest sprawiedliwy, tylko jeśli go takim uczynisz.

– No jak rany – słyszę głos Evana. – Twarda z ciebie sztuka, nie ma co.

Wchodzę do kuchni. William leży z twarzą przyciśniętą do linoleum, wierzgając i warcząc jak zwierzę. Obok leży roztrzaskany na kawałki niebieski kubek. Wylana dietetyczna cola tworzy coraz większą kałużę. Evan siedzi na jego plecach i owija mu nadgarstki gumową linką. Ashling klęczy na jego nogach, które są już związane.

Sebastian stoi nad nimi i przygląda się wszystkiemu w milczeniu.

– June! – woła William. Wyciąga szyję, żeby na mnie spojrzeć. – Dzwon na policję.

Na jego czerwonej twarzy maluje się przerażenie, próbuje zrzucić z siebie Evana i Ashling. Myślę o tym, jak przerażona musiała być Delia, kiedy leżał na niej.

– Nigdzie nie dzwonię – mówię.

Zasłużył na to.

Kończą go wiązać. Ashling i Evan wstają i robią krok do tyłu. Cała trójka stoi nad Williamem i przygląda mu się z góry.

– Czego chcecie? – pyta. Udaje mu się przekręcić na bok. Wierzga, próbuje wstać, ale nie jest w stanie. – W domu nie ma żadnej gotówki, nie trzymam też tutaj bloczka do wypisywania recept...

Ashling sięga po jedno z kuchennych krzeseł.

– Dobrze, chłopaki, podnosimy go.

Podnoszą go we trójkę, sadzają na krześle z rękami na plecach. I wtedy właśnie zauważam rękawiczki, błękitne lateksowe rękawiczki. Wszyscy mają je na dłoniach.

– Wasze ręce – mówię.

Evan sięga do kieszeni, wyciąga parę i rzuca ją w moją stronę.

– Proszę. Nie martw się, zetrzemy przed wyjściem twoje odciski palców.

Moje odciski? Zakładam rękawiczki. Są gładkie i jakby zakurzone od talku.

William rzezi, porusza ustami, ale nie wypowiada żadnych słów.

Delia zakrada się tak cicho, że nawet ja jej nie słyszę.

– Niespodzianka – mówi.

– O mój Boże. – William chce rzucić się w jej stronę, ale Ashling go powstrzymuje.

– Idę na sekundkę na górę – mówi Delia. – Ty się stąd nie ruszaj.

– Delia, poczekaj! – wrzeszczy za nią William. Ale Delia znika na górze. – Ona żyje? – Oczy Williama napełniają się łzami. – Jak to możliwe? – Odwraca się i patrzy na nas. – Nie mam pojęcia, co tu się wyprawia, ale popełniacie błąd. Nie musicie tego robić...

– To ty popełniłeś błąd – mówi Ashling. – Naprawdę myślałeś, że możesz się do niej bezkarnie dobierać? Że nic się nie stanie, nie odpowiesz za to?

– Zawsze ponosi się konsekwencje – mówi Evan. Uśmiecha się zupełnie inaczej niż do tej pory. Cała jego słodycz gdzieś się ulotniła.

– Ty głupi sukinsynu. – Sebastian kręci głową.

– Nic takiego nie zrobiłem! Nie mógłbym! Jak to możliwe, że Delia wciąż żyje? Jakim cudem żyjesz?

Delia wróciła. Trzyma w ręku małą szklaną buteleczkę oraz strzykawkę. Na buteleczce napisane jest czarnym drukiem LEVEMIR, a pod spodem INSULINA DETEMIR. Delia wbija igłę w małą dziurkę butelki i napełnia strzykawkę.

– Delia – mówi William. – Cokolwiek chodzi ci po głowie, to szaleństwo. Proszę, przestań.

Delia kręci głową.

– Żadne szaleństwo. – Jej głos jest przerażająco spokojny. – To przecież twoje lekarstwo. Bierzesz je codziennie.

– Zaraz... – mówię. Ale nikt nie patrzy w moją stronę. Biorę głęboki wdech.

Muszę się uspokoić. Muszę pamiętać, że to wszystko jest tylko częścią planu. Chcemy go nastraszyć, pokazać mu, co potrafimy i że mamy władzę. Po tym wszystkim nie będzie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Delia, nie mam pojęcia, w co się wpakowałaś, ale mogę ci pomóc. Porozmawiajmy o tym.

– Za późno na rozmowę – odpowiada Delia.

– Potrzebujesz pieniędzy? Mogę dać ci tyle pieniędzy, ile tylko chcesz, mogę je przesłać gdziekolwiek.

Ale Delia kręci głową. Patrzę na nich dwoje. W mojej głowie pojawia się scena – Delia, szamocząca się pod jego ciężarem, on, uśmiechnięty, napierający na nią, ona, desperacko próbująca uciec, zatapiająca zęby w jego skórze.

– Zamknij się – mówię. Teraz wszyscy spoglądają w moją stronę, zaskoczeni, że się w ogóle odezwałam. Ja sama jestem zaskoczona. – Nie gadaj, tylko słuchaj, pieprzony gwałcicielu.

Delia patrzy mi prosto w oczy. Uśmiecha się.

– Dokładnie, Willy. Teraz właśnie powinieneś się zamknąć.

Delia podnosi strzykawkę. Ashling pochyła się, łapie za dolny brzeg koszuli Williama i podciąga ją lekko do góry, ukazując fragment bladego, tłustego brzucha.

Delia przykłada igłę do jego skóry.

– Gdzie zazwyczaj ją sobie wbijasz? – pyta. – Gdzie lubisz sobie wsadzać?

– Nie rób tego – mówi William. Potrząsa głową, odchyła się na krześle, starając się od niej uciec. Ale nie ma dokąd uciekać. Jest naprawdę spanikowany. Dokładnie tak jak chcieliśmy. – Jeszcze nie jest za późno, żeby przestać.

Spoglądam na Delię.

Przez moment nikt się nie rusza.

Teraz powie mu, co wie. Teraz powie mu, czego od niego chce. Wpatruję się w nich. Czekam.

Ale Delia nie mówi ani słowa, tylko wbija igłę w brzuch Williama i naciska tłok strzykawki.

Czerwona twarz Williama natychmiast staje się kredowobiała. Znowu zaczyna się szamotać. Ashling popycha go, łapie za gardło.

– Nie ruszaj się.

– Tylko nie narób mu siniaków – mówi Evan. – Jest jak wielka, tłusta brzoskwinia. Musimy uważać, bo inaczej źle to będzie potem wyglądało.

– Proszę... – błaga William.

Delia ponownie napełnia strzykawkę, znowu wbija mu igłę w brzuch. Co tu się dzieje?

– Co będzie źle wyglądało? – pytam. – Delia?

– Mówi się, że czasem pod koniec ludzie nabywają szczególnej życiowej mądrości – stwierdza Evan. – To jak, stary, masz dla nas jakieś złote rady?

– Cholera – szepczę. – Co się dzieje?

Chyba zaczynam rozumieć. Rękawiczki. Gadka o odciskach palców.

Evan zwraca się w moją stronę.

– Insulina obniża poziom cukru we krwi – tłumaczy lekkim tonem. – To bardzo ważne, jeśli jesteś diabetykiem i twój organizm nie jest w stanie produkować jej samodzielnie. Ale jeśli weźmiesz jej za dużo i za bardzo spadnie ci poziom cukru, twoje ciało doznaje szoku, zapadasz w śpiączkę, twój oddech staje się coraz wolniejszy, podobnie jak puls. A potem... Potem w ogóle przestajesz oddychać, a puls zanika.

– Zaraz – mówię. – Wy naprawdę chcecie go zabić.

Na te słowa z ust Williama wyrywa się zrozpaczony okrzyk, ale nie słyszę w nim zaskoczenia. Podnoszę wzrok. Zorientowałam się jako ostatnia.

Ashling i Evan obserwują Williama. Sebastian otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko kręci głową i nie mówi nic. Napotykam wzrok Delii.

– Junie.

– Powiedziałaś mi, że tylko go nastraszymy.

Ale ona kręci głową. Na krótką chwilę buzujący w niej ogień przygasa.

– Proszę, Junie, nie złość się na mnie – mówi tak cicho, że ledwo ją słyszę.

Nieruchomo patrzymy sobie w oczy. Czuję, jak dosięga mojego serca.

– Nie wiedziałaś – odzywa się William niesamowicie spokojnym głosem. – Rozumiem, nie wiedziałaś.

Odwracam się w jego stronę. Ma wilgotne usta.

– Proszę... – Jego spojrzenie jest błagalne i desperackie. Nie potrafię oderwać od niego wzroku. Próbuje wykorzystać moją chwilę zwątpienia, rozdłubuje pęknięcie mojej pewności, chce pogłębić moje wewnętrzne rozdarcie. – Po prostu przynieś mi z lodówki trochę soku pomarańczowego. Tylko tyle. A potem możemy udawać, że to wszystko w ogóle się nie wydarzyło. Zapomnę o wszystkim, co się tutaj...

– Zamknij się – mówię. Ale już nie czuję w sobie jakiegokolwiek siły. – Dee Dee? – Czuję się mała i słaba. – Boję się.

Delia przekazuje strzykawkę Ashling. Obejmuje mnie ramionami.

– Wszystko jest dobrze. Uwierz mi, wszystko jest w porządku. – Przyciąga mnie do siebie, czuję ciepło jej ciała.

– Nie słuchaj jej – mówi William.

– Zamknij mordę – rzuca Ashling. – Zamknij się zamknij się zamknij się zamknij się zamknij się.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej – ciągnie Delia. – Nie mogłam. Ja... Ale tak musi być. On nie zasługuje na to, żeby oddychać, nie zasługuje na to, żeby żyć. Bez niego świat będzie lepszym miejscem...

– Nic nie zrobiłem – mówi William. – June, ona kłamie. Cokolwiek ci powiedziała...

Delia zwraca się do niego.

– Myślisz, że pozwolę, żebyś został tu sam z moją matką? Z jej dzieckiem? A co, jeśli to będzie dziewczynka? Też ją zgwałcisz, tak jak próbowałeś zgwałcić mnie?

– To wszystko nieprawda – protestuje.

– Mam pomysł – wtrąca Evan. – Może zamiast pieprzyć farmazony postarasz się, żeby twoje ostatnie słowa były jednak prawdziwe. – Wzrusza ramionami. –

No dawaj, Willy. Masz jeszcze, bo ja wiem, jakieś dziesięć minut życia? Na pewno chciałbyś nam coś powiedzieć. Przecież nawet nie błagałeś jeszcze Delii o przebaczenie. Nie chcesz spróbować?

– Po prostu przynieście mi coś z kuchni – mówi William dziwnie ospale. – Cokolwiek słodkiego.

Delia idzie przez pokój i znika w kuchni. Słyszę odgłos zatraskiwanych drzwi lodówki. Wraca sekundę później, trzymając w ręku słoik z wisienkami maraschino. Może zmieniła zdanie? A może od początku miała taki plan?

– Chodzi ci o coś takiego?

William potakuje.

– Tak, właśnie o to. Błagam. Dziękuję, o Boże, dzięki ci, Delia. – Otwiera usta. Jest jak pisklę czekające na jedzenie. A ona unosi wisienkę tuż nad nim, by po chwili włożyć ją sobie do ust i zmiażdżyć między zębami. Po twarzy Williama płyną łzy.

– Jeśli pozwolicie mi umrzeć, na pewno was złapią – mówi coraz ciszej, jakby był coraz bardziej odurzony.

– No nie wiem – odpowiada Delia. – Wydaje mi się, że mam całkiem niezłe alibi. W końcu jestem martwa. – Uśmiecha się.

– Będzie śledztwo – stwierdza William. – Dojdą do tego, co się stało. Nikt nie uwierzy, że to był wypadek.

Delia kręci głową.

– Och, nie będą musieli, bo to wcale nie jest wypadek. Twoja pasierbica zabiła się, później aresztowali cię za posiadanie narkotyków. Jesteś szanowanym chirurgiem, zaraz możesz stracić wszystko. Z pewnością nikt nie będzie zbyt zaskoczony, że postanowiłeś odebrać sobie życie.

– Narkotyki. Mój samochód – bełkocze William. – To byłaś ty...

– O, zobacz, zostawiłeś nawet list pożegnalny – mówi Delia, wyciągając z kieszeni złożoną kartkę. Rozkłada ją i podstawia mu pod nos. – To twój charakter pisma, prawda?

List jest długi, zaczyna się od słów „Do mojej ukochanej żony”.

Delia podchodzi do Ashling i całuje ją w usta.

– Dzięki, kochanie, jesteś genialna – mówi.

– June, proszę – błaga William. – Możesztopowstrzymać. Prosz pomóżmi.

Wpatruję się w Delię, moją najlepszą przyjaciółkę, którą kocham nad życie, a potem w Williama, śliniącego się na krześle. Obydwoje patrzą teraz na mnie. Nie mam najmniejszych wątpliwości, kto kłamie. Tym razem widać to jak na dłoni. Pytanie tylko, co dalej. Myślę o Delii, kompletnie samej w tym domu, w tamtym pokoju. Myślę o jej matce. Myślę o tym maleńkim dziecku, które jeszcze nie przyszło na ten świat.

– Zawołajcie mnie, kiedy będzie po wszystkim – rzucam. Odwracam się na pięcie i idę do kuchni. Staję naprzeciwko lodówki. Boję się dotknąć czegokolwiek, boję się poruszyć, boję się oddychać. Stoję i nasłuchuję dźwięków z sąsiedniego pokoju. Robi mi się słabo. Kucam na podłodze i przykładam twarz do zimnych płytek. Staram się nie zemdleć. Zamykam oczy. Po pewnym czasie słyszę nad sobą delikatny głos Delii:

– Junie, możesz już wrócić.

Rozdział 51

June

Stoimy w milczeniu. Nieruchomo. Moje serce zwalnia, wszystko wokół zwalnia, przez chwilę nie jestem nawet pewna, czy nadal oddycham. Odwracam się w jego stronę i zmuszam do spojrzenia na niego. Myślałam, że będzie wyglądał, jakby spał.

Wcale nie wygląda, jakby spał.

Ashling łączy dłonie w stłumionym lateksowym kłaśnięciu.

– Dobra – mówi – zwijamy się. – I nagle wszyscy znowu zaczynają się ruszać.

Ashling rozwiązuje Williama, a wtedy góra jego tułowia opada bezwładnie. Ashling bierze od Delii strzykawkę i wkłada ją do ręki Williama, zaciska na niej jego palce, a potem puszcza. Strzykawka opada na ziemię.

– Ja ogarniam piwnicę – mówi Evan. – Junie, czego dokładnie tam dotykałaś? Tylko albumów ze zdjęciami? – pyta, ale ja nie jestem nawet w stanie otworzyć ust. – Zresztą, nie martw się – rzuca z uśmiechem. – Jestem bardzo dokładny. – I wychodzi.

– Ja ogarnę klamki – mówi Sebastian.

Chcę ich zapytać, co ja mam teraz robić, ale tylko stoję i milczę. Oni się ruszają, a ja nie. Patrzę na twarz Williama. On też się nie rusza.

Chyba mija trochę czasu. Evan wraca do pokoju.

– Cholera, jego koszula – mówi, wskazując na ciemną plamę na plecach Williama.

– To ten jego napój – mówi Sebastian. – Był rozlany na podłodze.

– Czekaście. – Delia biegnie z powrotem na górę i po kilku sekundach wraca z koszulą, bladoniebieską jak jej rękawiczki. – Uwielbiał ją – mówi, a w jej

głosie słychać niemal czułość.

Rozpina Williamowi koszulę. Evan i Sebastian podtrzymują go i unoszą, żeby ostrożnie ją z niego zdjąć. Klatka piersiowa Williama jest blada i miękka, jakby wilgotna, z kępkami ciemnych włosów wokół sutków, brzuch ma galaretowaty.

Zwijają poplamioną koszulę w kłębek i wrzucają do worka na śmieci. Wsuwają jego ręce w rękawy nowej koszuli, zapinają guziki, delikatnie, delikatnie. Delia wygładza materiał.

– I już, gotowe – mówi.

Nie ma mnie. Jestem gdzie indziej, w innym świecie. Czuję ruch wokół siebie. W pewnej chwili Delia podchodzi do mnie. Zdejmuje jedną z lateksowych rękawiczek i wkłada do kieszeni. Potem wyciąga do mnie rękę i ujmuje moją dłoń, ale ja nic nie czuję przez swoją rękawiczkę. Ściska ją.

– Czas już na nas – mówi.

Ostrożnie podążają w stronę tylnego wyjścia. Ruszam za nimi. Otwierają drzwi. Idę za nimi. Słońce zaczyna chylić się ku zachodowi. Świat wokół wydaje się nierzeczywisty w tym świetle. Evan przytrzymuje drzwi i jedno po drugim wychodzimy na zewnątrz i schodzimy po schodkach. Odwracam się, spoglądam na ganek, na rząd kamieni, na dom, w którym spędziłam z Delią tyle dni, tyle nocy. A potem odwracam wzrok.

Kurwa mać, co myśmy zrobili?

Rozdział 52

Delia

Moja matka zawsze oczekiwała, że go pokocham. „On jest teraz twoją rodziną!” – powtarzała błagalnie, desperacko. Ale ja nie mogłam, nie potrafiłam... nie po tym wszystkim, co zrobił.

Ale teraz zapłacił za swoje grzechy. Został złożony w ofierze, żebym ja mogła dostać to, czego pragnę. Obserwowałam go, patrzyłam, jak jego oczy zamykają się powoli, mięśnie jego twarzy wiotczeją, jak się ślini, bezradny, słodki jak małe dziecko. Przez chwilę prawie było mi go żal. A kiedy już uleciał w powietrze, zostawiwszy tu, na ziemi, tylko kawał mięsa, jakim było jego ciało, poczułam nagły przypływ jakiegoś uczucia. Może to była miłość, może teraz rzeczywiście go kocham. Odrobinę.

Kiedy nikt nie patrzył, pochyliłam się ku niemu i pocałowałam na do widzenia.

Rozdział 53

June

Idziemy przez las, pospiesznie, w milczeniu. Wszystko jest nierzeczywiste. Mam wrażenie, że unoszę się w powietrzu. Jest mi niedobrze.

Jak przez mgłę czuję coś gorącego, co dźga mnie w głowę u podstawy czaszki. Jakaś maleńka myśl, jak jajko, z którego jeszcze nic się nie wykluło, ale w środku już coś drapie i skrobie, żeby wydostać się na zewnątrz.

– No chodź – mówi Delia. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nadal trzyma mnie za rękę.

Czuję w żołądku gorący kwas, zastanawiam się, czy zwymiotuję. Próbuję wziąć oddech, ale moje płuca najwyraźniej zapomniały, jak to się robi. Muszę walczyć, żeby wpuścić powietrze do środka.

Idziemy dalej, teraz ulicą, w stronę jeziora.

Nikt nic nie mówi. Docieramy do samochodów Ashling i Sebastiana. Powietrze wokół mnie wibruje. Nie możemy już tego cofnąć. Nigdy już nie będzie można tego cofnąć.

– Wrócisz z nami – mówi Delia.

– Wrócisz? – Próbuję przedrzeć się przez mgłę. Słyszę jej słowa.

– Do domu – mówi Delia. Uśmiecha się do mnie. Evan, Ashling, Sebastian. Wszyscy się uśmiechają. Kim oni w ogóle są? Kim jest Sebastian? Kim jest Delia? Kurwa mać, co myśmy zrobili?

– Muszę iść do domu – stwierdzam.

– Ale twój dom jest tam, gdzie ja – mówi cicho Delia.

– Chcę iść do swojego domu. – W myślach widzę swoje łóżko, swój ciemny, smutny dom, swoją matkę.

Delia obserwuje mnie uważnie. Nie jestem teraz w stanie na nią patrzeć. Ashling i Evan wymieniają spojrzenia.

– Przecież ona nie może... – zaczyna Evan. Ale Ashling kręci głową.

– Nie teraz – rzuca.

Sebastian odsuwa się od nich obojga. Podchodzi, kładzie mi dłonie na ramionach, obraca w swoją stronę.

– Myśli, które się pojawią, będą trudne do zniesienia. Nie powinnaś zostawać z nimi sama.

Milknie, a do mnie dociera znaczenie jego słów. On robił to już wcześniej.

Sebastian przytula mnie.

– Zrobiliśmy to, co trzeba było zrobić.

– June – odzywa się Delia – proszę.

Ale ja zupełnie nie wiem, co mam myśleć. Nie wiem, co czuję.

– Muszę iść – rzucam. I zmuszam się, żeby podnieść wzrok i spojrzeć jej w oczy. – Przykro mi, że przydarzyło ci się wszystko to, co się przydarzyło. – Słyszę chłód w swoim głosie. Mówię to szczerze, ale nie jestem w stanie dopasować tonu do słów. Nie jestem w stanie wydusić z siebie niczego poza mrozącym krew w żyłach strachem. – Cieszę się, że się stamtąd wyrwałaś.

– Naprawdę wydaje mi się, że nie powinnaś teraz odchodzić – mówi Delia. Cedzi słowa, mówi powoli i ostrożnie.

Wokół zapada zmrok. Już prawie jej nie widzę. Chwila ciągnie się w nieskończoność. Ale wreszcie potrząsam głową. Wyzwalam się.

– Przykro mi – mówię jej.

Evan patrzy na mnie. Po chwili rusza w moją stronę.

– Nie – zatrzymuje go Delia. – Nie teraz.

Sebastian prowadzi mnie do swojego samochodu i sadza z przodu. Evan chyba coś za nami krzyczy, ale nie jestem w stanie go zrozumieć. Ashling całuje Delię w usta, ale Delia nawet nie drgnie. Obserwuję ich, dopóki nie odjeżdżamy.

Słońce zachodzi. Gapię się na drogę, drzewa i samochody przed nami.

Sebastian zajeżdża pod mój dom. Kręci głową.

– Mówiłem ci przecież, że nie musisz tego robić – stwierdza cicho. –
Mówiłem, prawda?

Całuje mnie delikatnie w policzek rozpalonymi ustami. Czuję ich ciepło,
kiedy wyciągam z kieszeni klucz i wchodzę do domu.

Rozdział 55

June

Śnią mi się gnijące owoce, obtłuczone, lepkie, obrzydliwie słodkie. Evan i Ashling, obydwójce na czworakach, wpychają je sobie do ust, a sok ścieka im po brodach. Chcą, żebym do nich dołączyła. A potem pojawia się Delia i mówi im, że ja już jadłam te owoce, że nakarmiła mnie nimi, kiedy spałam. Wtedy czuję, że zaczynam się dławić, dławić tym, czym mnie nakarmiła. Budzę się w środku nocy, krztusząc się, i zajmuje mi chwilę, zanim przypominam sobie, co wydarzyło się wczoraj. Co zrobiliśmy. Zamykam oczy i nagle wszystko mam znowu przed oczami – jego skórę, to, jak zdeformowana była jego twarz, kiedy zostało już po nim tylko ciało.

Na zewnątrz jest wciąż kompletnie ciemno. Wygrzebuję się z łóżka, idę do łazienki. I wtedy następuje ten moment – jajo złożone na samym dnie mojej czaszki nareszcie pęka. I wydostają się z niego słowa Delii wypowiedziane tamtego wieczoru, kiedy mówiła mi o nocy, podczas której zrobił jej to, co jej zrobił.

„Gryzłam, dopóki nie poczułam w ustach smaku krwi”.

Wracam myślami do Williama, jego ciężkiego ciała. Jego woskowej, bladej skóry... Ale co z blizną po ugryzieniu? Zamykam oczy. Nie pamiętam, żebym ją widziała. Była tam? Czy był tam jakikolwiek ślad?

„Gryzłam, dopóki nie poczułam w ustach smaku krwi”.

Muszę porozmawiać z Delią, porozmawiać z nią, żeby pomogła mi zrozumieć. Zrobiliśmy to, co należało zrobić, zasłużył na to. Świat bez niego będzie lepszym miejscem. Przecież ja nawet niczego nie zrobiłam, po prostu ich nie powstrzymałam.

Nie powstrzymałam ich.

Narzucam ubrania, przełykam podchodzącą do gardła żółć. Zbiegam po schodach, czując, jak w środku skręcają mi się kiszki.

„Gryzłam, dopóki nie poczułam w ustach smaku krwi”.

Moja matka jest w kuchni, stoi przy kuchence.

– Chcesz coś na kolację? – pyta. – Możemy też nazwać to śniadaniem. Dopiero skończyłam zmianę.

Nigdy mnie o to nie pyta, nie pytała od lat. Zsuwa smażony ser z patelni na talerz. Przecina go na pół. Zaczyna unosić się para.

Czuję suchość w ustach, moja ślina jest gęsta. Czuję w żołądku palący kwas.

Patrzy na mnie. Nasze spojrzenia się spotykają. Nasze spojrzenia nigdy się nie spotykają.

– Wszystko w porządku? – W jej głosie słychać autentyczną troskę. – Czemu nie śpisz o tej porze? Czemu jesteś ubrana?

Kręcę tylko głową. Nie przychodzą mi do głowy żadne słowa. Muszę stąd wyjść.

„Gryzłam, dopóki nie poczułam w ustach smaku krwi”.

– Jezu, powiem ci, że świat to jednak dziwne miejsce – mówi, kręcąc głową. – Pewnie już słyszałaś?

William. Już wiadomo.

Staram się zachować kamienną twarz. Staram się oddychać.

Matka ciągnie dalej:

– No naprawdę, kto by przypuszczał, dwoje uczniów z jednej szkoły w niecałe dwa tygodnie. No, ale tylko w jednym przypadku można mówić o wypadku.

– O jakim wypadku? – pytam.

– Samochodowym.

– Zaraz, co takiego?

– Nie pamiętam imienia tego chłopaka. Nie był w twojej klasie, był rok wyżej. Dziwne, że jeszcze o tym nie słyszałaś.

Czuję, jak coś się we mnie zapada, unosi się, wiruje. Muszę jak najszybciej stąd wyjść. Zakładam kurtkę.

Matka znowu na mnie patrzy, przekrzywia lekko głowę.

– Co ty robisz? Przecież jest piąta rano.

– Muszę być wcześniej w szkole – mówię. I wybiegam za drzwi, zanim zdąży coś jeszcze powiedzieć.

Siedzę teraz w swoim lodowatym samochodzie. Trzęsą mi się ręce. Wyciągam telefon. Wstukuję w wyszukiwarkę hasło „Breswin, wypadek samochodowy, North Orchard”. I wyskakuje mi to:

Nastolatek z Breswin zmarł po tym, jak jego samochód uderzył w barierkę zabezpieczającą. Śledczy wstępnie oceniają, że przyczyną wypadku były wadliwe hamulce.

Ofiara, Jeremiah Aaronson, lat siedemnaście, zginął na miejscu. Potwierdziła to załoga karetki pogotowia, która dotarła na miejsce zdarzenia o godzinie 13:46. To już druga w tym roku tragiczna śmierć w społeczności liceum North Orchard...

Ręka sama wędruje do ust. Mam złe przeczucie, potworne przeczucie. Ale przecież to był wypadek, prawda? Okropny zbieg okoliczności i tyle. To jedyne wyjaśnienie. Tak. Na pewno.

Rozdział 56

June

Nie krzyczę, nie myślę. Jestem tylko i wyłącznie ruchem, pociskiem wystrzelonym w stronę ich domu.

Zatrzymuję się na podjeździe. W środku palą się światła. Powietrze jest ciche i nieruchome, a z oddali dochodzi słaby zapach dymu.

Wysiadam, drżąc na całym ciele. Żwir chrzęści mi pod stopami. Boję się. Boję się stać, boję się iść, boję się poruszyć, być tutaj. Trzęsę się bezustannie, nawet nie wiem jak długo. Podnoszę wzrok i spoglądam w niebo, w tę pustą ciemność, i wiem, że nigdy nie będzie wystarczająco dużo czegokolwiek, żeby ją wypełnić.

Słyszę kroki za plecami. A potem głos Delii:

– Junie, wróciłaś.

Odwracam się. Wyszła właśnie zza rogu domu i idzie w moją stronę. Widzę jej twarz, oświetloną blaskiem z okien domu. Patrzymy sobie w oczy. Jest teraz wewnątrz mnie, w moim ciele, w moim sercu. Wpatrujemy się w siebie i przez chwilę poza nami nic nie istnieje.

– Wiedziałam, że wrócisz – szepcze. – Ale nieźle mnie wystraszyłaś.

Pojawia się ktoś jeszcze. Zza rogu domu wychodzi Evan, mrużąc oczy w ciemności, żeby lepiej widzieć.

– To ona?

Delia kaszle, odwraca się i odpowiada:

– Widzisz, mówiłam, że wróci.

– I dobrze – mówi Evan. – Tak jest o wiele łatwiej – dodaje, ale nie patrzy w moją stronę, tylko wraca tą samą drogą, którą przyszedł.

– Musimy porozmawiać – szepczę. Jest tyle do powiedzenia, tyle pytań. Tak

strasznie, strasznie się boję.

Delia kręci głową.

– Nie teraz, Junie. Proszę. Poczekaj.

Łapie mnie za rękę i zaczyna biec, nie wypuszczając mojej dłoni z uścisku. Biegniemy przez trawę, potykając się, podążamy za zapachem dymu i wypadamy na trawnik po drugiej stronie domu. Nad rzeką płonie wielkie ognisko, emanuje światłem na tle jaśniejącego powoli nieba. Ashling, Sebastian, Evan. Wrzucają do ogniska różne rzeczy.

Na samej górze leży sterta papierów i jakiś materiał, może koszula. Ognisko jest o wiele za duże jak na tego rodzaju miejsce. Ale przecież wokół nie ma żywej duszy. Na przestrzeni kilometrów nie ma nikogo, nikogo, kto mógłby nawet zauważyć dym.

– Co się dzieje? – pytam.

– Szykujemy się do wyjazdu – odpowiada cicho Delia.

– Dobrze, że wróciłaś – dorzuca Ashling. Słyszę w jej głosie iskierkę jakiejś nieokreślonej emocji.

Słońce zaczyna wschodzić. Na horyzoncie maluje się już ciemnoczerwona linia. Jak cięcie brzytwy na niebie.

Napotykam wzrok Sebastiana, ale on szybko odwraca głowę.

– Czyli już wie? – mówi. Ale nie zwraca się do mnie.

– O co...? – zaczynam. Całe moje ciało wibruje.

– Ja się tym zajmę. – Delia brzmi prawie, jakby była wściekła. A potem zwraca się do mnie, już łagodniej. – Chodźmy się przejść – proponuje. Nadal trzyma mnie za rękę.

Prowadzi mnie z dala od nich, wzdłuż rzeki, w stronę lasu. Idziemy w milczeniu. Wreszcie przystaje. Odwracam się. Jesteśmy teraz daleko od reszty. Tylko my dwie. Potwornie kręci mi się w głowie. To wszystko nie dzieje się naprawdę.

Przypominam sobie, po co tutaj przyszłam.

Delia chce coś powiedzieć.

Nie pozwalam jej. Biorę wdech.

– Co się stało Jeremiahowi?

Delia beznamiętnie wpatruje się we mnie w świetle wczesnego poranka. Może naprawdę nie wie. Przez ułamek sekundy jest mi dziwnie i smutno, że to ja będę musiała jej o tym powiedzieć. Przez ułamek sekundy mam nadzieję.

– Jeremiah miał wypadek samochodowy. Poważny.

Czekam, aż moje słowa do niej dotrą, ale jej twarz nawet nie drgnie.

– Słyszysz, co powiedziałam? – Powraca to potworne uczucie w żołądku. Przecież to był jej chłopak. – Nie przeżył.

– Chronimy tych, których kochamy – mówi powoli. Bardzo powoli.

– Nie rozumiem.

– Junie, chronimy tych, których kochamy. Za wszelką cenę.

– Co to znaczy chronimy, co ty... – urywam. Nie mogę oddychać. Serce wali mi jak oszalałe. – William ... Ja... nie jestem pewna... ale wydaje mi się, że nie widziałam śladu po ugryzieniu na jego ciele.

Delia kręci głową.

– No i?

– Kiedy próbował cię zgwałcić... – Mój głos brzmi obco. – Mówiłaś, że go ugryzłaś i gryzłaś, dopóki nie poczułaś w ustach krwi. Ale kiedy zdejmowaliście koszulę... nie pamiętam, żebym widziała jakikolwiek ślad.

– Sama musisz sobie na to odpowiedzieć... Widziałaś?

Jest mi niedobrze ze strachu.

– Posłuchaj, June – mówi Delia. – Junie, J., moje serce, moja miłości. To przecież nie ma żadnego znaczenia. To zupełnie nieważne. Czas już na nas. Wiesz, co to oznacza?

Czerwona linia na horyzoncie robi się coraz grubsza. Słońce wschodzi coraz szybciej. Wiatr przynosi zapach dymu. Odwracam się. Ogień jest coraz większy.

Czuję, jak coś pali mnie w brzuchu.

– Zrobiliśmy... to, co zrobiliśmy... dlatego, że powiedziałaś nam o tym, co zrobił tobie... *Czy on naprawdę to zrobił?*

– Nie mogę uwierzyć, że mnie o to pytasz. – Delia kręci głową. – Nie rozmawiajmy o tym teraz. Nie po to wróciłaś.

Coś dziwnego dzieje się w mojej głowie. William. Jeremiaś. Nawet Ryan. Nie mam pojęcia, co jest prawdą.

– A po co tutaj wróciłaś?

– June. Wróciłaś dla mnie.

Unoszę się w powietrzu, pędzę, wiruję.

– Wróciłaś, żeby dowiedzieć się, co się stało. To ugryzienie. Jeremiaś. Delia...

– NIE! – krzyczy. Powstrzymuje się, bierze głęboki oddech. – Wróciłaś dla mnie. – Wskazuje ręką ognisko. – I musimy się zbierać. Wyjeżdżamy.

– To wy wyjeżdżacie – mówię. Czuję, jak serce wyrywa mi się z piersi i bije teraz między nami.

Jeremiaś. William.

Delia potrząsa głową.

– Nie, ty też. Zgodzili się. Pojedziesz z nami. Wiedzą, że... dasz sobie radę w hardcorowych sytuacjach. Wiedzą, jak bardzo mnie kochasz. Dbamy o siebie, ty i ja. Zawsze tak było.

– Prosisz mnie, żebym z wami pojechała? – Chwytam ją za ramiona. Ściskam mocno. Muszę sprawić, żeby na mnie spojrzała. – Delia, posłuchaj mnie, czy ty w ogóle rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie wiem, co się dzieje, i jestem naprawdę przerażona. – W moim głosie pobrzmiwa desperacja. Jestem zdesperowana. – Czy William naprawdę próbował cię zgwałcić? Naprawdę zrobił ci to, o co go oskarżyłaś?

Delia wstrzymuje oddech.

Czuję na skórze chłodne powietrze. Wyobrażam sobie, że unoszę się w przestworza. Nikt i nic mnie tu nie trzyma. Delia się pochyla.

– Albo możemy być tylko we dwie, tylko ja i ty, jeśli tego właśnie chcesz – szepcze.

Coś czai się w jej oczach – widzę to. Było tam w każdym wieku, w jakim

kiedykolwiek była, w każdym wieku, w którym ją znałam.

– Dlaczego chciałaś, żebym poszła tam wtedy z wami? Dlaczego zabrałaś mnie ze sobą do jego domu, żeby go zamordować?

– Bo byłaś mi potrzebna – odpowiada Delia.

– *Dlaczego?*

Ale nagle wszystko do mnie dociera. I pod powłoką strachu, tego odrealnionego przerażenia, czuję dojmującą samotność, zasysającą moje wnętrze jak czarna dziura, która może pochłonąć mnie w każdej chwili.

– Wiesz, mało brakowało, a naprawdę bym się zabiła – mówi. – Raz, sto razy, tysiące razy. Codziennie byłam bliska śmierci. A wiesz, co mnie powstrzymywało przed skończeniem ze sobą? – Jej oczy są teraz pełne łez. – Ty.

Łzy płyną jej po policzkach. Sięga do kieszeni kurtki.

Ja chyba też płaczę. I przez chwilę nic nie ma znaczenia. Liczymy się tylko my i ta chwila. Tylko my dwie. Moja najlepsza przyjaciółka. Boże, co myśmy zrobiły.

Obejmuję ją ramionami, ale ona stoi bez ruchu, z rękami wzdłuż ciała. Trzyma w ręku to, co wyciągnęła z kieszeni. A ja coś sobie uświadamiam. Zapomniałam o jednej rzeczy. I przypomniałam sobie o niej właśnie teraz. Tig. Ta rzecz, którą ukradła mu Delia. Nigdy mu jej nie zwróciła.

– Nikomu nie powiem. Obiecuję. Przysięgam. Nigdy bym tego nie zrobiła. To się w ogóle nie wydarzyło.

– Każdego dnia, od kiedy cię poznałam, podtrzymywałaś mnie przy życiu. – Delia nie patrzy już w moją stronę. Łzy płynące jej po policzkach wyglądają jak łzy kogoś innego, jak policzki kogoś innego. Jej głos wydaje się tak odległy. – Nawet kiedy nie byliśmy już przyjaciółkami. Bo wiedziałam, po prostu wiedziałam, że pewnego dnia... cię odzyskam. – Podnosi rękę i celuje we mnie. – Ukradłam to, żeby się zabić. Zanim dowiedziałam się, że są inne możliwości. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Musisz dokonać wyboru.

– Między czym a czym? – pytam ledwo słyszalnym szeptem.

– Proszę, Junie. Proszę – mówi błagalnym głosem. – Nie mogę pozwolić,

żebyś znowu mnie opuściła.

– Delia – szepczę.

– Junie, kocham cię.

Rozdział 57

5 lat, 3 miesiące, 15 dni wcześniej

Jakiś czas później Delia wyjaśniła June, że znalezienie najlepszej przyjaciółki to jak znalezienie prawdziwej miłości: kiedy ją spotykasz, po prostu wiesz, że to ona. Jednak w ich przypadku było trochę inaczej.

W trzecim tygodniu szóstej klasy Delia, nowa w szkole i wkurwiona na cały świat, stanęła w drzwiach sali i została przedstawiona całej klasie. Jej matka dopiero co wyszła za dupka, do którego się wprowadziły. Delii zupełnie nie przeszkadzało, że odchodzi ze starej szkoły, gdzie sprawy przybrały dla niej mało korzystny obrót i o której najchętniej by zapomniała. Ale nie była też zachwycona wizją nowej szkoły. Właściwie to najchętniej w ogóle przestałaby istnieć. Życie z tym wściekłym, niespokojnym płomieniem w środku sprawiało wręcz fizyczny ból. Cały czas odczuwała ból.

Ale wtedy, tamtego pierwszego dnia, zauważyła June. I wtedy ten gorący, syczący płomień nieco przygasł. I przerodził się w nieskończoną, wygłodniałą pustkę, nadal bolesną, ale już w inny sposób. Czego właściwie pragnęła? Nie chodziło o to, że chciała przelecieć tę dziewczynę, nie do końca. Nie chciała też nią być. Chodziło raczej o to, że pragnęła ją pożreć. Delia poczuła nagły głód na widok tej wielkookiej, przypominającej króliczka blondynki siedzącej trzy rzędy dalej. Miała ochotę pochłonąć tę dziewczynę, pożreć razem z kośćmi, pochłonąć ją całą.

Oczywiście nie było to coś, z czego należałoby się komukolwiek zwierzać, a już szczególnie nowo poznanej być-może-przyjaciółce w nowej szkole. Zamiast tego Delia zrobiła to, co normalnie robiło się w takich sytuacjach – bo Delia wiedziała, co jest normalne, w każdym razie przez większość czasu!

Zaprosiła więc tę dziewczynę o imieniu June (to imię idealnie do niej pasowało!), żeby została u niej na noc.

A June otworzyła swoje słodkie błękitne oczy i z pełnym zachwytem zaskoczeniem przyjęła zaproszenie.

Tego wieczoru ojczym Delii pracował do późna – ten dupek zawsze pracował do późna – więc Delia oznajmiła swojej matce, że zamawiają na kolację pizzę i będą ją jeść w pokoju Delii. A jej matka nie protestowała, bo jej matka nigdy się jej nie sprzeciwiała, co było z jednej strony wkurzające, bo to było trochę tak, jakby matka straciła tę umiejętność, jakby utraciła wolę sprzeciwu, kiedy ten dupek pojawił się w jej życiu. Ale z drugiej strony dzięki temu Delia zawsze mogła robić to, co chciała.

Na górze, w pokoju, w którym była z June, Delia nie mogła niczego przełknąć, nie mogła nawet usiedzieć w miejscu. Wypełniała ją jakaś obłądna energia. Delia krążyła po pokoju, wskazując na różne przedmioty jak jakaś naćpana kustoszka – niewielki zimowy pejzaż, który ukradła na wyprzedaży charytatywnej, ogonek od czereśni, który udało jej się zaplątać w supełek językiem, wykradziony matce słoiczek po lekach, zawierający jej tajny plan ucieczki, podbierany kawałek po kawałku z szafki z lekami, kiedy nikt nie widział. Czasem w nocy wysypywała zawartość butelki na dłoń. Raz nawet trzymała je w ustach, wszystkie naraz. Skłamała i powiedziała June, że trzyma w tym słoiczku miętówki.

June przyglądała się wszystkiemu z takim uroczym zachwytem. Emanowała z niej jasność i dobroć.

Tuż po jedenastej dupek wrócił do domu i zaczął wrzeszczeć na matkę za zamkniętymi drzwiami sypialni. Delia poczuła w środku pełzający płomień, ale zmusiła się do trzech głębokich wdechów, a potem uśmiechnęła się i powiedziała, że czas się ulotnić.

Wylazła przez okno swojego pokoju i zeskoczyła na trawę. June próbowała udawać, że wcale się nie boi – to było takie urocze! W końcu zrobiła to samo. Kilka razy przeszły się po okolicy w tę i z powrotem. Powrzucały sąsiadom

mlecze do skrzynek pocztowych – był to słodki, niewinny pomysł June. Zaglądały przez szybę do pokoju przystojnego chłopaka, który chodził do liceum. Udało im się zobaczyć, jak zdejmuje ubrania – rozebrał się aż do bokserek i dopiero wtedy zasunął zasłony.

– Cholera – mruknęła z niezadowoleniem Delia. Ale już po chwili uśmiechała się szeroko, jakby to wszystko było tylko zabawą, jakby wcale nie proponowała mu poprzedniego dnia, że zrobi mu loda (a on odmówił, wyglądając przy tym na niezłe spanikowanego). Ale co z tego. Była teraz z June i miała go już totalnie w dupie. Chciała zrobić coś, co by je połączyło. Zastanawiała się, co zwykle robi się w takich sytuacjach. Co byłoby w porządku?

Delia wpadła na pewien pomysł. Zdjęła stanik. Przekonała June, żeby zrobiła to samo, i nauczyła ją, jak zdjąć stanik bez ściągania bluzki. Stanik June nie był jeszcze właściwie stanikiem i June wydawała się bardzo zawstydzona z tego powodu. Jej piersi, maleńkie jak rodzyнки, sterczały pod cienkim materiałem koszulki. Delia poczuła nagłą chęć, żeby złapać je i ścisnąć, jak najmocniej, sprawić, żeby słodka, śliczna buzia June wykrzywiła się w grymasie. Zamiast tego odwróciła wzrok i powiedziała lekko, jakby to były zwyczajne wygłupy:

– A teraz oznaczamy nasze terytorium.

Chwyciła June za rękę. Zakradły się pod dom przystojnego sąsiada, Delia otworzyła czerwoną skrzynkę i wrzuciła obydwie staniki do środka.

– I już – powiedziała – teraz łączy nas wspólny sekret. Prawdziwe przyjaciółki mają wspólne sekrety. Sekrety łączą na zawsze.

Delia fantazjowała o tych wszystkich wspólnych sekretach, z których każdy będzie jak cieniutki sznurek wiążący ją z June, coraz ciaśniej je łączący.

Potem wróciły do domu, a Delia już czuła tę więź między nimi. Czuła te sznurki, kiedy we dwie wślizgnęły się do łóżka, kiedy Delia delikatnie czesała włosy June. Chciała, żeby sznurków było więcej, jeszcze więcej. Nieskończenie wiele.

Ta dziewczyna zmieni wszystko. I Delia nigdy, przenigdy nie pozwoli jej odejść.

Kochana Delio,

kiedy umarłaś, razem z Tobą umarła część mnie. Więc musiałam zrobić to, co zrobiłam, żebyśmy mogły być razem.

Powiedziałaś mi kiedyś, że chciałabyś zostawić za sobą cały świat i polecieć w kosmos, bo tam nie wydarzyło się jeszcze nic złego. Wydaje mi się, że tak właśnie wygląda wieczność: tylko Ty i ja, unoszące się w nieskończonym mroku, połączone ciasno ze sobą.

Nigdy nie wierzyłam w niebo, ale teraz już wiem, że się myliłam. Niebo to dom i wszystkie związane z nim uczucia. A mój dom zawsze był tam, gdzie Ty.

Idę do Ciebie.

Twoja na zawsze

June

Podziękowania

Jestem nieskończenie wdzięczna mojej agentce Jenny Bent, która jest niesamowitą redaktorką, pełną niezwykłych pomysłów, a także cudowną doradczynią i rzeczniczką. A na dodatek jest przezabawna. Jenny, praca z Tobą to czysta przyjemność. Ogromnie się cieszę, że jesteś moją agentką.

Dziękuję wyjątkowym ludziom z wydawnictwa Simon Pulse, w szczególności Marze Anastas, Mary Marotcie, Lauren Forte, Sarze Berko, Carolyn Swerdloff, Teresie Ronquillo, Jodie Hockensmith, Michelle Leo, Christinie Pecorale, Rio Cortezowi i całemu zespołowi działu sprzedaży tego wydawnictwa. Podziękowania kieruję również do Reginy Flath, która zaprojektowała wspaniałą okładkę amerykańskiego wydania książki (która stała się też podstawą okładki wydania polskiego – przyp. red.). Specjalne podziękowania należą się Michaelowi Strotherowi za burze mózgów, w tym te związane z ustalaniem, w jakiej temperaturze topi się tytan albo jaki narkotyk najlepiej wsypać komuś do napoju.

Dziękuję uroczej Victorii Lowes oraz Gemmie Cooper z The Bent Agency.

Moje podziękowania, wraz z opakowaniem żelków Swedish Fish, składam także na ręce wspaniałej Nicoli Barr z agencji Greene and Heaton.

Miałam również ogromne szczęście współpracować z niezwykłą ekipą Electric Monkey, imprintu wydawnictwa Egmont UK. Szczególne podziękowania należą się Alice Hill, Charliemu Webberowi, Denise Woolery, Laurze Grundy, Laurze Neate, Lucy Pearse, Sarah Hughes oraz Sian Robertson. Jestem ogromnie wdzięczna Andrei Kearney za piękną okładkę i szatę graficzną brytyjskiego wydania. Dodatkowe, ogromne podziękowania należą się mojej fantastycznej brytyjskiej redaktorce Stelli Paskins.

Robin Wasserman, dziękuję Ci bardzo za to, że przeczytałaś mój maszynopis,

i dziękuję za Twoje niezwykle mądre, przenikliwe i pomocne uwagi, że nie wspomnę o nieocenionym wsparciu. Brendanie Duffy, dziękuję za znakomite sugestie i trafne pytania. Micol Ostow, dziękuję za doskonale uwagi do finalnego maszynopisu i za nieustające wsparcie w procesie jego powstawania.

Ogromne podziękowania należą się Siobhan Vivian, szczególnie za jedną bardzo znaczącą rozmowę telefoniczną, która była dla mnie punktem zwrotnym. Dziękuję Paulowi Griffinowi, który pomagał mi na samym początku, i Aaronowi Lewisowi, który pomagał mi pod koniec. Dziękuję Martinowi Arrascue za to, że odpowiadał „tak” za każdym razem, kiedy pytałam go: „Ale słuchaj, czy mogłabym przeczytać Ci na głos jeszcze jedną rzecz?!”. Dziękuję Mary Crosbie za czytanie różnych rzeczy, za burze mózgow i za te wszystkie zdjęcia kotów, które mi wysyłałaś.

Wielkie dzięki dla Melanie Altarescu – za wiele rzeczy, ale w wypadku tej książki za to, że rzuciła wszystko, żeby przeczytać ją w zabójczym tempie pod sam koniec (i przepraszam za koszmary!!!).

Dziękuję całej ekipie pracowników Cocoa Bar oraz moim tamtejszym kolegom pisarzom.

Dziękuję moim wspomniałym rodzicom, Cheryl i Donaldowi Weingartenom.

Dziękuję moim internetowym znajomym – chociaż wielu z Was nigdy nie poznałam osobiście, uwielbiam Was wszystkich bez wyjątku. Olbrzymie podziękowania dla wszystkich blogerów za napisanie tak przemyślanych recenzji. Dziękuję wszystkim, którzy poświęcili swój czas na lekturę tej książki.

I wreszcie, chciałam wyrazić mój nieskończony podziw i uznanie dla mojej redaktorki, Liesy Abrams Mignogna. Dziękuję za to, że byłaś dla mnie taka wspomniała. Za to, że praca z Tobą to czysta przyjemność. Dziękuję za wnikliwe uwagi, myśli, sugestie, które zawsze przekazujesz w tak miły, uprzejmy sposób. Za Twoje wskazówki w sprawach ważkich i błahych. Za to, że zawsze rozumiesz.